

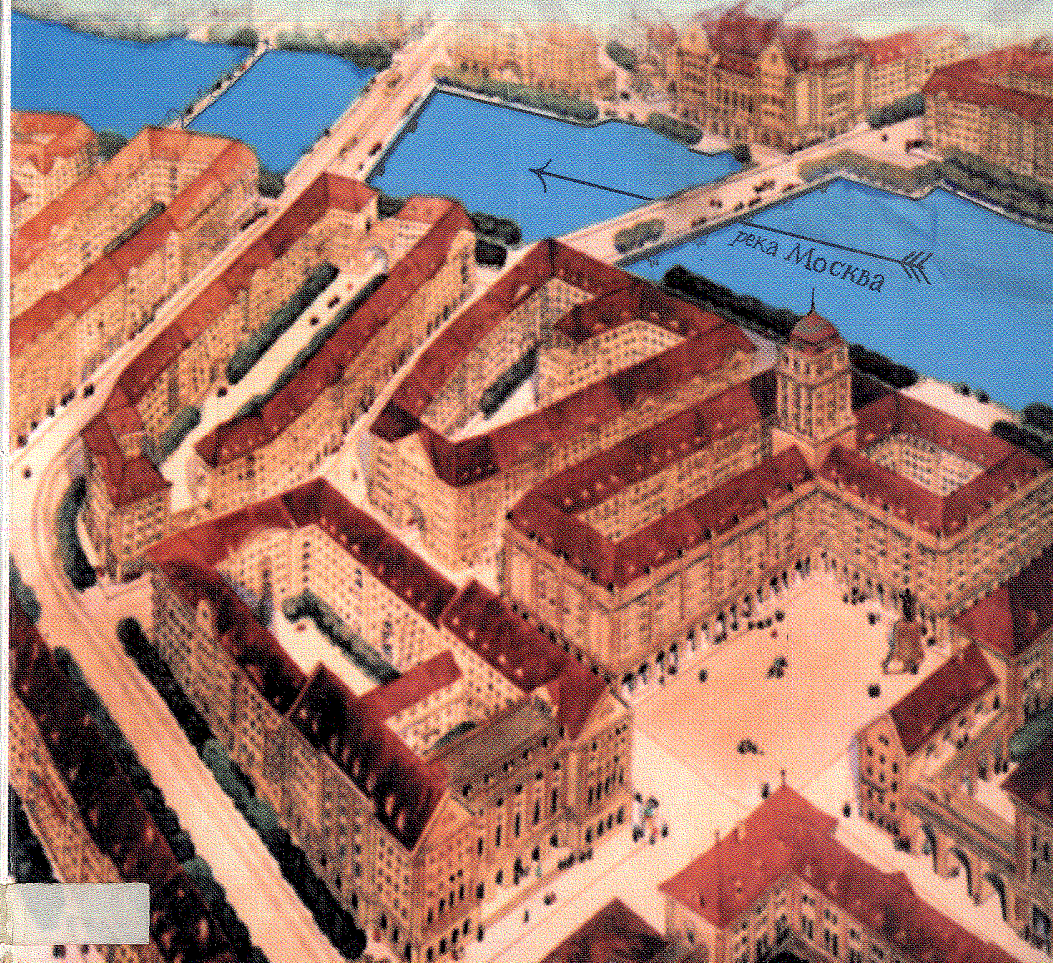


Grzegorz Przebinda (ur. 1959) - rusycysta i historyk idei, pracuje w Instytucie Filologii Wschodniosłowiańskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego. Wydał: *Włodzimierz Sołowjow wobec historii* (1992), *Mikołaj Czernyszewski - późny wnuk Oświecenia* (1996), *Od Czadajewa do Bierdajewa. Spór o Boga i człowieka w myśli rosyjskiej 1832-1922* (1998) i we współautorstwie z Józefem Smagą leksykon *Kto jest kim w Rosji po 1917 roku* (2000). Publikuje m. in. w „Tygodniku Powszechnym”, „Znaku”, „Rzeczpospolitej”; członek redakcji miesięcznika „Nowaja Polska” (wydawanego od 1999 roku w Warszawie i rozpowszechnianego na terenie Federacji Rosyjskiej). Poniższa książka to obszerna opowieść o Rosji, przedstawiona w formie reportażu i szkiców podróży, rozmów, esejów, artykułów, recenzji, polemik i wspomnień pisanych w latach 1987-1999. Nieocenione źródło wiedzy zarówno o życiu codziennym Rosjan w okresie wielkiego przełomu, jak i o kulturze duchowej Rosjan.

Grzegorz Przebinda
Zauki Mistrza Wolanda

Grzegorz Przebinda Zauki Mistrza Wolanda

Oficyna Literacka



4
930

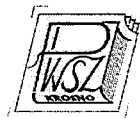
Grzegorz Przebinda

**ZAUŁKI
MISTRZA WOLANDA**

Oficyna Literacka
Kraków 2000



Biblioteka Główna
Państwowa Wyższa Szkoła Zawodowa w Krośnie



10048722

48722

Copyright by Grzegorz Przebinda & Oficyna Literacka, Kraków 2000

Recenzent Włodzimierz Rydzewski

Redakcja Maria Kaniowa

Projekt okładki Dmitrij Szewionkow-Kismielow

ISBN 83-7124-127-5

Wydanie I

Publikacja dofinansowana przez Uniwersytet Jagielloński

Pamięci Andrzeja Drawicza

Drukarnia Oficyny Literackiej

30 112 Kraków, ul. Dunin-Wąsowicza 12/12, tel./fax 421 84 72

Słowo objaśnienia

Poniższa książka to właściwie jedna obszerna opowieść o Rosji, przedstawiona w formie reportaży i szkiców podróżnych, rozmów, esejów, artykułów, recenzji, polemik i wspomnień pisanych w latach 1987-1999. Eklektyzm... ktoś powie? Naturalnie, tak samo jak „eklektyczne” jest nasze życie i ta szeroka rosyjska przestrzeń – geograficzno-historyczna, polityczno-gospodarcza, duchowo-ideałowa i wreszcie ludzko-osobista. Droga mojemu sercu Natalia Gorbaniowska, jedna z bohaterek tej opowieści, gdy odwiedziłem ją po raz kolejny w Paryżu pod koniec lat 80., wyraziła w pewnym momencie równie szczere co głośnie zdumienie: „Jak to, piszesz o filozofii Władimira Sołowjowa, a herbaty po rosyjsku zaparzyć nie umiesz?”. Mówiąc inaczej: *Wer den Dichter will verstehen, muss in Dichters Lande gehen...* Od tej pory, czego przykładem może będzie ta książka, staram się godzić parzenie herbaty po rosyjsku z rozważaniami nieco wyższego rzędu.

Najpierw w latach 1986-1992 poznawałem Rosję w... Paryżu i Monachium, poprzez kształcące spotkania i rozmowy z emigrantami: Iriną Iłowajską Alberti, Władimirem Maksimowem, Andriejem Siniawskim, Aleksandrem Ginzburgiem, Nikitą Struwem, Kirillem Fotijewem. Chyba nikt wtedy nie podejrzewał, prócz może Aleksandra Sołżenicyna, że Związek Sowiecki dożywa swoich dni... Choć były to przecież czasy Michaiła Gorbaczowa, któremu jednak – zgodnie z tym, co mówiono na emigracji – nie wierzyłem ani na jotę. Sądziłem, że popierający Gorbaczowa Andrzej Drawicz, od 1980 roku mój nauczyciel i przyjaciel, głęboko się

myli... Ale dziś wyraźnie widać, że to Drawicz miał rację... Zacytuję fragment z publikowanej poniżej rozmowy z Bułatem Okudźawą: „Kiedyś Gorbaczowowi ludzie postawią pomnik. Czy tego chciał, czy nie, dokonał jednak rzeczy wielkiej. Dzisiejsze losy Europy, Polski, Rosji są związane z jego imieniem”.

Tak się ułożyło, że w ZSRR nigdy nie byłem, z poznawczo-empirycznego punktu widzenia mogę nawet nieco tego żałować. Ufam jednak, że nikomu z nas już nigdy nie będzie dana możliwość takiej podróży. A Rosja? Drawicz napisał kiedyś: „Ten kraj obserwowany z dystansu umie wprowadzać w błąd, o czym się już niejednokrotnie przekonywałem. Nie wiem, czy jest drugi kraj, który tak bardzo wymaga sprawdzenia na miejscu tego, co się o nim słyszy”. Inaczej sądzi mieszkający w Anglii Władimir Bukowski, który ostatnio powiedział, że nic go nie ciągnie do pierwszej ojczyzny: „Prawdę mówiąc, to ja się do Rosji nie rwę, bo Rosję wyraźniej widać z oddali niż z bliska”. Jednak wielu z nas, jeśli chce cokolwiek rozumieć, musi tam regularnie bywać. W latach 1992-1998 odwiedzałem więc Rosję – zarówno dwie stolice: Moskwę i Petersburg, jak i europejską prowincję, siedmiokrotnie w odstępach rocznych. Po raz pierwszy byłem tam w okresie szoku cenowego, wywołanego początkiem nieudanej reformy Jegora Gajdara, były to w istocie czasy wielkiej szarzyzny i biedy, ale przecież także jakieś nadziei. Gdy podczas następnej podróży w lutym 1993 roku jeden z moich moskiewskich znajomych z dumą podkreślał, że Rosja wychodzi z komunizmu bez przelewu krwi, dobrze rozumiałem i podzielałem jego ówczesną radość. Gdy jednak przyjechałem do Rosji po raz trzeci w lutym 1994 roku, Moskwa nie ochłonęła jeszcze po krwawej rozprawie Jelcyna z nieposłusznymi komunistycznymi deputowanymi („rozstrzelanie” Białego Domu 3-4 X 1993). Podczas podróży czwartej pod koniec listopada 1994 roku nagrywałem dla „Tygodnika Powszechnego” rozmowę z Bułatem Okudźawą, który podobnie jak znakomita większość rosyjskiej inteligencji poparł Jelcyna w jego zbrojnym konflikcie z Radą Najwyższą. Jeszcze dobrze nie wróciłem do Polski, gdy wybuchła pierwsza wojna czeczeńska. Podczas kolejnych podróży w latach

1995-1996 miałem okazję podziwiać gigantyczną przebudowę i dekorację Moskwy dokonywaną m.in. przez architekta Zuraba Ceretego za pieniądze najbogatszego burmistrza naszej planety, Jurija Łużkowa. Miałem też nadzieję, płonną jak się dzisiaj okazuje, że rosyjska reforma nabierze rozpędu z chwilą objęcia stanowiska wicepremiera przez Borisa Niemcowa. Wybrany ponownie w 1996 roku Jelcyn nie tylko nie przyspieszył reform ekonomicznych, lecz zupełnie ich zaniechał. Głównym celem jego istnienia było bowiem zachowanie władzy, którą oddał dopiero 31 XII 1999 roku. Jednak przy wszystkich błędach i niepotrzebnych ofiarach Rosja w ciągu dziesięciu lat dokonała istotnego duchowego i społeczno-politycznego przełomu.

A dzisiaj, gdy ta książka wychodzi? Czy znowu będzie kolejna „rosyjska klęska”? Trwa oto rozpoczęta w październiku 1999 roku druga wojna czeczeńska, a wielonarodowa Federacja Rosyjska przeżywa ponury renesans wielkoruskiego nacjonalizmu... Wszystko rozstrzygnie się w pierwszym dziesięcioleciu XXI wieku – to właśnie teraz Rosja zadecyduje o jakości swego istnienia na najbliższe pięćdziesiąt lat. Czy będzie to dalej, mówiąc językiem Michaiła Lermontowa, „kraj nieumyty”, „kraj panów i niewolników”, czy też, dzięki rezygnacji z przestarzałej idei imperium i fatalnej geopolityki *Lebensraumu* oraz reformie ekonomicznej, Federacja Rosyjska stanie się wreszcie krajem normalnym, ku pożytkowi swych obywateli i sąsiadów?

*

Niektóre z poniższych tekstów były publikowane w „Tygodniku Powszechnym”, w „Znaku”, „Rzeczpospolitej” („Plus Minus”), krakowskiej „Arce”, „Kronice Rzymskiej” i parysko-moskiewskim tygodniku „Russkaja Mysl”.

Dziękuję Januszowi Świeżemu za wyrażenie zgody na pomieszczenie w książce naszych wspólnych rozmów z Bułatem Okudźawą, Jewgienijem Rejnem i Gieorgijem Władimowem.

Grzegorz Przebinda
16 stycznia A. D. 2000

Podróże (1992-1997)

Dziesięć dni w Moskwie (1992)

Na schodkach obok skrzyżowania ulicy Piatnickiej z nie znaną mi uliczką siedzi osiemdziesięcioletnia staruszka – sprzedaje dewocjonała. Ja zaś szukam w tej części Moskwy księgarni „Pravosławnoje Slovo”. Zaułek, o który staruszka opiera się plecami, jakoś się nazywa – ale tabliczki z nazwą nie ma. Staruszka wygląda na taką, która całe życie spędziła w tej okolicy pełnej cerkwi i cerkiewek.

– *A eto kakaja ulica?* – pytam po mandelsztamowsku. Mam nadzieję, że to właśnie poszukiwany przeze mnie Wiszniakowski pierieulok.

– *Nie znaju* – słyszę odpowiedź.

– *Kak nie znajetie* – myślę, że się przestyszałem.

– *Da nie znaju* – słyszę powtórnie.

Gdy odchodziłem, usłyszałem krzyk handlarki: *Eto Klimientowskij pierieulok!* Wtedy pomyślałem jedynie, że mógłbym – idąc ową uliczką – dojść do remontowanej chyba już dziesięć lat Galerii Trietjakowskiej.

Potem jednak owo drobne wydarzenie nabrało dla mnie wymiaru symbolicznego.

Książki

W Moskwie (i zapewne w całej Rosji) ludzie sprawiają teraz wrażenie, że niczego nie wiedzą. *Diewuszki* w księgarniach na py-

tanie o każdą książkę odpowiadają niezmiennie: *niet*. Książka najczęściej leży dwie półki obok – ale dziewczyna o tym nie wie, ani wiedzieć nie chce. Poszukiwacz literatury musi przeto gimnastykować szyję i próbować z odległości półtora metra wyszukać stojącą na półce upragnioną pozycję (dostępu do półek nie ma). Jego sytuacja jest o tyle utrudniona, że nad półkami – zamiast nazwy działu – bardzo często widnieje napis: *Ceny dogowornyje*.

W jednym z antykwariatów przedstawiłem młodej sprzedawczyni listę poszukiwanych książek. Natychmiast spostrzegłem, że ona wcale tej listy nie czyta i zaraz odpowie hurtem: *Niczego niet*. Złapałem więc z powrotem kartkę i z nadzieją sam zacząłem odczytywać kolejne tytuły: *Niet, niczego niet* – odpowiadała coraz głośniej i nienawistniej.

W zasadzie bowiem książek sprzedawać się nie oplaca. Ich ceny – w stosunku do żywności i odzieży – są niesłychanie niskie. Przeciętna wynosi 50-100 rubli. Zdarzają się wyjątki. Wydaną w aptekarskim nakładzie broszurę o Wałęsie (*Politiczeskij portriet Lecha Walensy*, Moskwa 1992, INION, 400 egz.) kupiłem za 3 ruble, czyli za 150 złotych polskich, ale w antykwariacie księgarski „Progriss” na Zubowskim bulwarze, gdzie sprzedaje się literaturę w obcych językach, 30-tomowy Dostojewski kosztował 30 tys. rubli, a są to półroczne dochody niejednego rosyjskiego budżetowca. Skąd ta – na miarę przepaści pomiędzy Harlemem i Wall Street – szalona różnica? Niska cena niezłej w sumie broszury o Wałęsie wzięła się stąd, że książka przygotowana została w Rosyjskiej Akademii Nauk, a ekipa autorska otrzymała po prostu za to swoje pensje. Instytucji nie stać (zarówno w sensie materialnym, jak i psychiczno-organizacyjnym), aby swą książkę zareklamować, spróbować sprzedać za granicę – kolportaż odbywa się w zamkniętym obiegu, a cena książki jest kwestią nieistotną. Dostojewski zaś sprzedawany w „Progrissie” ma być kupiony przez *inturistę* – i na to liczy właściciel. Mówiąc właściciel, nie mam na myśli właściciela sklepu, którym nadal jest państwo, lecz prywatnego właściciela książek. On to bowiem ustala cenę na swą własność, a owa cena może być zupełnie kosmiczna.

Na szczęście jednak dla czytających, rynek książki przeżył w latach 1987-1992 wspaniałe pięciolecie – jakiego w sensie edytorским nigdy nie było i zapewne długo nie będzie. Najpierw wydawano pisarzy wcześniej przeklętych: Solżenicyna, Szalamowa, Grossmana, Maksimowa, Władimowa, powrócił także Nabokow. Czytelnik rosyjski mógł się wreszcie bez obaw zapoznać z Hemingwayem, a także – wydawanym w masowych nakładach – Dumsem. Jedynie Brodski jest słabo obecny na rynku – bierze się to może stąd, że żyjącemu nobliście (lub właścicielowi jego praw) trzeba byłoby wypłacać honoraria lub tantiemy, a tego – przy tak niskim kursie rubla w stosunku do dolara – żadne miejscowe wydawnictwo nie jest w stanie zrobić*.

Książka w ogóle cieszy się tu zainteresowaniem. Jest sprzedawana wszędzie: zarówno na ulicy, jak i w metrze. Prócz książki wybitnej, wydawanej z doskonałym edytorskim komentarzem i bez błędów, wydaje się literaturę drugo- i trzeciorzędną, lecz także fachową z dziedziny ekonomii i nauki języków. Uliczne stoiska zawalone są licznymi teozoficznymi przepowiedniami (w rodzaju *Księgi tajemnej* Bławatskiej), ale także słownikami rosyjsko-angielskimi. Zarówno Bławatska, jak i słownik Webstera są kilkakrotnie droższe od wydań rodzimych filozofów.

Moskwa „kupiecka” na Arbacie

Bułat Okudźawa powiedział podczas swojej ostatniej wizyty w Polsce wiosną 1992 roku, że Rosja niczego nie produkuje – ludzie zajmują się wyłącznie handlem, a sprzedają przeważnie towary obce. Od niepamiętnych czasów handlowym centrum był Kitaj-Gorod (Miasto Środka), przylegający do Placu Czerwonego i Kremła. „Przed Kremlem – pisze historyk Moskwy – na Placu Czerwonym, można było kupić wszystkie potrzebne dla gospodarstwa do-

* Potem odkryłem, że jednak Brodskiego wydawano. Np. w 1992 roku w Moskwie tom *Bog sochraniajet wsio*, a w Mińsku dwutomowy wybór wierszy, esejów i sztuk pt. *Forma wriemieni*.

mowego przedmioty. Było tam też szczególne miejsce, gdzie kobiety sprzedawały przeważnie własne domowe wyroby”. (M. Pylajew, *Staraja Moskwa*). W czasach sowieckich Plac Czerwony na tyle zmienił swe oblicze, że do dziś wielu ludzi uważa, iż swą nazwę zawdzięcza on rewolucji październikowej...

Współczesną karykaturą Kitaj-Gorodu stał się Arbat. Ta droga sercu mieszkańców Moskwy ulica zmieniła się zupełnie za czasów sowieckich. Najpierw zniszczono historyczne domy, aby zbudować prospekt Kalinina. Następnie, na początku lat 80. zatrzymano ruch trolejbusów, by stworzyć coś w rodzaju strefy dla pieszych. Na środku postawiono latarnie w stylu pseudoparyskim. Mniej więcej bowiem od roku 1987 Arbat stał się deptakiem handlowym. Na początku przypominał nieco krakowską Bramę Floriańską, dokąd przychodzili sfrustrowani artyści, aby coś niecoś zarobić, ale także „wyzalić się” artystycznie. Za Jelcyna Arbat został opanowany przez handlarzy-stolikowców, którzy sprzedają matrioski z obliczem Gorbaczowa, wciskają lak (malowane szkatułki drewniane), gżel (porcelanę użytkową i ozdobną, koniecznie z pieczętką na spodzie: *Hand made in Russia, Gzhehl*), czarny kawior oraz butelki podrabianego Napoleona. Ceny owych towarów są dla Rosjan zawrotne – duży Matrioszka-Gorbaczow kosztuje 10-15 tys. rubli, podczas gdy przeciętna płaca szacowana jest na 5-6 tys. Klientami są zapewne odwiedzający Arbat z kamerami wideo Europejczycy – jak jedna z owych dam, która, gdy podałem jej zgubiony szal, podziękowała z angielska: *Thank you*, aby potem poprawić się z „rosyjska”: *Spa-sea-bou*.

Gdy Okudźawa krytykował tego rodzaju „kupców”, nie popełniał typowego dla antykupieckiej Moskwy grzechu. Biblią owej Moskwy były w XIX wieku dramaty Aleksandra Ostrowskiego, powieści Piotra Boborykina, a na początku naszego stulecia twórczość Gorkiego. Wedle tych pisarzy kasta kupiecka przyczyniła Rosji jedynie szkód i zepsuła moralność. Boborykin bił na alarm, że kupcy nie tylko handlują, lecz także opanowują swymi mackami naukę oraz sztukę. Inteligencja rosyjska, zarówno słowianofilsko-ziemiańska jak i okcydentalna, gardziła – przynajmniej w swych teoretycznych rozprawach – pieniędzmi i hand-

lem. Gdy powstawał Moskiewski Teatr Artystyczny, a jednym z jego założycieli stał się potomek kupieckiego rodu Konstantin Aleksiejew (na scenie Stanisławski), anonimowy kupiecista trwożył się, że oto kupcy „pogrzebali trupa Melpomeny”.

Okudźawie chodziło raczej o ten nurt „kupiectwa”, który nie należał nigdy do przyzwoitej gildii. O tych handlarzach z dzisiejszego Arbatu (gdzież im do owych gospodyń, które pod murami Kremla targowały własnymi wyrobami...) można by mówić słowami szesnastowiecznego podróżnika włoskiego Barberino, który odwiedził Moskwę i potępiał handlarzy-oszustów: *Tingono zibellini ed altre pelli per farle parer piu belle*. (Malują gronostaje i inne futra, aby wydawały się piękniejszymi.)

Czym jeść kotlet?

Któż nie zna rosyjskiego przysłowia: *Kurica nie ptica, Polska nie zagranica?* Gdy jednak dzisiaj Polak odwiedza Moskwę, jest tam traktowany tak, jak w Polsce 15 lat temu traktowano Amerykanów, Niemców i Anglików. Przysłowie straciło aktualność. Wielu Rosjan, z którymi rozmawiałem, uważa, że plan Balcerowicza się powiódł. Opinia tych Rosjan może być łatwo wyśmiana przez polskich „polityków od gospodarki”, którzy swą błyskawiczną karierę zawdzięczają krytyce Balcerowicza. Bo przecież – dlaczego mamy Polskę porównywać z Rosją, a nie z Francją i Niemcami? Rzecz jednak w tym, że należeliśmy przez 45 lat do jednego systemu. Polak, który odwiedza dziś Moskwę, przypomina sobie tę Polskę, którą mieliśmy jeszcze niedawno: bardzo brudne ulice i domy, w większości sklepów tylko podstawowe towary, niemiła i niefachowa obsługa. Maksymalista powie, że dzisiaj mamy to samo. Wtedy można mu tylko odpowiedzieć słowami markiza de Custine’a: „Jedź do Rosji”. Francuski markiz ubolewał nad brakiem wolności w Rosji Mikołaja I – my przytaczamy jego słowa jako ostrzeżenie dla tych, którzy chcieliby w Moskwie wypić aromatyczną kawę ze śmietanką, dobre piwo lub zaprosić dziewczynę na lody. W tym wzglę-

dzie przepaść między Krakowem a Moskwą jest większa aniżeli pomiędzy znanym z uroczych kafejek Paryżem a naszym stołeczno-królewskim miastem.

Jak wygląda życie na prowincji rosyjskiej, o tym informuje nas ostatnio Ryszard Kapuściński w książce *Imperium*. Ale i w Moskwie trzeba „skakać (a najczęściej – z powodu ich wielkości – obchodzić) przez kałuże” i jeść w barach, gdzie brakuje łyżek lub widelców albo wszystkiego naraz. Wtedy kraje się *otbiwnoj sznicel* łyżeczką do herbaty.

Każdy obcy w Moskwie będzie się w niej gubił z powodu gruntownej zmiany nazw ulic. Z jednej strony przywracano stare historyczne nazwy: Priczistienka, Bożedomka, Warwarka. Starano się zlikwidować nazwy komunistyczne, ale tu brakło konsekwencji: nie ma już Prospektu Kalinina, ale jest ulica Kujbyszewa, w metrze wszyscy tego rodzaju „patroni” stracili swe stacje – natomiast samo otwarte w 1935 roku przez Józefa Stalina metro dalej nosi imię nauczyciela Dżugaszwilego: Lenina. Na dawnym Placu Dzierzyńskiego najpierw zburzono jego pomnik – obecnie stoi tam krzyż z „konstantyńskim” napisem: *Sim pobiediszi*. Sam Plac odzyskał starą nazwę Łubianskaja ploszczad'. Gdyby ktoś z młodszych czytelników pomyślał, że słowo „Łubianka” wymyślili bolszewicy, to by się pomylił. Stare rosyjskie słowo *lub* oznaczało korę lipy, z której w średniowieczu robiono łapcie, handlowano nimi w mieście, w którym potem NKWD dokonywało masowych zabójstw.

*

W Moskwie trudno kupić plan z aktualnymi nazwami ulic i stacji metra.

Polski podróżnik może być jednak pewien, że bez kolejki kupi podstawowe produkty: chleb, mleko, masło, mięso, smaczną wędlinę. Za kilkakrotnie mniejsze pieniądze aniżeli w Polsce.

Życie codzienne

Aby zrozumieć, na ile (w sensie materialnym) życie w stolicy Rosji jest trudniejsze niż w Polsce, trzeba porównać relacje cen do wydat. Rosjanie zarabiają 10-krotnie mniej aniżeli Polacy; ich pensje wynoszą około 15 dolarów, podczas gdy nasze – 150. Jednakże ogólnie ceny towarów w Rosji wcale nie są 10-krotnie niższe niż w Polsce. Są nieliczne wyjątki – nadal niezwykle tania jest komunikacja miejska. Przejazd metrem lub autobusem kosztuje jednego rubla, co pozwala – przy średniej pensji – jeździć w miesiącu 6 tysięcy razy! Jeszcze tańsze są rozmowy miejscowe przez telefon: z domu nie kosztują nic, a z automatu 15 kopiejek. Inna rzecz, że owych piętnastokopiejkowych monet trzeba szukać ze świecą. Za to z biura można rozmawiać godzinami. Decyzja o wprowadzeniu opłat za rozmowy miejscowe w zależności od ich długości wywołuje tu gorący sprzeciw – ludzie zadają znane również Polakom pytanie: co zrobią schorowani emeryci, dla których rozmowa przez słuchawkę jest jedynym sposobem na kontakt ze światem?

Z tego powodu w Moskwie wieczorem trudno się dodzwonić – ludzie w kraju, gdzie czas nie stał się jeszcze problemem, gawędzą sobie do woli za darmo.

Słyszy się, że na prowincji ludzie marzną w mieszkaniach. Kiedy przyjechałem, w Moskwie zaczął się sezon grzewczy – w moim pokoju na Arbacie nie można było wytrzymać od... gorąca. Przypomniał mi się od razu Kraków z niepotrzebnie ogrzewanymi klatkami schodowymi i gorącymi kaloryferami w maju. Ale tam – w przeciwieństwie do nas – ludzie za to bezpośrednio jeszcze nie płacą. Jeżeli przeto ktoś chce się jesienią wygrzać, niech nie jedzie, broń Boże, do Paryża, gdzie gospodarz będzie mu zakręcał grzejniki... Za to może bez obawy wynająć kwatery na Arbacie.

Rosja nie wie jeszcze, co to znaczy bezrobocie. W Moskwie na każdym kroku, w bibliotekach, księgarniach, biurach, muzeach, sklepach zatrudnione są masy nie wykonujących żadnej pracy lu-

dzi. Osobliwie wygląda położenie milicji. Stróża „porządku” można spotkać dosłownie wszędzie: kontroluje czytelników w bibliotekach i lustruje pasażerów, czy wchodzą z żetonami do metra, daje baczenie, czy do muzeum ktoś nie próbuje wejść od tyłu, gwizdże, gdy na dziedzińcu Kremla ktoś próbuje ominąć bezsensowną barierkę, sprawdza dokumenty (szczególnie przy... wyjściu) w ogromnym Domu Prasy.

*

Nie jest to żadne obiektywne studium, bo takiego nie napisze nikt po 10-dniowym pobycie w stolicy. Najbardziej ogólnym wnioskiem jest to, że w Rosji nie działa żaden rynek. Podejmowane przez rząd próby prywatyzacji gospodarki (do których wstępem ma być tak zwana wauczeryzacja, czyli rozdawanie każdemu obywatelowi Rosji bonów o wartości 10 tys. rubli, za które będzie można potem kupić akcje przedsiębiorstw) są w stanie załazkowym, a ulica nic z nich nie rozumie. Ulica zresztą polityką się nie interesuje – te odgłosy z Kremla, które dochodzą do nas, czyli przepychanki personalne, ujawnianie archiwów, w Moskwie są o wiele mniej słyszalne. Jelcyn – niestety – coraz bardziej traci popularność; najważniejsze są w tej chwili kwestie gospodarcze. A w kraju, w którym przez 75 lat nie działały żadne zdrowe mechanizmy ekonomiczne, trudno jest dokonać zmiany z dnia na dzień.

Tradycja i zimne parówki (1993)

Jarosławł nad Wołgą leży ponad 300 km na północny wschód od Moskwy. Wedle tradycji, został założony w połowie XI wieku przez księcia Jarosława, zwanego Mądrym. Ów syn św. Włodzimierza podczas polowania w lasach wokół Rostowa Wielkiego odłączył się od drużyny i natknął na niedźwiedzicę. Gdy ją zabił, rozkazał na tym miejscu wybudować miasto, które nazwano na jego cześć Jarosławlem.

Odwiedziłem księżcy Jarosławł w pierwszych dniach lutego. Gdy chciałem wracać do Moskwy, okazało się, że pociąg, na który liczyłem, spóźnił się nie godzinę – jak zaplanowałem – lecz 50 minut. Wypadało czekać na następny. Była godzina 6 wieczorem, a pospieszny do stolicy miał odjechać 30 minut po północy. Na szczęście, dojrzałem ogłoszenie, że kolej oferuje podróżnym, za odpowiednią opłatą, pokój wypoczynkowy z wszelkimi – nietypowymi pod tą szerokością geograficzną – wygodami. Wszedłem na pierwsze piętro i zameldowałem się przed babą hotelową.

– *Wasz pasport* – warknęła. Na szczęście wzięłem go w podróż; był całkiem nowy, z kolorowym zdjęciem. Niestety, nie wystarczył.

– *Pokażycie drugoj, sowietskij* – zażądała.

– Nigdy nie miałem sowieckiego paszportu – odparłem z polską butą.

– Nie macie sowieckiego, nie dostaniecie pokoju. Muszę zapisać nazwisko i adres klienta, a ja tych waszych liter nie rozumiem.

– To ja pani napiszę po rosyjsku – zaproponowałem z nadzieją. W końcu publikowałem coś niecoś w rosyjskich pismach i wiem, jak napisać moje nazwisko grażdanką.

– Nic z tego. Bierzcie wasz paszport i czekajcie na pociąg w hali dworcowej – taki był koniec dyskusji.

Uparłem się jednak, zszedłem na dół do okienka, gdzie siedziała *dieżurnyj po wokzału*, baba, wypisz wymaluj jak tamta z góry. Oczywiście poparła swoją koleżankę, a mnie kazała jechać do miasta i odpoczywać w hotelu dla *inturistów*.

– A gdzie jest napisane, że z europejskimi paszportami nie wolno wam wynajmować pokoju? – zapytałem. Mogłem, się domyślić kontry:

– A gdzie jest napisane, że wolno?

Była jeszcze jedna szansa. Na pierwszej stronie polskiego paszportu „władze Rzeczypospolitej Polskiej zwracają się z uprzejmą prośbą do wszystkich, których może to dotyczyć” o okazanie pomocy właścicielowi paszportu w czasie jego przebywania za granicą. Owa prośba wydrukowana jest w czterech językach, także po rosyjsku, grażdanką. Ale to również nie pomogło.

Tymczasem baba w okienku konsultowała się z dwiema sąsiadkami, ale i te kiwały przecząco głowami, z pewnym nawet współczuciem. Potem przyszedł jakiś mężczyzna – w sumie moim przypadkiem zajęło się sześć osób, przekonywali mnie, że kobieta na gorze postąpiła jak należy.

Wreszcie – *deus ex machina* – pojawił się milicjant; młody, sympatyczny. Ostrożnie przedstawiłem mu sprawę. Zapytał, czy mam bilet do Moskwy. Szczęśliwie wykupiłem miejsce parę minut przedtem. Od grudnia ubiegłego roku w Rosji bilety są imienne; aby zapobiec spekulacji (miejsca w pociągach są śmiesznie tanie), kolej odnotowuje na bilecie nazwisko pasażera, a konduktor ma prawo żądać od podróżującego paszportu. Ów milicjant wziął bilet, na którym grażdanką piętnaście minut wcześniej wypisano moje nazwisko, i zwrócił się do kobiet:

– A wy co, kobiety? Czytać nie umiecie? Tu macie nazwisko, w paszporcie jest numer. Zapisać i przyjąć na nocleg!

Mrugnął jeszcze do mnie na pożegnanie, że niby nowe czasy, a te babcie niczego nie rozumiały. Po chwili byłem w ogromnym czystym pokoju: świeża pościel, ciepłutko. Pospałem pięć godzin, po czym obudzono mnie, abym spokojnie odjechał tam, skąd przyjechałem. I rzeczywiście, o świcie byłem w Moskwie.

Historia a rzeczywistość

Jarosławł, który tak gościnnie przyjął mnie tamtego wieczoru, swą świetność przeżył w wieku XVII. Był wtedy uważany za drugie po Moskwie miasto Rosji: dzięki kupcom, którzy sprzedawali rosyjskie towary na Wschód i do Europy. Rosjanie nie bali się wówczas „napływu obcego kapitału” i pozwalali handlować w Jarosławlu kupcom holenderskim, duńskim, niemieckim, francuskim, a także indyjskim. Anglicy mieli tam nawet stocznię, a ich statki płynęły Wołgą ku Morzu Kaspijskiemu, a potem do Persji.

Ściągając umiejętnie podatki, miasto rosło w siłę: do końca XVII wieku zbudowano wiele zachowanych do dziś cerkwi, z czerwonej cegły, przeważnie z pięcioma zielonymi kopułami. W bibliotece jarosławlskiego Spaso-Prieobrażenskigo klasztoru w roku 1795 odnaleziono rękopis *Słowa o wyprawie Igora*.

Ale dzisiaj w Jarosławlu trudno kupić nawet plan miasta, nie mówiąc już o jakiejś informacyjnej broszurze. W księgarniach to samo co w Moskwie: Dumas-ojciec, przygody Angeliki, powieści fantastyczne Iwana Jefriemowa. W handlowych budkach nieśmiertelne snickersy i fanta w puszkach, w aptekach – tampony Tampax. Odwiedziłem jeszcze kilka takich miast jak Jarosławł nad Wołgą: Włodzimierz nad Kłazmą, Suzdał, Kołomnę (w której w roku 1611 więziono nieszczęsną Marynę Mniszchównę, żonę dwóch Samozwańców), Nowogród Wielki. Wszędzie to samo: miasta wprost ociekają historią, a dzień dzisiejszy jakby w nich zamarł.

Po wzruszeniach w Sofijskim Soborze w Nowogrodzie, gdzie wisi ikona Bogarodzicy Znamienije, która – podług tradycji – ochroniła nowogrodzian przed wojskami suzdalskimi Andrzeja

Bogolubskiego w roku 1169, po zwiedzeniu kremla i murów obronnych miasta nad rzeką Wołchow, po obejrzeniu fresków Teofana Greka w cerkwi Spasa na Iljinie – po tym wszystkim wszelako chce się zwyczajnie jeść. Tymczasem w sobotnie popołudnie nie jest łatwo kupić bułkę w Nowogrodzie Wielkim. Podobnie jak w Suzdalu, grodzie założonym na początku XI wieku. W roku 1608 miasto zostało złupione i spalone przez Polaków pod wodzą pułkownika Aleksandra Lisowskiego, pozostającego na służbie Dymitra II Samozwańca (tuszyńskiego wora, jak nazywali go Rosjanie). Z Suzdala wyszedł bohater narodowy Rosjan, jeden z organizatorów wojny z Polakami, Dymitr Pożarski. Suzdał jest przepiękny, niezliczone cerkwie, głównie XVIII-wieczne, nie są tak zniszczone jak gdzie indziej. To miasto miało być wizytówką turystyczną Związku Sowieckiego, dlatego nie spotykamy tu wokół kremla budowli socrealistycznych, dworzec autobusowy w stylu soc oddalony jest od starego miasta o parę kilometrów.

I na tym właśnie dworcu próbowałem się posilić po dniu pełnym wrażeń. Głównym i jedynym daniem były parówki, rzecz jasna zimne – może dlatego, aby dały się jeść palcami, bo widelców akurat nie było.

Aby z Moskwy dotrzeć do Włodzimierza nad Kłazmą, musiałem z Dworca Kurskiego przejechać „klasyczną” jeroziejewowską trasę Moskwa-Pietuszki. Z Moskwy do Pietuszek jest ok. 150 km. Z Pietuszek do Włodzimierza jeszcze 50. Wagon nie ogrzewany, na rozgrzewkę można było kupić lody. O Pietuszkach świat dowiedział się przypadkiem, same Pietuszki zresztą nic z tego nie mają. Ponura stacja, jak każda inna na tej trasie, świadczy o tym, że kapitał zagraniczny nie zamierza na razie otwierać tu żadnej destylarni. We Włodzimierzu jest muzeum, w którym znajdują się zabytki związane ze wspaniałą przeszłością miasta. Na ścianie jednej z sal można przeczytać optymistyczną informację, jaką podawał „Rocznik Włodzimierskiej Guberni” w roku 1880:

„Ateistyczne korzenie nie mogły zapuścić korzeni we Włodzimierzu, teorie Webstera, F. Straussa oraz Darwina i innych są tu znane zaledwie nielicznym, a i to ze słyszenia”.

*

Na kremlu w Nowogrodzie od roku 1863 stoi Pomnik Tysiąclecia Rosji. Dzieje Rosji liczy się bowiem od roku 863, kiedy to – według Latopisu Nestora – przywołano na Ruś książąt wareskich. 74 lata bolszewizmu stanowią niecałe 7 procent tych dziejów. Co z tego jednak, że trwało to tak krótko, skoro szkody poczynione w sferze kultury materialnej trzeba będzie teraz naprawiać co najmniej 50 lat?

Gwardia kontratakuje?

Na razie – gdy chodzi o przeciętny poziom życia – zmienia się na gorsze. Korzystają z tego komuniści. Na dworcu w Nowogrodzie Wielkim kupiłem wydawaną od czerwca 1992 „Trybunę”, organ miejscowych bolszewików. Znany pisarz, Wasilij Biełow, w artykule *Kłamstwo* zżyma się na projekt referendum w sprawie prywatyzacji i stworzenia możliwości obrotu ziemią:

„Ziemia, którą z takim trudem zbierał moskiewski książę, Iwan Kalita, wpadnie w ręce międzynarodowego spekulanta – razem z rudą, gazem i ropą naftową, razem z lasami, kwiatami i ptasimi gniazdami. A my, potomkowie wojownika Światosława i Aleksandra Newskiego, będziemy na tej już nie swojej ziemi, dla obcego wujka harować, i jeszcze procenty płacić za długi, które zaciągnęli Gorbaczow i Gajdar”. Inny autor tej gazetki obwinia „demokratów” o spadek liczby urodzeń w Rosji: proponuje zamrożenie cen i płac, nałożenie podatków na wielkie majątki, tak aby dzieci, wnuki i prawnuki bogaczy też musiały pracować na chleb.

Sankt-Petersburska „Narodnaja Prawda” kolumnę „Słowo honoru” udostępnia młodzieży. W trzecim, styczniowym numerze D. Jusupowa, uczennica 10 klasy, pisze w tekście *Do więzienia z nimi*: „Wierzę, że ekipa Jelcyna nie dotrwa do 1996 roku, i w tym czasie będzie siedziała w więzieniu razem z Gorbaczowem”.

Tymczasem z moskiewskiego więzienia Matrosskaja Tiszyna wypuszczono już wszystkich dwunastu organizatorów puczu z sierpnia 1991 r. W pewnym sensie mieli szczęście, że pucz się nie udał. Znając historię bolszewickiej partii, trudno przypuszczać, by – w razie sukcesu – wszyscy dzisiaj znajdowali się na wolności. A tak mogą wylewać swoje żale na łamach dotowanej przez budżet państwa komunistycznej prasy. Anatolij Łukjanow nie dostał pozwolenia na podróż do Wołgogradu, gdzie chciał wziąć udział w obchodach 50. rocznicy bitwy pod Stalingradem. „Sowietskaja Rossija” z 2 lutego informuje o tym na pierwszej stronie i publikuje list Łukjanowa do „wołgogradzkich przyjaciół”, w którym stary towarzysz nazywa oszczercami i przestępcami tych, którzy chcą oddać władzę „garstce kapitalistów i spekulantów”, na szkodę milionów pracujących. Drugi z dwunastki, Walentin Pawłow, udziela gazecie wywiadu, któremu redakcja daje nostalgiczny tytuł: *Gdzie mocarstwo, z którego byliśmy dumni?*

Prasa zachodnia, polska telewizja informują z pewną Schadenfreude o zjeździe komunistów, na którym z wielkim aplauzem powitano organizatorów puczu. Takie informacje zawsze kryją w podtekście fałszywą tezę, że Rosja nierozzerwalnie związana jest z komunizmem i w końcu do niego powróci. Puczyści mają w pewnych kręgach opinię męczenników: spędzili półtora roku w więzieniu, bez sądu. Ich proces może przybrać inny obrót, aniżeli chcą oskarżyciele. Oskarżeni wyraźnie dają do zrozumienia, że podczas procesu będą nie tyle bronić się, ile oskarżać. Oskarżać Gorbaczowa, Jelcyna, Gajdara. Już jednak to, że mają taką możliwość, świadczy, iż Rosja od komunizmu odchodzi. Bez przelewu krwi, bez pokazowych procesów, ale za to, na razie, bez jakichkolwiek sukcesów gospodarczych.

Udutki codzienności

Na Rusi w zasadzie nie jedzono cielęciny, zajęcy, gołębi, raków. Posty prawosławne były o wiele surowsze aniżeli katolickie. W po-

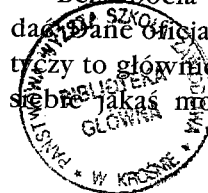
niedzialki, piątki i środy nie wolno było jeść mięsa, w tym ryb, nabiału i jaj, cukru. Dlatego tak powszechne są tu do dzisiaj potrawy mączne: bliny, pierożki, weselne karawaje z pszennej mąki, a także grzyby i kasze.

Ziemniaki dotarły do Rosji za czasów Katarzyny II – chłopci początkowo nie chcieli ich jeść. Staroobrzędowcy wręcz utożsamiali ziemniaki z rajskim owocem zakazanym – kto zjadł, nie dostąpi królestwa niebieskiego.

Tymczasem ziemniak, obok kaszy, chleba i innych mącznych potraw, stał się u schyłku wieku XX podstawowym pokarmem mieszkańców miast rosyjskich. Nie z miłości, rzecz jasna, lecz z przymusu. Dobra pensja wynosi dzisiaj – po wszelkich już podwyżkach – 10 tys. rubli, ale są ludzie, którzy zarabiają zaledwie połowę tego. Dla tych ostatnich nawet jajko (w Moskwie 15 rubli za sztukę, w Petersburgu – 10) jest luksusem. Kilogram zaś masła kosztuje tysiąc rubli, mięsa – tyle samo, dobra kiełbasa – 2 tysiące; za kilogram szynki trzeba zapłacić nawet 3 tysiące.

Prawo wolnego rynku mówi, że jeśli cena jest taka, to widocznie musi istnieć klient. Odwiedziłem w Moskwie tzw. Daniłowski Rynok, zadaszony bazar handlowy tuż obok siedziby Moskiewskiego Patriarchatu. Oczywiście nie jest to jeszcze paryska rue Mouffetard, ale bazar wygląda imponująco: wszelkiego rodzaju mięsowo i wędliny, nawet kapusta i ogórki kiszzone wyglądają tam świeżo i apetycznie. Tyle że nikt tego nie kupuje. Ceny bowiem ustalono grubo ponad granicę przyzwoitości. Tak jakby sprzedajacemu nie zależało na sprzedaży towaru. Kupującego usiłują przekonać, że to nie oni ustalili ceny. Cena powstaje w jakichś mitycznych gabinetach, a oni tylko się jej podporządkowują. Wygląda na to, że państwo – nie dokonawszy żadnej reformy zatrudnienia – zmuszone jest wyciągać od pracujących te pieniądze, które wypłaca im co miesiąc w formie pensji.

Bezrobocia w Rosji, przynajmniej w dużych miastach, nie widać. Dane oficjalne mówią o zaledwie 600 tys. bezrobotnych – dotyczy to głównie prowincji. W dużych miastach każdy znajdzie dla siebie jakąś możliwość pobierania regularnej pensji, chociażby



w muzeum. W Sankt-Petersburgu, na Wasiljewskom Ostrowie znajduje się Muzeum Marynarki Wojennej. Dyrekcja oferuje miejsca pracy dla: inżyniera, mistrza CO, cieśli oraz palacza. Takich ogłoszeń nie widziałem w bogatej i posiadającej liczne muzea Bawarii...

Jedną z niewielu rzeczy, które w Rosji dobrze działają, to moskiewskie metro. Stacje nie są tak gęste jak w Paryżu, ale pociągi chodzą niezwykle regularnie i szybko. Bilety są tanie. Trudno za to podróżować autobusami i trolejbusami – czasami trzeba czekać i godzinę. Dlatego metro często jest przepełnione. Ludzie spieszą z domu do pracy i z pracy do domu. Jaki procent wykonuje pracę sensowną? Na pewno mniej niż połowa.

Skoro jednak ceny na żywność są tak wysokie, skoro w Rosji jest tyle ziemi uprawianej źle lub leżącej odłogiem, jeśli można już tę ziemię brać w dzierżawę i uprawiać na własny rachunek, to dlaczego naród nie pali się do tego? Przecież wszyscy żyjący na wsi zdają sobie sprawę, że minęły już bezpowrotnie czasy, gdy po kielbasę i chleb jeździło się do Moskwy. Przyczyny takiego stanu są dwie:

1. pracujący w kołchozie, prócz tego, że dzierżawią kawałek ziemi, który pomaga im przeżyć, otrzymują jeszcze stałe pensyjki: trudno im przechodzić na niepewne swoje; nie ma żadnego banku chłopskiego, który udzieliłby rozsądnego kredytu, a traktora nie jest w stanie kupić nawet kołchoz;

2. handel w dużych miastach jest opanowany przez mafię; niechaj ktoś spróbuje kupić różę w moskiewskim metrze – jeden kwiat kosztuje dolara; mafia pobiera od handlujących „podatki”, kontroluje ceny, karze niepokornych.

Opowiadała mi dziewczyna, która przez pewien czas sprzedawała na Arbacie *Russian Matryoschka and Ural stones*, w jaki sposób wygląda handel na tej głównej ulicy Moskwy. Miasto nie pobiera od handlujących żadnych opłat. Za ustawienie stolika trzeba jednak zapłacić mafii 15 tysięcy rubli; potem „poborca” przychodzi co miesiąc. Doskonale funkcjonuje w tym systemie milicja: podobno owi stróżowie porządku zarabiają nielegalnie ogromne sumy. Ten pro-

ceder musi być niezwykle opłaczalny, skoro i do Polski, w ślad za sprzedającymi tandetę rosyjskimi handlarzami, przyjeżdżają rosyjscy „poborcy podatków”.

Biada rezonerom

Wieść gminna niesie, że ludzie w Rosji chodzą do teatru wtedy, gdy dzieje im się źle. W Rosji teatry były przepełnione do czasów pieriestrojki. Potem, na kilka lat, życie stało się ciekawsze. Jednak dzisiaj teatry znów są przepełnione – bilet do MChAT-u, w jednym z pierwszych rzędów, kosztuje 50 rubli, czyli tyle co bochenek chleba, a czterokrotnie mniej od puszki coca-coli. Miałem okazję obejrzeć tam *Mądremu biada* Gribojedowa, spektakl zrobiony przez Olega Jefriemowa. Losy autora dramatu były tragiczne. Miał zaledwie 34 lata, gdy jako dyplomata rosyjski został w 1829 roku zamordowany w Teheranie przez rozwścieczony tłum. Jego dramat z 1824 r. Rosjanie zawsze uważali za rewolucyjny, zarówno w sensie formalnym, jak i ideowym. Protagonistą sztuki, od niepamiętnych czasów, był Czacki, surowo krytykujący szlachtę moskiewską początku XIX wieku. Tymczasem dzisiaj Czacki nie budzi żadnej sympatii widowni. Ludzie są po stronie, o zgrozo!, „tępego biurokraty” Famasowa, owację wywołują śpiewane wstawki Skalozuba, tej – wg prof. Wiktora Jakubowskiego – „podpory rządowej w duchu zasad Świętego Przymierza”. Gdy drugorzędny bohater dramatu, pijaczyna Riepietiłow, mówi, że w życiu liczy się tylko wodewil, a wszystko inne jest głupstwem, publiczność przerywa spektakl długą owacją.

Ludzie w Rosji mają już dosyć rezonerów wszelkiej maści, zarówno „oświeceniowych”, jak i „średniowiecznych”, dydaktyków z małym poczuciem humoru, którzy poza swoją racją świata nie widzą. Partia, która wyciągnie z tego praktyczne wnioski, może wygrać następne wybory.

Zaułki Mistrza Wolanda (1995)

W Moskwie przy ulicy Wielkiej Sadowej 10 znajduje się tajemnicze mieszkanie numer 50, w którym w latach 1921-1924 mieszkał Michaił Bułhakow. Była to pierwsza moskiewska kwatery pisarza, ot taka zwykła komunalka, w której obcy sobie ludzie spali co prawda oddzielnie, ale gotowali i myli się oraz użerali z sobą na tych samych ciasnych przestrzeniach. Dzisiaj wszyscy mówią, że owa *żyłpłoszczad'* pod pięćdziesiątką stała się areną akcji *Mistrza i Małgorzaty*, a dokładniej – apartamentem podstępnie zajęтым przez Wolanda oraz salą dansów na Balu u Szatana.

Jak tam trafić? Gdy staniamiy twarzą w kierunku domu numer 10, a następnie wejdziemy w głąb pasażu, to na niechlujnym podwórku dostrzeżemy trzy budynki: z lewa, na wprost i z prawa. Po prawej stronie z daleka widać napis „Woland”, ale akurat ten budynek z Bułhakowem ma niewiele wspólnego – rozsiadło się tu biuro jakiejś firmy, zajmującej się handlem materiałami piśmienniczymi. Bliższy celu będzie ten, kto pójdzie na wprost i trafi do mieszkania numer 34 – niektórzy bułhakolodzy uważają, że właśnie to mieszkanie, a nie słynna pięćdziesiątka, było miejscem akcji powieści – tutaj pisarz mieszkał przez parę miesięcy w roku 1924, a i rozkład apartamentu potwierdzałby taką tezę.

Tradycja Bułhakowska uznała jednak za swą Mekkę mieszkanie numer 50 na trzecim piętrze budynku po lewej stronie. Już z daleka widać wysmarowany na ścianie napis: „Mistrzu, była u mnie prawdziwa Małgorzata”. Gdy wchodzimy w otchłań klatki, szok jest tym większy, a pierwsze przychodzi na myśl pytanie, jak

biedni sąsiedzi byłego Wolanda, czyli prawdziwi z krwi i kości mieszkańcy domu numer 10, mogą A.D. 1995 mieszkać w takich warunkach? Ściany są zasmarowane wielowarstwowymi napisami w kilku językach, a także bezpretensjonalnymi malunkami, nakładanymi farbą lub ołówkiem, słowem – graffiti. Świętej pamięci Mur Berliński, który od strony zachodniej również był pokryty tego rodzaju twórczością, wydał mi się w obliczu domu Wolanda nieprzyzwoitym czyściochem.

Ktoś śledzący historię tego budynku musi co jakiś czas odpisywać ze ścian napisy, a także fotografować rysunki, gdyż wkrótce znikają one pod warstwami nowej szalonej twórczości. Ciekawe, którą warstwę przyszła archeologia uzna za najbardziej wartościową? Wobec potęgi tych aforyzmów nie mogłem i ja powstrzymać się od wypisania do brulionu paru fraz ze ściany: *Der Kampf geht weiter, Beer, Sex, Drugs, Pecco, ergo sum* (Grzeszę, więc jestem), *Woland, a Ty był w Czernobyle?, Jedem das Seine* (Każdemu, co mu się należy), *Omnia vincet amor* (Miłość wszystko zwycięża), *Manuskripte brennen nicht* (Manuskrypty nie płoną) – oraz setki innych. Ktoś nostalgicznie wypisał na tynku, że nie ma już ludzi na świecie, oprócz punków. Zapewne innego zdania są grupy niepunkowskie, skoro pełno tam różnych swastyk i faszystowskich wyznań. Woland w grobie pewno się przewraca.

Akurat w tym czasie, gdy chodziłem po Bułhakowskiej Moskwie, polska telewizja pokazała film Andrzeja Drawicza, w którym ten znawca i tłumacz Bułhakowa (Wydawnictwo Dolnośląskie wydało jego nowy przekład *Mistrza i Małgorzaty*) oprowadzał widza po domu numer 10 na Wielkiej Sadowej. Oglądając te materiały z taśmy dokładnie w dniu powrotu z Moskwy w niedzielę 10 XII 1995 roku, z zazdrością patrzyłem, jak Andrzej, mój nauczyciel i przyjaciel, z łatwością otwiera żelazne drzwi „niedobrego mieszkania” Wolanda... Co ja mówię, te drzwi same się przed nim rozwarły, brakło tylko kłaniającego się w pas Korowjowa i Behemota z prymusem w kocich łapach, jakkolwiek cień Wolanda widziałem już oczyma wyobraźni na bocznej ścianie. Andrzeja jako rzeczywistego członka loży Bułhakowskiej nie obowiązują wi-

dać prawidła dla gości z zewnątrz – na żelaznych drzwiach mieszkania pod pięćdziesiątką stoi przecież jak wół wypisane: „Pukajcie, a będzie wam otworzone”... („*Stuczitie i budiet wam otkryto*”).

Przeto ja sam, gdy zjawiłem się pod tymi drzwiami dnia 6 XII 1995 roku, pukałem z nadzieją – ale nikt mi nie otwierał, i na siedem spustów drzwi zaryglowane były. Dokładnie piętnaście po trzeciej czasu moskiewskiego przed wejściem pojawili się trzej panowie w ciemnych strojach, którzy z wyglądu mogli przypominać agentów czarnoksiężnika. Pytali mnie, czy muzeum otwarte, a następnie stukali w te żelazne drzwi, walili w nie pięściami, jeden nawet kopał nogą, lecz gdy im także nie otwarto, wycofali się ze słowami: „*Nie dali priobszczitsia, swotoczi!*” – z czego zrozumiałem, że mieli jakieś plany unii z szatanem. Schodziłem z nimi długimi schodami w dół, już na podwórzu, wcale na mnie nie bacząc, pożegnali się niezrozumiałymi dla obcego gestami, następnie dwóch wsiadło do dużej czarnej wołgi i odjechali... Ktoś może pomyśli, iż to historia zmyślona, ale co ja poradzę, że właśnie to widziałem na własne oczy w dzień Świętego Mikołaja Roku Pańskiego 1995? Następnego dnia znów bez skutku próbowałem wejść do mieszkania Wolanda, ale wtedy na klatce spotkałem już tylko zwyczajną petersburską wielbicielkę Mistrza. Po długim pukaniu udało mi się wreszcie wejść dnia trzeciego i wtedy zrozumiałem, że żaden Bał u Szatana nie mógł się odbywać w tak ciasnych pomieszczeniach.

Gdy wyjdziemy z domu Bułhakowa na ulicę Wielką Sadową, stanowiącą część okrężnej magistrali Sadowego kolca (polska ambasada na Małej Gruzińskiej znajduje się o rzut kamieniem, a ostrzelany niegdyś przez Jelcyna Biały Dom – również niedaleko), a następnie skręcimy w lewo, to szlak poprowadzi nas bezpośrednio ku Patriarszym Stawom. Tam właśnie, na „pustej alei”, rozpoczyna się akcja *Mistrza i Małgorzaty*. Andrzej Drawicz kręcił swój film jesienią, staw lśnił wtedy w tle czystą wodą, podobnie jak w tamto upalne wiosenne popołudnie, gdy Iwan Bezdomny wraz z Michałem Berliozem spotykał się po raz pierwszy z zagranicznym profesorem, Wolandem. W grudniu 1995 roku staw był oczywiście

zamarznięty, tak że nawet dzieci mogły bezpiecznie pobiegać z tatusiami za hokejowym krążkiem. Pamiętamy, jak Berlioz na tym właśnie skwerze zakończył swe życie pod kołami rozpedzonego tramwaju, gdy motorniczy skręcał w „nową trasę” z ulicy Jermołajewskiej na Małą Bronną. Przez wiele lat po ukazaniu się *Mistrza i Małgorzaty* sądzono, że dbający o szczegóły moskiewskiej topografii Bułhakow opisywał rzeczywistą tramwajową trasę, a pociągi chodziły wtedy nie tylko po Wielkiej Sadowej, lecz nadto krążyły po zaułkach wokół Stawu Patriarszego. Tak zresztą myślał sam Andrzej Drawicz, skoro w filmie opisał on polskiemu widzowi zarówno drzwi kołowrotkowe (*turnikiet*), oddzielające aleję od trasy tramwajowej, jak i samą tę trasę. Podobno jednak – według nowych badań – żaden tramwaj tamtędy nigdy nie chodził, a Berlioz mógł w rzeczywistości stracić głowę pod żelaznymi kołami dopiero na Wielkiej Sadowej – jednakże w świetle Bułhakowa tramwaje chodziły swoimi własnymi drogami. Skoro nie ma niebezpieczeństwa tramwaju, a Annuszka może dzisiaj rozlewać swój olej jedynie na dziurawą asfaltową drogę, to i my bezpiecznie dochodzimy wzdłuż Małej Bronnej z powrotem do Sadowej, a skręciwszy w lewo jak tamtego wiosennego wieczora uczyniła wredna świta Wolanda, pędzimy co sił w nogach i tchu w płucach w kierunku Placu Smoleńskiego i Małego Arbatu. Płuca trzeba tu mieć rzeczywiście zdrowe, gdyż na magistrali Sadowoje kolco przewala się nieskończony sznur aut, kopających tak paskudnie, że chwilami nic nie widać na półtora metra.

Gdy już jednak miniemy znajdujący się po lewej stronie tzw. Nowy Arbat, czyli kolejną magistralę zbudowaną przez Nikitę Chruszczowa na miejscu barbarzyńsko zlikwidowanych przez jego kopaczy uroczych zaułków arbackich, to wkrótce znajdziemy się na rogu Placu Smoleńskiego oraz Starego Arbatu.

Stary Arbat i okolice

Będąc w Moskwie pięciokrotnie w ciągu ostatnich trzech lat, za każdym razem miałem szczęście mieszkać w domu numer 51, czyli tym samym, który stanowi arenę fabuły *Dzieci Arbatu* Rybakowa – na początku grudnia tego roku moja gospodyni z rozpaczą stwierdziła, że zaginęła jej gdzieś ta powieść z osobistą dedykacją Autora. Z domu nr 51 można iść w kierunku Kremla dwiema drogami: po pierwsze można wyjść na zaułek Siwcew Wrażek i mijając po drodze różne miejsca związane z Aleksandrem Hercenem, rodziną Aksakowów, Władimirem Sołowjowem, skręcić w Czysty Zaułek, a potem już droga prosto prowadzi do Prieczistienki. Są to również miejsca Bułhakowskie, sam autor w roku 1922 żył w domu numer 1 w Czystym Zaułku, a piękna willa Małgorzaty i jej pierwszego męża znajdowała się w „jednym z zaułków w pobliżu Arbatu” (dziś Mały Własjewski Zaułek nr 12). Ulicą Prieczistienką, która w latach 1921-1990 nosiła imię księcia-anarchisty Piotra Kropotkina, można dojść do tego miejsca nad rzeką Moskwą, gdzie dziś pełną parą idzie odbudowa chramu Chrystusa Zbawiciela. To właśnie tę trasę przemierzał Iwan Bezdomy w pogoni za Wolandem, to pewnie niedaleko tego miejsca, gdzie dziś w stanie surowym stoi betonowo-ceglany chram, młody poeta wykapał się w lodowatej wodzie rzeki Moskwy... Do Kremla z mojej kwatery można dochodzić także inną drogą, zwyczajnie przemierzając pieszo Stary Arbat, mijając po drodze różne koszarne sklepiki z pamiątkami, fotografów męczących na mrozie pozujące małpki, do innych przyzwyczajone klimatów, oraz dziwując się, jak ludzie mogą łykać (*głotać*) kiepskie piwo lub kawę przy żelaznych stolikach pod brudnoszarym niebem – w dodatku płacąc za to podług cen obowiązujących w kawiarenkach przy bulwarze Saint-Michel nad Sekwaną.

Stary Arbat po stronie domów o numerach parzystych rozciąga się pomiędzy restauracją Praga, odwiedzaną przez Bułhakowa

i jego powieściowego Mistrza, a sklepem spożywczym, tzw. Gastronome Smoleńskim, w którym w latach 30. znajdował się Torgsin. Był to sowiecki Pewex – sprzedawano tam cudzoziemcom za walutę wyszukane i nieosiągalne gdzie indziej towary. W powieści Bułhakowa w tymże właśnie Torgsinie rozgrywa się jedna z najbardziej znaczących scen. Korowjow i Behemot odwiedzają to miejsce, aby zadrzeć z jego klientów i właścicieli, a na końcu spalić je oczyszczającym ogniem z prymusa... Tuż obok „spalonego sklepu” stoi dzisiaj wielki McDonald, jeden z trzech w Moskwie, w którym – co było przed rokiem czy też dwoma sensacją okolicy – obok *gamburgiera* serwuje się dzisiaj *czornyj kofie*. Chłopak zapraszający tu znajomą na skromną randkę musi się liczyć z wydatkiem około 30 tysięcy rosyjskich rubli. W budkach na Arbacie za te same pieniądze mógłby sobie kupić pięć butelek piwa lub cztery butelki wódki pszenicznej, takiej jaką piją arbaccy bomżowie – znajduje się ich nieraz zamarzniętych na moskiewskim trotuarze, jako że bramy budynków mieszkalnych zaopatrzone są od jakiegoś czasu w domofony.

Ich chleb powszedni

Jednak dawny Torgsin, teraz sklep spożywczy, stoi dzisiaj na swoim starym miejscu nieco w cienu arbackiego McDonalda. Często tu przychodzę, nie ze względu na sentyment do Bułhakowa, ale po prostu dlatego, że jest to najbliższy od mojego moskiewskiego mieszkania spożywczy sklep. Katalog obowiązujących tu cen świadczy nieodparcie, że mieszkańcy Moskwy nie mają dziś łatwego życia – a jest to zwyczajny sklep, ni droższy, ni tańszy niż inne.

Jak wiadomo, pomagierzy Wolanda w minutę po wywołaniu pożaru w Torgsinie na Placu Smoleńskim, znaleźli się na bulwarze obok „domu ciotki Gribojedowa”. Musieli się chyba, o czym narrator powieści stosownie milczy, przemieszczać na odrzutowych miotłach, skoro z Arbatu do bulwaru Twerskiego, gdzie znajduje się realny Dom Hercena, jest bite czterdzieści minut drogi. Gdyby

pojechali metrem, to dla uniknięcia kłótni z babuszką-kontrolerem musieliby kupić żeton za tysiąc rubli, gdyby zaś chcieli telefonicznie poinformować swego szefa o wynikach akcji, powinni wrzucić do automatu inny żeton za ten sam tysiąc (jest to 30 fenigów, dokładnie tyle kosztuje rozmowa z aparatu w Monachium, w Polsce – trzy razy taniej).

Warzywa i owoce w okolicach Arbatu są często dwukrotnie droższe aniżeli w Polsce – jedna cytryna kosztuje 2 tys., kilo jabłek – 8 tys., kilo kapusty kiszzonej babcie sprzedają po 7 tys. (półtora dolara), a kapusta czerwona nie kosztuje nic, gdyż po prostu nie jest ona znana. Podobnie jak brukselka – tak mści się 70 lat kolektywizacji rolnictwa i jeszcze długo mścić się będzie.

Za każdym razem, gdy jestem w Moskwie, zadaję sobie racjonalne pytanie, z czego ci ludzie żyją? W tym roku odpada argument z roku poprzedniego, że oni prawie nic nie płacą za mieszkanie – dziś jest to już nieaktualne, gdyż na czynsz trzeba wydać pół emerytury. Więc z czego oni żyją? Większość ludzi zakupów dokonuje na tzw. *optowych rynkach*, czyli placach hurtowych, gdzie mięso, warzywa i owoce często są dwukrotnie tańsze. Towarami handlują przybysze z Ukrainy, Białorusi, Kirgizji, Tadżykistanu, Kaukazu i Zakaukazia – tam poziom życia jest znacznie niższy, a więc im się opłaca przyjeżdżać i handlować.

Wszyscy chyba zauważyli, że Rosjanie, którzy przyjeżdżają dzisiaj na handel do Polski, nie przywożą żadnych towarów (chyba tylko przemycają alkohol), za to kupują nad Wisłą różne tanie ciuchy oraz domowe urządzenia techniczne, aby z trudem sprzedawać je potem u siebie w domu. Wwiozą je zresztą tylko wtedy, gdy zapłacą myto rosyjskiemu celnikowi; sam widziałem, jak sąsiadka z pociągu „Polez” wypłaciła na granicy 50 dolarów, schowanych szybko do kieszeni przez „sprywatyzowanego” celnika (jak pamiętamy z Biblii – celnik to poborca podatków).

Metro kosztuje w Moskwie tysiąc rubli, ale połowa ludzi w ogóle nic nie płaci, gdyż albo są to emeryci, którym gwarantuje to ustawa (dotyczy to nie tylko emerytów z Federacji Rosyjskiej, ale także tych z Ukrainy i w ogóle wszystkich z upadłego Związku Sowiec-

kiego – wystarczy machnąć ręką przed oczami babci odpowiednią legitymacją, wtedy wpuści nawet na peron zbuntowanego Czeczeka), albo studenci, którzy podrabiają na kolorowym kserografie odpowiedni dokument. Z ulicy telefonują tylko niecierpliwi, jako że z domu można nadal godzinami rozmawiać za darmo – w tej dziedzinie też ma nastąpić zmiana, a popłoch wywołuje tu informacja, że w ramach abonamentu będzie można gadać tylko do 15 minut na dobę.

Co jeszcze? W ramach czynszu można do woli używać gazu, ale już nie prądu, który podrożał, nie mówiąc już o benzynie, która jest tylko nieznacznie tańsza aniżeli u nas. Dlatego też wielu mieszkańców Moskwy żyje bardzo biednie, nie kupuje gazet, nie chodzi do żadnego kina, z rzadka do teatru, ogląda tylko telewizję. Mam zresztą wrażenie, że telewizja rosyjska jest ciekawsza niż wiele innych, jest tam dziesięć rodzimych programów, a kilka z nich naprawdę na odpowiednim poziomie.

Wszelako nie samym chlebem...

Bułhakow w latach 20. był przede wszystkim człowiekiem teatru, a jego sztuki *Dni Turbinów* lub *Mieszkanie Zojki* pragnęła w tamtych czasach obejrzeć cała Moskwa. Wieść głosi, że Józef Stalin oglądał wystawianą na deskach MChAT-u opowiadającą o rycerzach Białej Gwardii sztukę *Dni Turbinów* ponad dwadzieścia razy. On, niegdyś kaukaski rabuś, a potem lis partyjny, marzył zapewne o tym, aby samemu stać się rycerzem „słusznej sprawy” – nie był nim jednak nigdy.

Dzisiaj w Moskwie Bułhakow wystawiany jest na kilku scenach. Teatr Satyry na Wielkiej Sadowej (jakże bliźutko do domu Wolanda...) pokazuje wersję *Mistrza i Małgorzaty* pt. *Schizofrenia, jak było powiedziane*; nie opodal Teatr im. Massowiet przedstawia *Białą Gwardię*, podobnie jak położony na Bulwarze Twerskim (niedaleko domu „ciotki Gribojedowa”) drugi MChAT im. Maksima Gorkiego. MChAT natomiast pierwszy (im. Antona Czechowa) wy-

stawia z rozmachem *Zmowę świętoszków*, wyreżyserowaną starannie przez Olega Jefriemowa, który ponadto wspaniale gra w tej sztuce rolę Moliera. To i tak jeszcze nie wszystko, jako że Teatr im. Gogola wystawia *Tramwaj-Annuszkę*, Teatr Dramatyczny im. Konstantina Stanisławskiego pokazuje *Psie serce*, a Teatr im. Jewgienija Wachtangowa – tragicznie kabaretowe *Mieszkanie Zojki*.

Oprócz tego, w wielu okolicznych teatrach różne Variétés, na ogół ze striptizem (nawet reżyser *Mewy* Czechowa wystawianej z fajerwerkami na Tagance, nakazał jednej z aktorek oczarować swym ciałem publiczność) – wszystko to przypomina powieściową scenę, gdy Fagot alias Korowjow z kocurem Behemotem rozebrali do rosołu marzące o pięknych wieczorowych strojach moskiewskie kobiety. Figiel musiał być bardzo bolesny, skoro realna Nadieżda Mandelsztamowa mściła się na Bułhakowie po latach – nazywała go „durniem”, który nie rozumie kobiecych potrzeb... Dzisiaj wnuczki tamtych ubieranych i rozbieranych przez Bułhakowa moskwianek odwiedzają Teatr Wielki, szokują bogactwem toalet, siedzą w pierwszych rzędach i oglądają *Chowańszczyznę* Modesta Musorgskiego. Gdyby jednak przyszły tutaj nie wieczorem, lecz na niedzielny seans porankowy, to pod położonym nieopodal pomnikiem Marksa zobaczyłyby tłumy demonstrujących i wygrazających czerwonymi flagami emerytowanych komunistów, którzy natychmiast, gdyby tylko dano im tę cząstkę utraconej władzy, odraliby je z wykwintnych sukien.

Życie teatralne Moskwy jest różnorodne i bogate, bilety na spektakle są na ogół jeszcze niedrogie (przeważnie dolar-dwa, chociaż do Teatru Wielkiego tradycyjnie płaci się bajońskie sumy), odbywają się premiery: np. w MChAT-cie w tym roku pojawił się *Borys Godunow* Aleksandra Puszkina oraz wystawiana na tle wspaniałej scenografii *Maskarada* Michaiła Lermontowa. Aktorzy odnajdują miejsce w nowej rzeczywistości, latem wyjadą na zagraniczne wojaże, aby sprzedawać swój profesjonalizm za walutę twardszą od rubla. Sporo miejsca na scenie zajmuje historia, dotyczy to szczególnie okresu Smuty (przełom XVI i XVII wieku). Ponieważ my, Polacy, odegraliśmy w tamtych wydarzeniach znaczącą rolę, to i dzisiaj

przybysz z Krakowa, oglądając np. *Borysa Godunowa* Puszkina, drży na myśl o tym, że mógłby zostać zdemaskowany przez moskiewską publiczność. Szczególnie wtedy, gdy na scenie groźnie brzmią słowa o Samozwańcu, który w tajemniczy sposób wypłynął w Krakowie pod Wawelem – aby po kilku latach pokonać Borysa Godunowa i zdobyć moskiewski Kreml. Gdyby jednak Iwan Groźny w okrutnym gniewie nie zabił swego syna Iwana, gdyby tenże Borys Godunow nie zamordował potem w Ugliczu najmłodszej Iwanowowskiej latorośli, carewiczka Dymitra – to i Polacy pewnie nie znaleźliby się nigdy na Kremlu...

W wystawianej w Małym Teatrze sztuce hrabiego Aleksego Tołstoja pt. *Śmierć Iwana Groźnego* jest scena, w której poseł Stefana Batorego, Haraburda, żąda od cara oddania Polakom Smoleńska, Połocka, Nowogrodu i Pskowa. Iwan krzyczy, że posłaniec jest pijany, a gdy ten w imieniu króla Batorego wyzywa go na pojedynek („Po co na darmo przelewać krew narodów naszych!”) car woła, że go zaszyje w skórę niedźwiedzia i zaszczuje psami w szczerym polu. Gdy zaś odważny posłaniec mówi: „Nie, tego Pan car uczynić nie jest w mocy” – Iwan przykłada mu do szyi włócznię. I ta właśnie scena dobrze tłumaczy, dlaczego w dwa wieki później to nie Polska dokonywała rozbiorów Rosji, choć w ostatnich latach panowania Groźnego miała jeszcze takie nierozumne plany.

W teatrach moskiewskich widać pewne ślady polskie. Czechowski MChAT wystawia Mroźkową *Miłość na Krymie*, a w innym teatrze niedawno odbyła się premiera aktualnej tu *Antygony w Nowym Jorku* Janusza Głowackiego (chyba nigdzie w Europie nie ma tytułu bezdomnych dzieci, co w Moskwie). Rosyjska telewizja niedawno pokazała filmową wersję *Mistrza i Małgorzaty* w znakomitej reżyserii Macieja Wojtyszki i z niezrównaną Anną Dymną w roli wiedzmy-Małgorzaty. Na straganach książkowych widać ciągle wydawane w sporych nakładach książki Stanisława Lema, który jest tu popularny także dzięki translatorskiemu i organizacyjnemu wysiłkowi Konstantina Duszenki.

Jak widać, nie opisałem Moskwy „nowych Rosjan”, którzy zbijają fortuny w ciągu jednego tygodnia, aby w następnym zginąć

pod gradem kul z kałasznikowa (tak Asasello na Balu u Szatana z zimną krwią rozstrzeliwuje szpicla, barona Meigla). Nie ma w Moskwie kulturotwórczego nawyku oszczędzania. Po co, skoro nazajutrz o poranku można już stracić swą młodą głowę? Podziw wywołuje natomiast szalone tempo, w jakim Moskwa się rozbudowuje i odbudowuje. Ulicom przywracano już dawne nazwy, tak że teraz można nie zbłądzić w okolicach Sadowego kolca, gdy tylko ma się za przewodnik *Mistrza i Małgorzatę*: sowiecka ulica Herce-na znowu stała się Wielką Nikicką, ulica Gorkiego – Twerską, Pionierski Staw – Patriarszym Stawem, a ulica Dostojewskiego – Bożedomką. Nawet Zaułek Bezbożny, w którym mieszka Bułat Okudźawa, stał się na powrót Księżym Zaułkiem.

Nizny Nowogród nad Oką i Wołgą (1997)

Nizny Nowogród leży 440 kilometrów na wschód od Moskwy, w tym miejscu, gdzie Oka wpada do Wołgi. Miasto założone w 1221 roku przez włodzimierskiego księcia Jurija Wsiewołodowicza w ubiegłym roku świętowało swoje 775-lecie. To trzecia pod względem ludności rosyjska metropolia, po Moskwie i Petersburgu, mieszka tu półtora miliona osób. Również obwód niżegorodzki znajduje się na trzecim miejscu w Rosji podług ilości inwestycji ekonomicznych, zaraz po Moskwie i po bogatym w ropę naftową Tiumeniu.

Jarmark Astolpha de Custine'a

Z Niznym Nowogrodem jest nieodłącznie związany tzw. jarmark niżegorodzki, istniejący od 1817 roku. Markiz de Custine uznał go latem 1839 roku za największy jarmark na świecie. Na początku działał wyłącznie w miesiącach letnich, ponieważ przez większą część roku był zalewany wodą przez naturalne coroczne rozlewy rzek. Handlowano tu suknem, bawełną, wełną kaszmirską, jedwabiem, futrami, żelazem wydobywanym przez więźniów-górników w kopalniach uralskich, stalą i herbatą. W 1874 roku car Aleksander II oddał jarmark na własność niżegorodzkiemu kupcom. Natychmiast nastąpił jego rozkwit – w 1877 zbudowano ogromny teatr na 1800 widzów, w dziesięć lat później powstał tam pierwszy w Rosji cyrk, w roku 1881 – oddano do użytku imponujący sobór

św. Aleksandra Newskiego, który stoi do dziś, ale w środku są już tylko gołe cegły i kawały gruzu. (Od roku 1990 cerkiew jest permanentnie odnawiana.) Na jarmarku można było wtedy kupić *wsio i skolko ugodno*, ciekawy świata kupiec mógł podziwiać występy szansonetek. W roku 1900 wydano tu nawet *Album prostytutek*, z fotografiami jarmarcznych panien, z ich nazwiskami i świadectwem lekarskim. Maksim Gorki w powieści *Artamonow i synowie* (1925) opisał wizytę na jarmarku jednego z bohaterów, który dowiedział się na miejscu, że coroczna jarmarczna orgia to neopogański „chrzest Rusi”, „coroczny chrzest w Wołdze i Ocie”. Po rewolucji 1917 jarmark był czynny tylko w okresie NEP-u, czyli w latach 1922-1930. Potem go zamknięto, aby w latach pięćdziesiątych przekształcić w budowlany kamieniołom. Od roku 1990 jarmark znowu działa, tyle że przekształcił się już w spółkę akcyjną Niżegorodskaja Jarmarka. Stracił wiele ze swego dawnego rosyjskiego uroku, jako że głównymi towarami w zamkniętych jarmarcznych pomieszczeniach są już zachodnie pralki, lodówki, itd. Jeżeli idziemy od dworca kolejowego w kierunku Starego Miasta, to jarmark niżegorodzki mijamy po lewej stronie. Zaraz potem skręcamy w prawo na ogromny most na rzece Ocie. Oka wpada w tym miejscu do Wołgi, a czyni to z wdziękiem, dwiema odnogami, pomiędzy którymi rozpościera się mała wysepka. Miejscowi nazywają to miejsce Strielką. De Custine, stojąc na tym moście w sierpniu 1839 roku, uznał oglądaną okolicę za cud przyrody: „Okolica Niżnego jest najpiękniejsza ze wszystkich, jakie oglądałem w Rosji; (...) Oka u ujścia wydaje się nie mniejsza niż Wołga, a jeśli traci tu swoją nazwę, to dlatego, że nie płynie z tak daleka. Część miasta zbudowana na górze wznosi się nad równiną bezkresną jak morze; świat bez granic otwiera się u stóp owego wzniesienia, pod którym odbywa się największy w świecie jarmark. Przez sześć tygodni w roku cały handel dwóch najbogatszych części świata skupia się u zbiegu Wołgi i Oki. To miejsce godne malarskiego pędzla” (A. de Custine, *Rosja w 1839 roku*; tłum. Paweł Hertz). Na jarmark niżegorodzki, który markiz określił mianem „istnego Sądu Ostatecznego kupców” oraz „saturnaliami przemysłu i handlu”, przybywało wów-

czas około 300 tysięcy osób. Tymczasem samo miasto liczyło zaledwie 20-30 tysięcy stałych mieszkańców. Dzisiaj proporcje się odwróciły, Niżny Nowogród jest już przecież zamieszkiwany przez 1,5 miliona ludzi. Zmieniła się też sytuacja na moście i płynące pod nim Oka oraz Wołga. Markiz widział następujący obraz: „Oślepiający kurz, ogłuszający hałas, pojazdy, piosi, żołnierze pilnujący porządku, wszystko tu utrudnia przejazd przez most, a rzeka tak jest wypełniona barkami, że nie widząc skrawka wody, nie sposób pojąć do czego służy ów most, na pierwszy bowiem rzut oka rzeka wydaje się wyschnięta. Statki stoją tak blisko siebie u zbiegu Wołgi i Oki, że można by przejść przez tę rzekę suchą stopą, skacząc z dżonki na dżonkę. (...) Przykuwa to wyobraźnię, ale moim zdaniem nie zadowala wzroku”. Dziś można przez most przejść spokojnie i na wydzielonej dla pieszych części nie napotkać żywej duszy. W miejscu złania się dwóch rzek nie ma żadnych statków, jest tak podobno od 10-15 lat.

Niżegorodzki kreml i okolice

Na początku swych dziejów miasto było otoczone drewnianymi murami, ale już w 1372 roku rozpoczęto budowę kamiennego kremla. Służył on potem jako punkt oporu w walce z chanatem Kazzańskim. W 1835 roku wzniesiono tutaj katedralny Sobór Przemienienia Pańskiego (Spaso-Prieobrażenskij). W podziemiach tego soboru zbudowanego na nowo w XIX wieku przygotowano specjalne miejsca na szczątki zasłużonych dla miasta i państwa obywateli. Przeniesiono tu między innymi prochy Kuźmy Minina. Niżny Nowogród stał się jesienią 1611 r. ośrodkiem oporu przeciwko ówczesnej polskiej władzy na moskiewskim Kremlu. Niżegorodzki kupiec i starosta Kuźma Minin wystąpił w Izbie Ziemskiej z patriotycznym apelem o pomoc dla podbitej przez Warszawę Moskwy. Rada Miejska zorganizowała zbiórkę pieniężną, a naczelnikiem drugiego pospolitego ruszenia przeciwko Polakom został książę Dymitr Pożarski. Jego wojska weszły najpierw do Kostromy, po-

tem do Jarosławla nad Wołgą, latem 1612 r. odepchnęły od Moskwy hetmana Jana Karola Chodkiewicza, a jesienią tego samego roku zdobyły ostatecznie moskiewski Kitaj-Gorod i Kreml. Kiedy władze sowieckie wysadzały katedrę w powietrze, nie oszczędziły także prochów zasłużonych nowogrodzian. Oficjalna wersja głosi, że szczątki Minina znajdują się teraz w kremlowskim soborze Archangielskim, ale gazety niżegorodzkie niejednokrotnie spekulowały, że te prochy już dawno przepadły w otchłaniach zburzonej katedry i zostały zastąpione przez szczątki trzech innych ludzi. Przy burzeniu katedry uległa zniszczeniu suzdalska ikona „Spas Nierukotwornyj” z połowy XIV wieku, czapka założyciela miasta księcia Georgija Wsiewołodowicza, XIV-wieczna ikona Matki Bożej Hodegetrii, rękopis Ewangelii z 1404 roku... Dzisiaj na miejscu zburzonej świątyni stoi Dom Sowietów. Władza bolszewicka wysadziła w powietrze również kremlowski Sobór Uspienski (zbudowany w roku 1827 roku w podzięce za zwycięstwo nad Napoleonem) i postawiła na jego miejscu budynek zarządu rejonowego partii. Inna malutka cerkiew kremla zastępuje dzisiaj garaż. Jedyne co na tutejszym kremlu ocalało, to sobór Archangielski, najstarsza świątynia Niżnego, która zachowała w sobie część kamiennych ścian z połowy XIV wieku. Pojawiałem się obok tego soboru przed południem i po południu, ale zawsze był zamknięty. Bardzo blisko kremla, na ulicy św. Barbary (Warwarskaja ulica) stała kiedyś cerkiew pod wezwaniem tej męczennicy. Cerkiew zdążono zburzyć w latach 70., nie bacząc na fakt, że stała tam od XVI wieku i że kiedyś ochrzczono w niej Aloszę Pieszkowa (Maksima Gorkiego). W czasach sowieckich ulica św. Barbary nosiła imię terrorystki i poetki Wiery Figner, która po 20 latach katongi w twierdzy w Schlisserburgu odbywała zesłanie w Niżnym. Na miejscu zburzonej cerkwi św. Barbary stoi dzisiaj kompleks budynków użyteczności publicznej. Niżny Nowogród stracił w czasach sowieckich więcej świątyń i cmentarzy aniżeli zdołał zachować. Mógłby z powodzeniem konkurować z Moskwą. Ludmiła Smirnowa, autorka współczesnego albumu-księgi o Nowogrodzie pt. *Niżnij Nowgorod do i posle*, przypomina, że na terenie miejscowego żeńskiego

monasteru Podwyższenia Krzyża Świętego zorganizowano pierwszy w Rosji Sowieckiej obóz koncentracyjny. Dzieci-sieroty, które wcześniej odnalazły w tym miejscu schronienie, zostały przepędzone, a uwięziono tu kupców, oficerów, popów, właścicieli ziemskich, a nawet chłopów z pobliskich lasów. Wszyscy zostali rozstrzelani i pochowani na cmentarzu Bugrowskim: „Dzisiaj przy ryciu nowych grobów – pisze Smirnowa – co rusz natykano się na kości lub, co jeszcze bardziej straszne, na czaszki, na których z tyłu widoczna była okrągła dziurka od kuli”... Było to latem 1918 roku.

Dom Sacharowa

W Gorkim (taką nazwę w latach 1932-1991 nosił Niżny Nowogród, od nazwiska urodzonego tu pisarza), a właściwie w jego peryferyjnej dzielnicy Szczerbinki od stycznia 1980 roku do grudnia 1986 przebywał na zesłaniu Andriej Sacharow. 2520 dni i nocy, z czego 300 w miejscowym szpitalu im. Nikołaja Siemaszki, gdzie go przymusowo leczono i karmiono siłą po ogłoszeniu trzech głodówek. Miasto miało od 1954 roku charakter zamknięty – nie wpuszczano tu cudzoziemców. Było zarazem silnie zmilitaryzowane, co widać na ulicach do dzisiaj. Jednym z ciekawszych obrazków jest duża liczba dziewcząt w wojskowych mundurach. To zrozumiałe, około stu kilometrów od Gorkiego, w okolicach starego miasta Arzamas, znajduje się jedno z rosyjskich centrów atomowych. Nie było zapewne dziełem przypadku, że gdy tylko Sacharow publicznie zaprotestował przeciwko agresji Sowietów na Afganistan w grudniu 1979 roku, natychmiast pozbawiono go wszystkich tytułów i zesłano do zamkniętego miasta nad Oką i Wołgą. Stanowiło ono jedno z zesłańczych centrów już na początku XIX wieku. Car Aleksander I zesłał do Niżnego niedoszłego reformatora Michaiła Spierańskiego. W późniejszym okresie przebywał tu nie z własnej woli Taras Szewczenko. Dawny „dom” Sacharowa w peryferyjnej dzielnicy Szczerbinki stoi na osiedlu składającym się z 11-piętrowych budynków z czerwonej cegły, nie otynkowa-

nych, mających pewnie z 25 lat. Pierwsza napotkana kobieta twierdzi, że widziała Sacharowa raz w życiu i nie umie dokładnie powiedzieć, gdzie mieszkał. Dobrze poinformowany okazuje się za to siedemdziesięcioletni mężczyzna o lasce. „Dom stoi obok poczty. Mieszkam tu długo, więc Sacharowa widziałem z kilkadziesiąt razy. Na przykład wtedy, gdy naprawiał auto, oczywiście nie sam, pomagano mu. Był porządnym człowiekiem, ale żona sprowadziła go na manowce. Co za bałaganiara, chodziła bez przerwy z magnetofonem pod pachą i z papierochem w zębach. A nie mieli tutaj źle. Co to, prawdę mówiąc, było za zesłanie? Przecież my w Gorkim mieszkamy i co? Dostali czteropokojowe mieszkanie na parterze. Czasem chodziłem do tego budynku odwiedzać znajomego i nikt mnie nie zatrzymywał. Nie widziałem też żadnej obstawy... Dobrze tu mieli, szkoda gadać.” Mężczyzna mylił się jednak w paru ważnych szczegółach. Żona Sacharowa, Jelena Bonner, nosiła pod pachą nie magnetofon, lecz radioodbiornik, który dla zesłańców był jedynym oknem na świat. Brała to radio nawet wtedy, gdy chodziła na miejscowy cmentarz, aby odwiedzać grób zmarłego przyjaciela rodziny, Jurija Chajnowskiego. To radio łączyło ją z życiem całej planety. Mogła się też dowiedzieć, co świat mówi o nich i czy w ogóle mówi. Jej męstwo, które tak denerwowało moją rozmówcę, okazywało się przydatne w wielu sytuacjach. Na przykład wtedy, gdy bez namysłu spoliczkowała agenta, który wziął na przesłuchanie starającego się ich odwiedzić przyjaciela. Albo wtedy, gdy na oczach przerażonego milicjanta z obstawy siłą wpychała do swego samochodu pasażera z chorym dzieckiem. Dodajmy, że Sacharowie nie mieli prawa nikogo podwozić, nawet gdyby człowiek umierał na chodniku. Ich stary samochód żyguli rzeczywiście wymagał częstych napraw, ale nie z powodu starości. W pamiętniku *Postscriptum. Książka o zesłaniu* do Gorkiego Jelena Bonner pisze: „Gdy tylko nasze zachowanie czymś się nie spodobało nadzorcóm, zaraz cierpiało auto: przebijano dwa koła naraz albo wybijano szybę, albo smarowano je jakimś syntetycznym klejem”. Również Sacharow we *Wspomnieniach* opowiadał, jak nieznani sprawcy

przyczynili się do pożaru silnika. Może mój informator właśnie wtedy widział Sacharowa nachylonego nad maską żyguli?

Od maja 1991 roku w „domu Sacharowa” mieści się muzeum jego imienia. Gdy już tam wszedłem, zrozumiałem dlaczego mój rozmowny informator mógł spokojnie wchodzić do budynku i nie natykać się na żadną obstawę. Dawne mieszkanie Sacharowa znajduje się na parterze po lewej ręce, w osobnej części budynku zaopatrzonej w oddzielne drzwi. Przed uwięzieniem profesora ta właśnie część spełniała rolę hotelu, do którego zjeżdżali moskiewscy uczeni. Za drzwiami było parę mieszkań, czuwający tu dniem i nocą milicjanci stali bezpośrednio przed mieszkaniem numer trzy, a od klatki schodowej i wzroku postronnych byli odgradzeni drzwiami mini-hotelu. Postronni więc nigdy ich nie widzieli, jeżeli jednak ktoś chciał wejść do mieszkania Sacharowa, to drzemiący milicjant natychmiast podstawił mu nogę. W jednym z pokoi dawnego mieszkania Sacharowów stoi stary telewizor oraz aparat telefoniczny. W latach 1980-1984 zesłańcy nie mogli dzwonić za granicę ani do innych miast, pozwalano im się tylko łączyć z nielicznymi znajomymi w Gorkim. Musieli to robić z automatu, ponieważ ich mieszkanie nie posiadało numeru telefonicznego. Od roku 1984 zakazano im w ogóle wszelkich telefonicznych rozmów. Kiedy więc Gorbaczow w grudniu 1986 postanowił osobiście zadzwonić do Sacharowa, to wcześniej musiano mu założyć telefon. Jedna z pracownic muzeum twierdzi, że telefon zakładano nocą, a dzwonek rozległ się już o 9 rano. Obok domu jest poczta, to zapewne stąd wysyłano wtedy fałszywe pocztówki do moskiewskiej rodziny Sacharowa i Bonner, aby przekonać krewnych, a za ich pośrednictwem światową opinię publiczną, że akademik wcale nie głoduje, lecz „czuje się dobrze”. To tutaj zwywano zesłańców na jakąś rozmowę zagraniczną, która nigdy nie doszła do skutku, aby w tym czasie dokonywać rewizji w mieszkaniu na Prospekcie Gagarina. Nie mogłem więc nie wstąpić na tę pocztę nr 137, nie mogłem nie poprosić o pamiątkowy stempel na prawdziwej pocztówce z widokiem miasta, którą w końcu kupiłem w legalnym muzeum Andrieja Sacharowa.

*

Wracam z Niżnego do Moskwy. W przedziale trzy handlarki, które jadą po towar do stolicy. Stale kursują między Niżnym a Moskwą. W stolicy na przeróżnych placach kupują „importowaną” z Turcji i Bliskiego Wschodu odzież, potem sprzedają to z niedużym zyskiem u siebie w Niżnym. Wcześniej jeździły do Warszawy, tułały się z ogromnymi bagażami po Polsce (były w Rzeszowie oraz w wielu małych miastach, których nazw już nie pamiętają), zarabiając w ten sposób na skromne życie. Polskę, do której teraz nie jeżdżą, bo wszystko można już kupić w Moskwie, wspominają z wielką sympatią, nawet z nostalgią. Gdyby znowu miały możliwość odwiedzić Warszawę czy też Rzeszów, nie wahałyby się ani chwili. Często piją herbatę, od której robi się cieplej.

U PRZYJACIÓŁ-MOSKALI (1987-1999)

Między Rosją a Italią (1987)

Rozmowa z Iriną Howajską Alberti

Irino Aleksiejewno, urodziła się pani poza Rosją i nigdy pani w Rosji nie była, a mimo to można panią nazwać emigrantką rosyjską...

Tak, należę do drugiego pokolenia pierwszej emigracji, tzw. „pierwszej fali”. Takich ludzi jest wielu, ale – niestety – znaczna ich część zatraciła język ojczysty. Dlaczego? Wprawdzie w domu mówili po rosyjsku, ale nie kształcili się w tym języku. Znam wielu rówieśników, którzy mogą się porozumiewać po rosyjsku, zwyczajnie na poziomie codzienności, ale nie są zupełnie w stanie pisać po rosyjsku. I w końcu łatwiej jest im mówić w języku kraju, w którym mieszkają... Ja zaś miałam szczęście, bo urodziłam się i wychowałam w Jugosławii, dokąd moi rodzice uciekli przed nawałnicą bolszewicką. Żyłam tam przez 20 lat. Rosyjska kolonia w Jugosławii pielęgnowała język i kulturę ojczystą. W rosyjskiej szkole mogłam więc zdobyć świadectwo dojrzałości. I to właśnie zadecydowało, że nadal żyję w języku rosyjskim.

I w kulturze rosyjskiej...

To już był z mojej strony wybór... Oczywiście, że i tutaj dużo otrzymałam w spadku od szkoły i rodziny. Ale potem, gdy wyszłam za mąż za Włocha, gdy zaczęliśmy jeździć i mieszkać w różnych

krajach – to wtedy był to już mój wybór. W każdym nowym kraju poznawałam jego język i kulturę, bez tego nie mogłabym żyć. Ale rosyjski język i kultura były dla mnie jakby kamieniem węgielnym, podstawą, na której budowałam swe życie emigranta rosyjskiego.

Pani mąż był Włochem. Mówi pani tak samo pięknie po włosku, jak i po rosyjsku. Mimo, że wychowana w kulturze rosyjskiej, wrosła pani w kulturę śródziemnomorską. Mimo, że wychowana w tradycji prawosławnej, uważa się pani za członka Kościoła katolickiego.

Moje wejście w kulturę i włoskie życie intelektualne dokonało się bardzo szybko. Mąż pochodził ze starej włoskiej rodziny i był w głębokim sensie tego słowa Europejczykiem. Nasza miłość, prawdziwa i wielka, niejako zmusiła mnie, Rosjankę, do zadomowienia się w Italii. Włoski stał się moim drugim językiem, a w pewnym sensie stanął obok rosyjskiego. Mój mąż był dyplomata, poznawaliśmy wspólnie inne języki i kraje, dokonywało się to już później stopniowo... Ale to wejście do Europy, poprzez kochanego człowieka, dokonało się właściwie jednym skokiem... Do Kościoła katolickiego doszłam zaś stopniowo, trwało to bardzo długo i skończyło się w zasadzie wtedy, gdy do Rzymu przybył Karol Wojtyła. Ten Papież odegrał w moim życiu rolę ogromną i decydującą, sprawił, że otwarłam oczy i dostrzegłam to, co we mnie widocznie już dojrzało... W pewnym sensie odmienił on moje życie... Mój mąż był katolikiem, moje dzieci były chrzczone i wychowywane w Kościele katolickim, ja zaś z jednakową czcią chodziłam do cerkwi i do kościoła, właściwie nie zdając sobie sprawy, że należę już bardziej do Kościoła katolickiego aniżeli do Cerkwi... Cerkwi nie chciałam jednak porzucić, bo była ona kościołem cierpiącym.

Katolicyzm i prawosławie – dwie konfesje, ale jeden Kościół...

Nigdy nie odczuwałam jakiegś głębszej różnicy między Cerkwią a Kościołem rzymskim. Czułam, że do schizmy doszło na tle polity-

cznym, a nie religijnym czy duchowym. To dopiero potem spory przeniosły się w sferę dogmatyczno-teologiczną. Być może oburzają się teologowie, ale dla mnie spór o filioque jest niepoważny. Jak można rzucać na brata anatemę dla jakichś nieważnych słów?!

Doskonale rozumiał to Władimir Sołowjow. Ale nie rozumiał Dostojewski. Jego „jurodiwy” książkę Myszkina oskarża cały Kościół katolicki o apostazję! Sołowjow zaś, spośród Rosjan niewątpliwie najbardziej otwarty na Zachód, doskonale rozumiał, że prawosławie i katolicyzm to dwie połowy chrześcijaństwa.

Sołowjow, też teolog przecież, wiedział, że do podziału doprowadziła polityka, a nie odmiennosc wiary.

Dzisiaj duch ekumenizmu jest silniejszy niż ongiś. Ale trudno mi sobie wyobrazić, że pani „katolicka” działalność wśród rosyjskiej emigracji nie napotyka tu czy tam na opór...

Miałam trudności z pewną częścią naszej emigracji. Widzi pan, dlatego wybrałam Kościół katolicki, bo Cerkiew w ostatnich czasach bardzo się zamknęła. Myślę o Cerkwi na emigracji, bo ta w kraju, prócz hierarchii moskiewskiej jest nadal otwarta. Bierze się to u nas, na emigracji, stąd, że ludzie, utraciwszy na zawsze Ojczyznę, zatarli też poczucie własnej wartości. Stąd rodzi się w nich iluzja o wyższości prawosławia nad innymi konfesjami. Ten błąd trudno jest wybaczyć, bo zaprzecza on podstawie chrześcijaństwa, temu, czego uczy Jezus Chrystus. Kościół zaś katolicki w ostatnich dwóch dziesięcioleciach, zgodnie z nakazem Chrystusa, otworzył swe drzwi szeroko... Gdy ktoś czyni mi zarzut, że gazeta „Russkaja Mysl” jest katolicka, odpowiadam, że to nieporozumienie. Nasza gazeta jest chrześcijańska, otwarta dla chrześcijan wszystkich wyznań.

Niektórzy „radzili”, by gazetę nazwać „Polską Myślą”, ponieważ tak dużo, za dużo o Polsce pisze.

Nazywano nas „Myślą Żydowską”, bo rzeczywiście dużo pisaliśmy o emigracji żydowskiej ze Związku Sowieckiego. Dużo piszemy o Kościele katolickim, o nauce i osobie Papieża. Ale piszemy także o Cerkwi w kraju, która – pomijając krańcowy przypadek wspomnianej hierarchii moskiewskiej – jest bardziej gotowa do pojednania aniżeli Kościół na emigracji. Zajmuje nas każda grupa chrześcijan prześladowanych za wiarę.

„Russkaja Mysl” jest czytana w Polsce z dużym zainteresowaniem. Można by powiedzieć, że w swej sympatii dla Polski jesteście kontynuatorami Aleksandra Hercena i Władimira Sołowjowa.

Cieszę się, że Polacy to dostrzegają. Hasło „Za wolność waszą i naszą” nic nie straciło na swojej aktualności. Polska to w pewnym sensie wybór sumienia. Stało się u was coś niesłychanie ważnego, co pomaga odzyskać wiarę w ludzkość. Gdy myślę sama o Polsce, to rodzi się we mnie uczucie wdzięczności. Gdy słyszę gdzieś polską mowę, nawet na ulicy, chce mi się podejść do mówiących i podać im rękę, powiedzieć dobre słowa. Za męstwo i szlachetność. Polska to jakby forpoczta, to podstawa wszelkiej naszej działalności.

Gazetę prowadzi pani od roku 1980. Wcześniej pracowała pani z Aleksandrem Sołżenicynem, od chwili, gdy przeniósł się on ze Szwajcarii do Stanów Zjednoczonych.

Był wtedy rok 1975. Właśnie odszedł na zawsze mój mąż, po czterech latach ciężkiej choroby. U Sołżenicynów byłam parę razy w Szwajcarii i oni teraz, widząc moją sytuację, zaproponowali mi wspólny wyjazd do Ameryki.

Żyła pani z nimi wspólnie przez parę lat. Jak wyglądała ta praca?

Gdy przyjechaliśmy, Sołżenicyn zaczynał swą pracę nad *Czerwonym kołem*. To, co miało być książką, urosło do rozmiarów epepei. Jeszcze w młodości marzył o napisaniu epepei o rosyjskiej rewolucji i jej korzeniach. Potem jego życie poszło innymi, wiadomymi torami. Pisał wtedy to, co mógł opublikować w Związku Sowieckim. Okazał się tu bardzo dobrym strategiem, który – jako znawca sztuki wojennej – umie zaplanować atak na głównego wroga. Atak na system, na nieludzką, występującą przeciwko Bogu, ideologię, na komunistyczny ateizm. Dodam, że Sołżenicyn walczył jako pisarz-chrześcijanin, nie jako polityk. Na tym polega istota jego walki z systemem. Niekiedy jednak przypisuje mu się myśli, których nigdy nie sformułował, fantastyczne poglądy, których nigdy nie miał. Sołżenicyn, powtarzam to jeszcze raz, nie jest politykiem, lecz chrześcijańskim pisarzem.

Potem była publikacja Archipelagu GUŁag na Zachodzie, a wkrótce potem Sołżenicyna wygnano ze Związku Sowieckiego...

Nastąpił wtedy okres trudnej adaptacji do nowego życia na Zachodzie. Gdy Sołżenicyn – po Szwajcarii – wyjechał do Ameryki, nareszcie odczuł, że gdzieś udało mu się zadomowić. Chociaż – rzecz jasna – zawsze uważał, że emigracja jest czymś przejściowym i zawsze wierzył, że zdoła kiedyś powrócić do Rosji. Ale musiał teraz odczuć, że znalazł się oto w miejscu, gdzie przeżyje pewien ważny i niekrótki okres czasu i nie będzie musiał ciągle dokądś wyjeżdżać, chować się i tak dalej... Pamiętam, co powiedział w czasie pierwszego spotkania z mieszkańcami miasteczka, w którego pobliżu znajduje się jego posiadłość. Powiedział: powinniście zrozumieć, że po raz pierwszy w życiu mam własny dom, po raz pierwszy mogę rozłożyć wszystkie moje papiery, mieć przy sobie całe archiwum, wszystko, co piszę, od pierwszej stronicy do ostatniej. I nie muszę chować tego po kawałku w różnych miejscach: tutaj trzy stronicie, a tam dwadzieścia, aby KGB nie skonfiskowało.

Zapewne otrzymał też możliwość korzystania z bogatych archiwów amerykańskich?

Oczywiście. W Związku Sowieckim, rzecz jasna, takich możliwości nie miał. W Ameryce zabrał się z wielkim zapałem do pracy, przestudiował niezliczoną ilość książek i materiałów, których nikt nie zna, ponieważ wielu rosyjskich emigrantów – dowiedziawszy się, że pisze epopeję o tamtych czasach – przysłało mu własne archiwa rodzinne, dokumenty, listy, wspomnienia, których nigdzie wcześniej nie publikowano, fotografie. Prawdę mówiąc, dla tej ogromnej historycznej pracy, którą Sołżenicyn do dziś wykonuje, potrzebny byłby cały instytut. Ale jemu pomagali tylko pojedynczy ludzie, na pierwszym miejscu jego żona Natalia. Myślę, że moja znajomość kilku zachodnich języków mogła im w tym czasie pomóc...

Styczy się niekiedy opinie, że Sołżenicyn jest wielkorosyjskim nacjonalistą?

To nieporozumienie bierze się stąd, że ludzie nie czytają tekstów samego Sołżenicyna, lecz uważnie studiują to, co o nim napisał jakiś żurnalista. Sołżenicynowi przypisywano różne bzdury, wyrывая z kontekstu parę jego (albo i nie jego) opinii.

Niewątpliwie jednak wypowiedział o Polsce parę takich myśli, które trudno Polakom przyjąć. O wojnie polsko-bolszewickiej roku 1920 powiedział, że celem Józefa Piłsudskiego było „ograbienie i pokrajanie Rosji, w momencie, gdy była ona najbardziej udreńczona”.

Myślę, że gdy chodzi o Polskę, to jego poglądy rzeczywiście uległy zmianie z upływem czasu. Nie można zapominać, w jakiej sytuacji znajduje się człowiek w Związku Sowieckim, nawet człowiek mądry i poszukujący. Jego wiedza historyczna zawsze będzie ograniczona i niepełna. Izolacja, brak dostępu do prawdziwych informacji, ideologizacja dziejów – wszystko to ma wpływ

na najmądrzejszego nawet człowieka. Czyż nie spotkał pan ludzi, emigrantów ze Związku Sowieckiego, którzy – osądzając system sowiecki – wypowiadali o historii rzeczy całkowicie przeczące realiom, w pełnym przekonaniu, że mówią prawdę? Wczoraj czytałam artykuł, który będziemy drukować. Profesor uniwersytetu, poważny literaturoznawca, pisze, że w armii carskiej, w okresie przed rewolucją, cały skład oficerski wywodził się ze szlachty! Jego tak uczono, choć każdy wie, że to nieprawda... Myślę, że w tych sprawach Sołżenicyn był za mało poinformowany, ponadto zawsze uważał, że musi bronić Rosji i wszystkiego co rosyjskie. Rosji, a nie Związku Sowieckiego czy Imperium Rosyjskiego! To przecież na Rosję jako naród runęła cała ta pierwsza komunistyczna nawałnica, atak w pierwszych latach kierował się przeciwko całej rosyjskiej kulturze i tradycji. Ale teraz już o tym zapomniano i niektórzy utożsamiają Rosję ze Związkiem Sowieckim. Oto, co najbardziej Sołżenicyna boli! Za to, że chce udowodnić, iż jest inaczej, niektórzy nazywają go rosyjskim szowinistą. Gdy jednak ktoś czyta kolejne tomy *Czerwonego koła*, dostrzeże, że Sołżenicyn również do narodu rosyjskiego odnosi się krytycznie, równie surowo jak do wszystkich pozostałych. Nie wywyższa go i nie idealizuje, nie robi z niego świętej i niewinnej ofiary, przeciwnie, dostrzega jego udział w tej okrutnej rewolucji, widzi jego amoralność i zepsucie, czyli wszystko to złe, co było. Ale widzi też, że naród rosyjski stał się pierwszą tej rewolucji ofiarą, czego niektórzy ludzie nie chcą przyjąć, bo niektórzy Sołżenicyna nie czytali... gdyby ktoś przeczytał, jak ja, mówiłby podobnie. Ja nie odsłaniam żadnych tajemnic, tu wystarczy tylko przeczytać... Co się zaś tyczy Polski, to jego opinie się zmieniły. Rzecz jasna, przeciwko niepodległej Polsce Sołżenicyn nie występował nigdy. Polska to Polska, suwerenna i niezawisła – inaczej być nie może. Piłsudskiego krytykuje zaś za to, że jego strach przed Rosją, czy nienawiść do niej (nawiasem mówiąc, nienawiść całkowicie zrozumiała) przyćmiły mu rozum, tak że nie zdołał już dostrzec śmiertelnego komunistycznego zagrożenia. Sołżenicyn uważa, że Piłsudski popełnił wielki błąd, gdy mniemał, że komunizm zniszczy jedynie Imperium, a uratuje Polskę, gdy nie

dostrzegają, że na zgliszczach starego Imperium powstaje nowa „jakość”, o wiele straszniejsza. Tak rozumiem osąd Piłsudskiego dokonany przez Solżenicyna.

Nie ulega wątpliwości, że Solżenicyn nie ma nic wspólnego z imperialną ideologią wielkorosyjską. Już w Liście do przywódców sowieckich (który pojawił się w nieoficjalnym obiegu na początku 1974 roku) Solżenicyn im radził, aby pozostawili narody Europy Wschodniej samym sobie. W Archipelagu GUŁag mówi też o niezawistej Ukrainie. Ale właśnie Ukraińcy często patrzą na działalność Solżenicyna nieufnie...

Niepodległość Ukrainy nie ulega dla Solżenicyna kwestii. Jedyne zastrzeżenie dotyczy faktu, że historia tych dwóch narodów na tyle się splotła, że trudno niekiedy oddzielić jedno od drugiego... W swych artykułach i wystąpieniach Solżenicyn często podkreśla, że te problemy muszą być rozwiązane wolną wolą narodów-uczestników tego dramatu. Każdy musi powiedzieć sam za siebie, jak chce budować swoje przyszłe życie. Gdy zaś mowa o takich krajach, jak Polska, Finlandia czy Węgry, Czechosłowacja, czyli wszystko to, co Związek Sowiecki zagrabił, także Litwa i inne kraje bałtyckie (które Solżenicyn kocha z całej duszy) – to tutaj zastrzeżeń nie ma absolutnie żadnych...

Wspominała pani kiedyś, że emigracja jest stanem nienormalnym. Ja chciałbym zapytać – nie po to, by rzucać kamyczkiem w emigrację rosyjską – dlaczego emigracja rosyjska jest tak z sobą skłócona. Spory ideologiczne ujmy nie przynoszą, wręcz przeciwnie. Ale kłótnie, kwasy i waśnie nie wychodzą emigracji jako całości na dobre.

Ma pan, niestety, rację. Dotyczy to też „trzeciej fali”. Trudno nazwać tę emigrację „rosyjską”, jest to raczej „emigracja ze Związku Sowieckiego”. Dzieli się ona na dwie części. Znaczniejsza część chce zbudować nowe życie na obczyźnie, znaleźć spokój i szczę-

ście. Oni pewnie też się kłócą, ale ich kłótnie mają charakter osobisty, domowy, nie są tak głośne, więc i mniej ważą. Ale jest też emigracja polityczna, raczej przymusowa, rzadziej z wyboru. Są ludzie, którzy mówią tak: „To prawda, nie starczyło mi odwagi, bałem się łagru i wolałem wyjechać”. I właśnie w tej części emigracji dochodzi do kłótni i potyczek, które ważą na całości. Jak pan mówił, spory polityczne i ideologiczne są rzeczą normalną. Ale smutne jest, że często te spory przybierają formy raczej szpetne... Wychowanie sowieckie, życie w kraju, gdzie wyzwiska stały się normą współżycia... Nawet w naszej redakcji... Na ogół żyjemy z sobą zgodnie, dość spokojnie. Ale niekiedy widzę, słyszę jakiś spór. Wcześniej się dziwiłam, teraz już nie. Dziwiły mnie te gromkie słowa, burzliwe reakcje i mocne wyrażenia. Ponieważ jestem człowiekiem, powiedzmy, starej daty, odczuwałam to szczególnie niemiło. Ale potem widzę, że ci sami ludzie, którzy tak strasznie – jak mi się zdawało – obrażali się nawzajem, rozmawiają z sobą przyjaźnie... Wtedy rozumiałam, że zachodzi chyba jakaś niezgodność w planie semantycznym czy lingwistycznym. Coś, co dla mnie, człowieka Zachodu, Anglika czy Francuza jest całkowicie nie do przyjęcia, dla ludzi, którzy przybyli stamtąd, jest czymś całkowicie naturalnym, a nawet normą. Gdy czyta pan sowiecką prasę, to o czym piszą i jak, co im się nie podoba – przecież dla normalnego człowieka to groteska, ten styl i sposób wyrażania. Dawniej trzeba by było wypowiedzieć wojnę lub co najmniej wyzwać na pojedynek! Inflacja – inflacja słów, inflacja pojęć... używa się jakichś głośnych i strasznych słów, które nie znaczą nic lub znaczą o wiele mniej niż chciałyby... Myślę, że o tym elemencie emigranckich kłótni zapomnieć nie można.

Mówi się niekiedy o rosyjskim getcie emigracyjnym?...

Bierze się to z nieznaomości języka. Niestety, w Związku Sowieckim, zgodnie z wolą zarządców, ludzie języków się nie uczą. Moi rodzice, którzy wyjechali w latach dwudziestych, także dziadkowie, mówili przynajmniej dwoma zachodnimi językami; angielski i francuski były normą. A normą naszych czasów jest niezna-

mość słowa w żadnym z obcych języków! Także język rosyjski zastąpiono sowieckim. Niektórzy emigranci, znam takich, nie uczą się języków całkiem świadomie. Inni by chcieli, ale już nie mogą: ludzie wyjeżdżają na Zachód już nie młodzi. Tak oto powstaje emigracyjne getto, w którym wszystko urasta do rozmiarów apokaliptycznych, najdrobniejszy nawet spór... Byłoby inaczej, gdyby ci ludzie żyli normalnym życiem, w normalnym otoczeniu, gdyby, powiedzmy, emigracja rosyjska w Paryżu interesowała się problemami politycznymi, życiem społecznym czy religijnym Francji. Ale gdy przyjmuje się postawę: Mnie to nie interesuje, to mnie nie dotyczy?... Tak jakby się dało oddzielić sprawy rosyjskie od kwestii ogólnoludzkich. Życzę polskiej emigracji, aby nie brała w tym względzie przykładu z rosyjskiej. Na szczęście, wam będzie łatwiej, ponieważ jesteście bliżej kultury Zachodu, aniżeli przeciętna kultura rosyjska. Powiadam przeciętna, bo kultura rosyjska prawdziwa, ta na najwyższym poziomie, broni się przed tego rodzaju uogólnieniami. Ale mówimy o kulturze przeciętnej, o wypadkowej... Ufam, że nie będzie u was tego zamykania się, tego okropnego getta.

Wróćmy, za pozwoleniem, do spraw krajowych. Wszyscy mówią teraz o Gorbaczowie. Również pani gazeta wiele o tym pisze. Reprezentujecie pewien styl myślenia, który warto byłoby tutaj streścić i spróbować go bronić.

Gorbaczow zmuszony był przedsięwziąć jakieś działania, aby ten reżim uratować. Dziwię się, że tutaj, na Zachodzie, w obliczu faktów, prawie nikt nie powie o bankructwie komunizmu, ideologii zniszczenia i śmierci. Zna pan chyba książkę Igora Szafarewicza o socjalizmie? Socjalizm jest wyrażeniem drzemającego w człowieku instynktu samobójczego. I myślę, że przywódcy sowieccy to właśnie zrozumieli, to znaczy Breżniew tego nie wiedział i wiedzieć nie chciał, Czernienko, żywy trup, o niczym nie miał pojęcia, Andropow... nie wiem, co myślał, bo żył za krótko. A oto zjawił się Gorbaczow, wedle norm sowieckich człowiek młody i energiczny, który chce zostać u władzy jak najdłużej i dlatego musi myśleć

o przyszłości. Bo nawet jeśli ta jego przyszłość miała trwać lat dwadzieścia, to zdaje on sobie sprawę, że w ciągu tego czasu Związek Sowiecki po prostu runie. Sparaliżowany przez komunizm kraj, gdzie ludzie nie wiedzą już, czym jest praca... Mówiono mi, że na początku Gorbaczow zwołał zebranie wszystkich ważniejszych ekonomistów sowieckich, którzy za Breżniewa popadli w niełaskę. I na tym zamkniętym zebraniu Gorbaczow zapytał, domagając się szczerzej odpowiedzi, jaki jest stan gospodarczy kraju. Być może jest to legenda. Ale jak się mówi: *Se non e vero, e ben trovato...*

A jego stosunek do inteligencji?

Zmian, jak powiadam, nie widzę na razie wiele. Fakt, który rzuca się w oczy, to zmiana stylu prasy sowieckiej. Zaczyna się pisać o wielu problemach, o których wcześniej pisać nie pozwalano, gazety nabierają śmiałości... Rzeczywiście, widzę czasami artykuły, w których dźwięczą szczerze tony. Dotyczy to, rzecz jasna, tylko części prasy, bo przeciętna sowiecka gazeta czy czasopismo nadal zamieszcza wiele zwyczajnej sowieckiej bzdury, propagandowej papki i agresywnego kłamstwa... Ale tym niemniej znajdujemy tu i ówdzie momenty prawdy, tony szczerze i uczciwe, czy nie tak?... To jest zmiana bardzo poważna. Druga rzeczywista zmiana, której trudno nie dostrzec, to proces powstawania niezależnego życia publicznego. Zmiany tonu prasy zostały nakazane z góry, zmiany na poziomie społecznym dzieją się z woli tego społeczeństwa. Ale nie jest to styl polityki Gorbaczowa. Inteligencji dano większą swobodę w określonym celu: miałyby ona pociągnąć sparaliżowaną i apatyczną masę narodową. Gorbaczow chciałby ten proces kontrolować i utrzymać w cuglach: uratować reżim i zachować władzę, przywileje i prerogatywy. Nie wierzę, by Gorbaczow tak naprawdę rozumiał problemy Związku Sowieckiego i aby chciał je naprawdę rozwiązać. Bo głównym problemem Związku Sowieckiego jest jego reżim, a prawdziwym rozwiązaniem jest zmiana tego reżimu. Niektórzy uważają, że Gorbaczow jest dyplomatą, że

chyttrze dąży do zmiany reżimu, ale jest to oczywiście bajka. Trudno mi czynić przewidywania i określać taktykę. Wiem tylko jedno: wszyscy musimy pomagać tym ludziom, którzy starają się szerzej otworzyć drzwi uchylone przez Gorbaczowa, bo ten ostatni – jak niektórzy błędnie mniemają – wcale naszej pomocy nie potrzebuje.

W Księdze Rodzaju powiedziano, że człowiek został stworzony przez Boga na Jego obraz i podobieństwo. Ideologia komunistyczna opiera swe założenia na teorii instynktów i odruchów, wykorzystując to, co człowiek ma od istot niższych. Ale jest w człowieku coś takiego, właśnie to, co pochodzi od Stwórcy, czego komunizm przekształcić nie jest w mocy. Czytałem parę lat temu książkę Hellera Maszyna i śrubki. Autor, emigrant, widzi społeczeństwo sowieckie jako maszynę, sprawnie działającą, która składa się z oddzielnych śrubek: homo sovietikusów. Wizja Michaiła Hellera, który reprezentuje styl myślenia popularny w wielu kręgach emigracji (nb. nie tylko rosyjskiej, ostatnio ukazał się w bibliotece „Kultury” polski przekład jego pracy) – ma swe korzenie w mechanistycznych koncepcjach społecznych wywodzących się jeszcze z Oświecenia. Chrześcijaństwo takiej wizji nie przyjmie. Z drugiej strony widać też, że Heller przesadza, nawet gdy utrzymamy się w ludzkim świecie empirii i faktów. Społeczeństwo sowieckie nie jest bynajmniej sprawnie działającą maszyną. Z tej strony zaatakował Hellera Andrzej Drawicz.

Gdy widzimy tutaj tych ludzi, którzy dopiero co wrócili z łagrów: Siergieja Grigorjanca, Lwa Timofiejewa albo Aleksandra Ogorodnikowa z jego biuletynem religijnym – gdy patrzymy na wielu innych ludzi i ich działalność, to wyraźnie widzimy ową Bożą zasadę w człowieku. Ludzie, którzy przeszli przez to piekło, gdzie starano się ich duchowo i fizycznie zniszczyć, idą dalej tą samą drogą... Jest to rzeczywiście dowód, że eksperyment komunistyczny się nie powiódł. Całkowicie się z panem zgadzam, że w wielu ludziach nadal żywa jest ta zasada, którą człowiek ma od Boga. Komunizm chce ją zabić, ale jest to bardzo trudne. Gdy się to

udaje, a bywa tak niestety, rodzi się wtedy w człowieku owa rozpacz, co prowadzi go do samobójstwa... Co się zaś tyczy książki Hellera, to łatwo się z nią obejść niesprawiedliwie. Heller jest człowiekiem niewierzącym, a przynajmniej za takiego się uważa, i ten fakt określa styl jego myślenia. Ale tę książkę, tak mi się wydaje, mógłby napisać człowiek wierzący. Heller przedstawił, opowiedział i przeanalizował to, co komunizm z człowiekiem uczynić się stara, ale czego dokonać mu się nie udało.

Powiedział jednak, że komunizm osiągnął swój zaplanowany cel?...

Być może, gdy czyta się rzecz jako całość, powstaje takie wrażenie. Czy pamięta pan jednak sam koniec pracy, jej ostatnie słowa... to przecież tam Heller mówi, że przyszłość całej ludzkości zależy od tego, czy komunizmowi uda się przekształcić człowieka w ową śrubkę. Ta fraza bardzo mną poruszyła, bo mógłby ją napisać człowiek religijny. Heller niekiedy świadomie moment religijny odrzuca i wtedy jego ustalenia nie są ostateczne. Ale myślę, że ta praca przedstawia samo jądro problemu. Ludzi rzadko zastanawiało to, że komunizm pragnie zmienić naturę ludzką. A Heller, człowiek – zdawałoby się – niewierzący, zaczął mówić o tym, że komunizm podjął próbę zniekształcenia natury ludzkiej, tej stworzonej na obraz i podobieństwo Boże... Być może dalej, z braku perspektywy religijnej, Heller nie rozwiązał problemu do końca, ale podstawa, powiedziałabym rdzeń tej pracy, są prawdziwe.

Drawicz uczynił w ostatnich latach bardzo wiele, aby przezwyciężyć stereotyp Rosjanina w Polsce...

Zasługi Drawicza są ogromne, zawsze odnosiłam się do niego z szacunkiem i sympatią. Ale teraz mi się wydaje, że w tym, co dotyczy Związku Sowieckiego, Drawicz prezentuje postawę zbyt optymistyczną. Wydaje mi się, że przypisuje Gorbaczowowi więcej niż by należało. Widzi w nim człowieka, który szuka pozytywnych roz-

wiązań, w co ja właśnie zdecydowanie nie wierzę. Drawicz, moim zdaniem, przypisuje Gorbaczowowi te zasługi, które należy przypisać obywatelskiemu społeczeństwu Związku Sowieckiego. Dowiadujemy się, że wszystkie filmy, które są teraz wyświetlane i o których tak głośno (a zasługę ma tu rzekomo Gorbaczow) powstały w rzeczywistości wiele lat temu, zaś zasługą obecnej władzy jest jedynie wypuszczenie ich na ekrany. Czyli ci sami reżyserzy, aktorzy i scenarzyści odczuwali tak i myśleli już dziesięć lat temu. Wczoraj czytałam artykuł o niezależnych stowarzyszeniach, których tak wiele widzimy teraz w Związku Sowieckim. Autor, dobrze znający sytuację, pisze, że wiele podobnych kółek istniało potajemnie już w roku 1976. Chcę powiedzieć, że to społeczeństwo, mimo wszelkich jego wad, dążyło i dąży do większej wolności, chce odrzucić ideologiczne schematy i żyć zgodnie z własnym sumieniem. Wydaje mi się, że Drawicz do pewnego stopnia miesza te dwa aspekty: to, co robią ludzie i to, co robi władza. To bardzo charakterystyczne, bo już od dziesięcioleci ludzie, którzy studiują historię sowiecką, przyzwyczaili się do myślenia, że Związek Sowiecki to tylko władza. I koniec. Jak gdyby nie było ludzi, jak gdyby w Związku Sowieckim istniało tylko Politbiuro, Komitet Centralny i nomenklatura.

Jak pani widzi dalszy bieg wydarzeń w Polsce?

Jestem przekonana, że proces wewnętrzny wyzwolenia będzie kontynuowany i że doprowadzi do wyzwolenia w prawdziwym sensie tego słowa, do wyzwolenia się od koszmaru tej nieludzkiej utopii. Proces ten zaczął się teraz w Związku Sowieckim. W innych warunkach, z większym, być może, trudem, lecz tym niemniej – zaczął się. I dlatego przywiązuję tak wielką wagę do tego, abyśmy poznali się wzajemnie. To sens mojej pracy, a wydaje mi się, że wspólnie wiele moglibyśmy osiągnąć. Pismu „Arka” chcę szczególnie podziękować za zainteresowanie sprawami rosyjskimi.

Jak Polak z Rosjaninem... (1994)

Rozmowa z Natalią Gorbaniewską*

Wedle potocznej opinii, do dnia upadku Związku Sowieckiego demokratyczna inteligencja rosyjska i demokratyczna inteligencja polska miały do siebie dużo zaufania. Ostatnio jednakże, m.in. po wydarzeniach z 3-4 października 1993 roku, te drogi się rozchodzą. W Polsce słychać głosy zdziwienia wobec tak jednoznacznego poparcia rosyjskiej inteligencji dla wszelkich działań prezydenta Jelcyna. Powszechne oburzenie wywołało też stanowisko Rosji w sprawie wstąpienia Polski do NATO...

* Natalia Gorbaniewska – ur. w 1936 roku w Moskwie, poetka, dziennikarka, uczestniczka antykomunistycznego ruchu obrońców praw człowieka. Pierwsze poetyckie utwory publikowała na początku lat 60. w samizdacie; była jednym z założycieli „Kroniki Wydarzeń Bieżących”. 25 sierpnia 1968 roku protestowała na Placu Czerwonym przeciwko agresji wojsk Paktu Warszawskiego na Czechosłowację; 24 grudnia 1969 została aresztowana, a następnie umieszczona w więzieniu psychiatrycznym w Kazaniu, gdzie przebywała do 24 grudnia 1972. W grudniu 1975 opuściła Rosję wraz z dwoma synami; od lutego 1976 mieszka stale w Paryżu. Do momentu przeniesienia „Kontynentu” do Moskwy była zastępcą redaktora naczelnego pisma. Jest, obok I. Howajskiej Alberti i A. Ginzburga, główną postacią emigracyjnego tygodnika „Russkaja Mysl”. Tytuły najważniejszych poetyckich tomików: *Drewniany anioł* (1967), *Przelatując nad śnieżną granicą* (1979), *Cudze kamienie* (1983), *Kwiat wrzosu* (1993). Na polski tłumaczona m.in. przez S. Barańczaka, W. Woroszyłskiego, A. Drawicza. W roku 1990 krakowska Oficyna Literacka wydała jej tomik pt. *Drewniany anioł. Wiersze*. W roku 1992 otrzymała nagrodę polskiego PEN-Clubu za wybitne przekłady z literatury polskiej na język rosyjski (m.in. *Traktat poetycki* Miłosza, *Inny świat* Herlinga-Grudzińskiego i *Dziennik węgierski* Woroszyłskiego).

Szkoda, że zaczynamy naszą rozmowę od kliszy. Gdzie są, kim są owa polska demokratyczna inteligencja i rosyjska demokratyczna inteligencja? A na dodatek, mające do siebie dużo zaufania? Można mówić o zaufaniu, nawet o sojuszu stosunkowo małej liczby byłych uczestników ruchu sprzeciwu w obydwu krajach, włączając w to obie emigracje. Ale to była garstka osób i nawet w Polsce nie pokrywa się ona z tym, co potoczna opinia nazywa demokratyczną inteligencją. W moich oczach ta bliska mi polska garstka częściowo stopniała jeszcze w czasie pieriestrojki, gdy jej piewcy zakochali się w Gorbaczowie i jego pomocnikach (widocznie uznając właśnie ich za rosyjską demokratyczną inteligencję). Nawiasem mówiąc, tamci jakoś na ich miłosne wyznania nie odpowiadali...

Ale wróć do potocznej opinii. Według niej, polska demokratyczna inteligencja utraciła zaufanie do rosyjskiej po wydarzeniach październikowych. Dlaczego by jednak nie powiedzieć, z taką samą dozą prawdopodobieństwa, że rosyjska demokratyczna inteligencja straciła zaufanie do polskiej po ostatnich wyborach parlamentarnych, w których zwyciężyli komuniści? Logika potocznej opinii pozwala właśnie tak postawić kwestię.

Gdy zaś chodzi o mnie, to na pytanie: „Czy nadal jesteśmy razem?“, mogę jedynie odpowiedzieć, że zostało jeszcze trochę ludzi pośród polskiej emigracji („Kultura”), a także w Polsce, z którymi czuję się związana, nie zawsze nawet zgadzając się z nimi w opiniach. Opiera się to na wzajemnym przyjacielskim zaufaniu. Człowiek, który darzy mnie takim zaufaniem, nie będzie się oburzał: Gorbaniewska występuje przeciw wolności i demokracji!, ale znając mnie, pomyśli, być może, że mam choć trochę racji?

Nie sądzę, żeby ktokolwiek się oburzał. Czy możemy jednak zapytać, dlaczego „Russkaja Mysl”, w której jest pani jedną z głównych postaci, przyjęła zdecydowanie projelcynowską linię? Tak jakby nikt z Was nie miał żadnych wątpliwości.

„Russkaja Mysl” zawsze miała jedną linię, jedno *pro*: była za Rosją. I wynikające z tego jedno *contra*: przeciw sowieckiej

władzy, przeciw bolszewikom, przeciw światowemu komunizmowi we wszelkich jego formach. W mojej (a wydaje mi się, że nie tylko w mojej) opinii, takiej postawy do dzisiaj nie zdradziła. Co się tyczy naszego poparcia, i, dodajmy, zaufania do Jelcyna, które pana tak zdumiewa, to chciałabym, po pierwsze, dowiedzieć się, w jakim momencie zaczyna się to, co pan nazywa sporem Jelcyna z deputowanymi? Sabotowanie przez Radę Najwyższą wszystkich reform stało się widoczne najpóźniej na początku 1992 roku, od tego momentu toczyła się i nie mogła skończyć najważniejsza bitwa o ziemię. Ale jeszcze jesienią 1991 roku, natychmiast po puczu, wielu Rosjan gorzko żałowało, że Jelcyn natychmiast nie rozpuścił tego pseudoparlamentu. Nawiasem mówiąc, taki żal był nader często wyrażany na łamach „Russkiej Mysli”. Wrześniową decyzję prezydenta o rozpuścieniu parlamentu przyjęliśmy w redakcji z zadowoleniem, a ja nawet z radością: Dawno trzeba było tak zrobić!

A ofiary?

Wszelkie te krzyki o setkach, a nawet o tysiącu pięciuset zabitych, o tajnych pogrzebach, o tym, iż po latach ujawnione zostaną nowe Katynie (nawet coś takiego słyszałam – dla mnie, która tyle lat zajmowałam się rozpowszechnianiem prawdy o Katyniu, zabrzmiało to szczególnie potwornie). Gdyby rzeczywiście tak było, to gdzie są owe nieszczęśliwe rodziny daremnie poszukujące swoich przepadłych bez wieści? Czyż naprawdę udało się ich wszystkim: rodziców, braci, siostry, żony, mężów, dzieci, wszystkich co do jednego zastraszyć, uwięzić albo również rozstrzelać?! Albo może wszystkie te niezliczone i bezimienne ofiary to sieroty bez domu i rodziny? Dzisiaj ludzie w Rosji umieją się bronić publicznie i głośno (weźmy na przykład komitety żołnierskich matek), dlatego już dawno zrozpaczone matki wyszłyby na publiczne place.

W tych sporach przeraża mnie jeszcze fakt, że ci, którzy wyolbrzymiają liczby, rzeczywistą liczbę ofiar, 150, uważają za niewielką...

Rosją rządzą obecnie byli komuniści. W innych krajach post-sowieckich byli komuniści również powracają do władzy. Jednak w Polsce, Czechosłowacji, na Węgrzech był taki okres, kiedy demokratyczna opozycja z lat 70.-80. decydowała o obliczu politycznym kraju. W Rosji to się nie zdarzyło. Ci, których więziono w łagrach i szpitalach psychiatrycznych, po upadku komunizmu w najmniejszym nawet stopniu nie współuczestniczą w rządzeniu Rosją. Czy uważa pani to za normalne, czy na tym polega sprawiedliwość dziejowa?

Niech pan zauważy, że dawni więźniowie polityczni nie dłatego mają tak mały udział w strukturach władzy, bo ich tam nie dopuszczono. Chociaż wybory w przeszłości nie były wolne ani demokratyczne, praktycznie wszyscy dawni więźniowie, kandydujący na urząd deputowanego ludowego, mimo zaciętego sprzeciwu wszechwładnej KPZR, zostali wybrani. Ale było ich bardzo mało, nieco więcej na Ukrainie, a w Rosji rzeczywiście jednostki. Myślę, że jest to normalne i nie należy zadawać pytania o sprawiedliwość czy też niesprawiedliwość dziejową. Obrońcy prawa nigdy nie uważali swojej działalności za polityczną, w naszych kręgach znalazło się mało ludzi z temperamentem politycznym. A trzeba jeszcze mieć siły na polityczną działalność... Wielu zwyczajnie nie ma już pośród nas. A w ogóle było nas mało. U nas przecież dziesięciomilionowej „Solidarności” nie było.

Czy jednak czasami nie zakłuje w sercu, iż ma pani tak niewielki wpływ na losy kraju, za którego wyzwolenie spod komunizmu płaciła pani wolnością i zdrowiem? Że w ogóle emigracja rosyjska jest tak słabo słyszana na rządowych salonach Moskwy i Petersburga?

Nie, nie zakłuje. Dzisiaj każdy człowiek w Rosji, w ten czy inny sposób (choćby poprzez głos w wyborach), może wywierać wpływ na losy kraju, a ja, przeciwnie, rada jestem, że zdjęto ze mnie tę wielką odpowiedzialność. Na rządowych salonach Mosk-

wy i Petersburga nie bywam, ale podejrzewam – że pan także nie... Cóż więc oboje możemy wiedzieć, czy tam słuchają emigracji, czy też nie słuchają?

Jaką rolę będzie odgrywać teraz emigracja rosyjska?

Dopóki przemiany w Rosji nie staną się nieodwracalne, a do tego jest jeszcze bardzo daleko, niezależnie od wyników wyborów, polityczna emigracja pozostanie po prostu emigracją polityczną, walczyć trzeba teraz o nieodwracalność przemian.

Dlaczego przestała pani pisać o Polsce w „Russkiej Myśli”? W czasach podziemnej „Solidarności” to przecież dzięki pani, a także redaktorowi naczelnemu „Russkiej Myśli”, Irinie Iłowajskiej, Polska była stałym gościem na Waszych łamach. Złośliwi Rosjanie nazywali Was wtedy „Polską Myślą”.

Pisałam o Polsce w tych latach, gdy wydarzenia w niej zachodzące miały podstawowe znaczenie dla całego obozu socjalistycznego. Dzisiaj, dzięki Bogu, Polska stała się normalnym krajem, i to, co pisze się o niej na łamach „Russkiej Myśli” całkowicie, według mnie, odpowiada jej położeniu w świecie. A o „Polskiej Myśli” wspomniał pan bardzo adekwatnie. Nazywano nas jeszcze inaczej: antysemicką, żydomasońską, a teraz po prostu gazetą rządową. A my przecież jesteśmy ciągle tą samą „Russką Myślą”, a dopóki Jelcyn jest za Rosją, my będziemy za Jelcynem.

Czy nie sądzi pani, że Polacy i Rosjanie za mało z sobą współpracują na wszelkich niwach, zarówno polityczno-gospodarczej, jak i kulturalnej?

Co się tyczy polsko-rosyjskiej współpracy, jest jej mniej niż „mało”. Przypomnijmy jednak, że przy wszystkich rządach RP w Moskwie ambasadorem pozostaje były członek Biura Politycznego KC PZPR. Moim zdaniem jest to niegodne i niebezpieczne.

Wróćmy jednak do reakcji Rosji na plan wstąpienia Polski do NATO. Przecież Polska nie zabrania Rosji uczynić tego samego. Można odnieść wrażenie, iż Rosja zachowuje się jak przystawiony pies ogrodnika...

Rosja także niczego nikomu nie zabrania ani nie pozwala. Ale jej liderzy, jak zresztą liderzy każdego innego kraju, mają prawo wypowiedzieć swą opinię, a nawet udzielić stanowczej rady. Być może błędem było uważać plan rozszerzenia NATO za ideę sanitarnego kordonu przeciw Rosji. Ale nawet ja podejrzewam, że właśnie taka była istota tych planów. Inna rzecz, iż samo NATO, co widać z ostatnich jego działań – nie spieszy się do rozszerzenia. Bo i na rzecz kogo? Polski albo Litwy, gdzie komuniści już powrócili do władzy? Słowacji, gdzie rządzą narodowi komuniści, tylko jeszcze się tak nie nazywają? A kto może zagwarantować, że i na Węgrzech komuniści (którzy swego czasu pierwsi przemianowali się na socjalistów) nie powrócą do władzy w najbliższych wyborach? Wtedy już łatwiej przyjąć Ukrainę razem z Białorusią – tam komuniści nigdy od władzy nie odchodzili, a kordon znajdzie się nad samą rosyjską granicą. Przed biednym NATO wkrótce może stanąć „kwestia włoska” (tak samo jak w 1981 roku wybuchnął skandal z powodu kilku ministrów-komunistów we francuskim rządzie), a tu już podkładają mu, w formie państw „postkomunistycznych”, baterię min o opóźnionym działaniu.

Przed wyborami 12 grudnia 1993 roku ostro krytykowano projekt konstytucji Jelcyna. pani też nie była jego zwolenniczką. Po wyborach wielu niedawnych przeciwników Jelcyna uważa, iż przyjęta konstytucja prezydencka jest w dniu dzisiejszym jedyną ostoją dla demokracji. Czy mają rację?

Rzeczywiście myślę, że się myliłam: istnienie przyjętej przez referendum konstytucji (z wszelkimi jej wadami socjalno-utopijnymi) jest w danym momencie podstawową, choć nie jedyną, ostoją

dla demokracji. W każdym razie jest to konstytucja nowego państwa, zamiast krojonej i łatanej konstytucji Rosyjskiej SRR.

Czy sądzi pani, iż mają rację ci komentatorzy polityczni, którzy przyrównali sytuację Rosji do sytuacji Niemiec z okresu Republiki Weimarskiej?

Sądzę, że takie stwierdzenie jest wielce dyskusyjne: „liberalni demokraci” nie mają, i chwała Bogu, spójnej totalitarnej ideologii, jaką mieli faszyci włoscy i niemieccy narodowi socjaliści. Prócz tego, wydaje mi się bardzo prawdopodobne, że był to ich pierwszy i ostatni poważny sukces w wyborach. Teraz przeszli dzięki obietnicom, następnym razem zostaną rozliczeni z tego, jak swoje obietnice spełnili.

Ktoś jednak odpowiada za to, że Żyrynowski odniósł tak wielki sukces w wyborach. Czy winę ponoszą komuniści: Chasbułatow i Ruckoj? Czy też może prezydent Jelcyn wraz z Gajdarem, których oskarża się o rozpad ZSRR i społeczną nędzę? A może demokracja w niektórych momentach historycznych zawodzi?

W kwietniu tego roku byłam w Wilnie, spotykałam się z opozycyjnymi deputowanymi. Pytałam ich, jakże to możliwe, że u nich (byli wtedy pierwsi!) do władzy powrócili komuniści? W odpowiedzi usłyszałam: „ONI okłamali naród”. „Dobrze – odpowiedziałam – to ONI, a WY? Jakie WY popełniliście błędy przed wyborami? Jakie wyciągnęliście lekcje z porażki?” Wyraźnej odpowiedzi jednak nie usłyszałam. Niemniej jednak, myśląc o Litwie, Polsce i Rosji, sądzą, że za wyborczą klęskę odpowiedzialni są przede wszystkim sami demokraci. Jest nadzieja, że w Rosji wyciągną oni jakieś wnioski z tej nauki, a w przyszłości nie powtórzą chociażby części tych samych błędów. „Russkaja Mysl” z 16 grudnia 1993 opublikowała różne artykuły i wywiady z demokratami, które potwierdzają tę nadzieję.

A może raczej mają ci, którzy nie wierzą dzisiaj w szansę demokracji dla Rosji?

Przyjmuję, że znaczną część winy za to, co się stało, ponosi siedemdziesiąt pięć lat sowieckiej historii, ale nie można zwać na ten historyczny balast wszystkiego. Trzeba uczyć się demokracji w biegu, nic innego Rosji nie pozostaje. Jeżeli zaś nie wierzymy w możliwość zaistnienia demokracji w Rosji, to konsekwentnie nie możemy wierzyć w jej skuteczność w jakimkolwiek innym postkomunistycznym kraju.

Powróć na koniec do wyborów. Ich wynik i cała działalność i podróże Żyrynowskiego po Europie to fakty nadzwyczaj ponure. Ale ja nie widzę tu katastrofy, jak niektórzy w Rosji i na Zachodzie. To przecież jest PIERWSZY, ale NIE OSTATNI parlament wybrany w wolnych wyborach.

Nagła zmiana dekoracji (1994)

Rozmowa z Olgą i Bułatem Okudźawami

Grzegorz Przebinda, Janusz Swieży: *Nie tak dawno temu wielu ludzi z trwogą słuchało wieści o chorobie Bułata Okudźawy...*

Olga Okudźawa: Z Bułatem zdarzył się nieszczęśliwy wypadek, zupełnie nieoczekiwany, ponieważ on nigdy nie chorował. O jego serce nigdy się nie obawialiśmy. I była wielka podróż po Ameryce, wiele występów i tłumy ludzi dookoła. I w ogóle wszystko było piękne. Ale jednak coś nam się wydawało podejrzane na tyle, aby pójść do lekarza na badanie ogólne. A gdy już przyszedliśmy do gabinetu, to dokładne badanie wykazało, że nadciąga katastrofa. Lekarz powiedział, że Bułat z jego gabinetu nie powinien wychodzić. Trzeba od razu robić poważną operację na sercu. Jakież to było nieoczekiwane! Ale przecież to była Ameryka, to był dobry szpital! I Bułat rzeczywiście nie wychodził już z tego gabinetu na ulicę, lecz od razu trafił na salę operacyjną. Operowali go, a ja byłam przekonana, że taki człowiek jak on musi żyć dalej, że mamy wszelkie prawo, aby go tutaj operowano... Ale oni powiedzieli: „Nie, potrzebne są pieniądze, sześćdziesiąt tysięcy dolarów! Może pani z nim iść do szpitala dla żebraków, dla biednych, tam także jest dobrze, tam są dobrzy lekarze”. Ale wtedy ja powiedziałam: „Nie! Nigdzie stąd nie pójdziemy. Lekarz przecież powiedział, że Bułat nie może się nigdzie ruszać”.

Bułat Okudźawa: A potem amerykańska publiczność, emigranci, zebrali pieniądze. Dali ogłoszenie do gazet – i zebrali. Amerykanie i Japończycy...

O.O.: I Francuzi, i Niemcy.

B.O.: Emigranci posyłali pieniądze i zebrano połowę tej sumy. Ale gdzie znaleźć resztę? I wracaliśmy do Moskwy w rozpacz, ale przed wyjazdem powiedziano nam: „Napiszcie do Departamentu Stanu, że Okudźawa jest rencistą, że nie ma żadnych kapitałów w banku, że przyjechał tu tylko do pracy. Prawda, to tylko Amerykanie, ale na wszelki wypadek napiszcie”. Ola napisała i wyjechaliśmy. Za miesiąc albo dwa był telefon z Ameryki i dowiedzieliśmy się, iż amerykańskie państwo zapłaciło za nas tę resztę.

O.O.: Z jakiegoś funduszu dla biednych.

B.O.: To przecież nieważne z jakiego funduszu.

O.O.: Kiedy Bułat leżał jeszcze w szpitalu, zaczęły przychodzić telegramy, i były telefony z różnych części świata, a gazety amerykańskie pisały, że Bułat to rosyjski Bob Dylan – wtedy administracja szpitala bardzo się dziwiła, mówiono nam: „Jeżeli jest taki znany, to dlaczego nie ma pieniędzy, żeby zapłacić za własne życie?”. A nasze kapitały w banku wynosiły wtedy trzydzieści, góra – sześćdziesiąt pięć dolarów. Wzięliśmy specjalne zaświadczenie z ambasady, ujawniono nawet stan naszego konta.

Bułacie Szatłowiczu, niedawno opublikował pan powieść-wspomnienie, Zamknięty teatr, liryczną opowieść o czasach swego dzieciństwa.

B.O.: Ojciec mój był Gruzinem, matka Ormianką, oboje pochodzili z Tyflisu (Tbilisi). Bardzo wcześnie, jeszcze w młodości wstąpili do partii. Pracowali w podziemiu, ot, tacy romantycy rewo-

lucyjni. Ślepi. Wielu rzeczy nie rozumieli, chociaż ogólnie rzecz biorąc, uczciwie i bezinteresownie służyli swojej rewolucji. My tego nie rozumiemy, ale za Stalina... A potem ojca aresztowali – był to odwet historii. I rozstrzelali go. Potem aresztowali matkę i ona dziewiętnaście lat spędziła w łagrach. Byłem synem wrogów ludu z wszelkimi wynikającymi z tego konsekwencjami.

W opowiadaniu Jeszcze pożyjesz opisał pan swoje młodzięnce doświadczenia z frontu II wojny światowej – inicjacja wojenna siedemnastoletniego chłopaka...

B.O.: O, tak! Byłem przecież czerwonym chłopakiem! Bardzo czerwonym. Chociaż aresztowano mi ojca i matkę jako wrogów ludu, to przecież uważałem, że Czeka mylić się nie może.

Czy dlatego w ostatnim swym utworze, Zamknięty teatr, powrócił pan do tych kwestii?

B.O.: Jest to powieść o moim dzieciństwie, o latach trzydziestych. Przed katastrofą, przed 37 rokiem. Narratorem jest dziesięcioletni chłopaczek. I są tam moi rodzice, o których tu już mówiłem. Czynie tam, rzecz jasna, aluzje, że oni są psychicznie rozbici, że coś się dzieje. Jakaś trwoga. Ale ja ich kocham. A niedawno pewien krytyk napisał, że Okudźawa opublikował uroczą powieść, ale że za dobrze potraktował w niej komunistów. Ha! ha! ha! – dziesięcioletni chłopak o swoich rodzicach!

O.O.: Wiesz, Bułacie, wczoraj przyszła mi do głowy dziwna myśl. Kiedy powstał w twojej głowie plan tej epopei, kiedy usłyszeliśmy jej tytuł, „zamknięty teatr” – wyjaśniłeś wtedy wszystkim, że jest to historia twojego życia, że ty opisujesz swój poetycki świat. Pisałeś powieści i śpiewałeś pieśni... Wszystko to było teatrem – całe życie. A teraz uważasz się za starego człowieka, który zbliżył się oto do kresu swego życia – twój teatr się skończył. Teraz myślisz tylko o podsumowaniu tego wszystkiego. Wspomnienia. Poże-

gnanie. Teatr zamknięty. Teatr twojego życia. Napisałeś pierwszą część: Dzieciństwo. Zrozumiałeś, że dalej pisać nie będziesz już nigdy... Ale to nie twój „zamknięty teatr”. To „zamknięty teatr” twoich rodziców!

B.O.: Być może.

O.O.: To teatr komunistyczny.

B.O.: Być może tak.

O.O.: A zamknięto go wtedy, gdy ich aresztowano.

B.O.: Tak, rzeczywiście, to był odwet historii wobec nich.

O.O.: Ich osobisty teatr runął w tamtej epoce.

B.O.: Tak, uczestniczyli w przestępstwie i ukarano ich za to.

Niedawno obchodził pan siedemdziesięciolecie urodzin – urodził się pan w roku 1924. Pierwsze szesnaście lat swego życia spędził pan na Starym Arbacie.

B.O.: Kochałem wtedy swoją ulicę i swoje podwórko. Dopiero potem zrozumiałem, że Arbat – to nie taka sympatyczna ulica. Była ona główną magistralą, po której Józef Stalin jeździł na Kreml ze swojej willi w Kuncewie. I dlatego na Arbacie pełno było szpicli i agentów. Na wszystkich podwórkach, w bramach, w drzwiach – dosłownie wszędzie. W związku z tym wielu ludzi aresztowano. Gdy tylko okna wychodziły na Arbat, od razu podejrzewano właścicieli o próby zamachu na Stalina. Aresztowano ich i przesiedlano w inne rejony. Wtedy nie wiedziałem o niczym. Podobała mi się ta ulica.

Podobno nie lubi pan samej Moskwy?

B.O.: Moskwy nie da się lubić. Choć jestem jej mieszkańcem, lubiłem zawsze tylko swoją ulicę, swój dom i jeszcze parę zaułków, miejsc znajomych. Przeżyłem w Moskwie siedemdziesiąt lat, a znam tylko jej dziesiątą część. To megapolis szalone, sztuczne, potężne, nie przystosowane do potrzeb człowieka. Tak że lubić go nie można, chociaż, być może, warto byłoby...

Jak w końcu dzisiaj nazywa się ulica, gdzie państwo mieszkają razem już piętnaście lat: Zaułek Bezbożny, czy też Księży (Protopopowski) Zaułek ?

O.O.: Jeżeli panowie widzieli film *Pokuta*, to jest to ta sama droga, która prowadzi do świątyni. To – Zaułek Bezbożny, przy jego końcu stoi cerkiew metropolity Filipa, tego, który ośmielił się tupnąć nogą na Iwana Groźnego.

A w roku 1569 został za to zaduszony przez Malutę Skuratowa, carskiego oprycznika. Ciało zaś jego pochowano w dwa lata później w klasztorze na wyspach Sołowieckich.

O.O.: Ta cerkiew stoi dlatego, że prawie sto lat później następcą Iwana Groźnego na kolanach witał na tym miejscu prochy metropolity, które wieziono z Klasztoru Sołowieckiego, aby je pochować w Soborze Uspieńskim na Kremlu. I tutaj car Aleksy Michajłowicz na kolanach witał owe prochy. Zaułek nazywał się „Protopopowski”, dopóki nasi idioci w roku 1922 nie zmienili jego nazwy na „Bezbożny”... Był taki okres w naszym życiu, gdy wstydziliśmy się mówić, że mieszkamy w Zaułku Bezbożnym. Dlatego często podawaliśmy swój adres jako „Zaułek Boży”. Zrodziło się to jako żart, ale potem zaczęły przychodzić listy na taki adres, a poczta potulnie przynosiła je na nasz Boży Zaułek.

W jednym z wcześniejszych wywiadów określił się pan jako ateista. Dla nas było to pewną niespodzianką.

B.O.: Być może to sprawa wychowania, ale tak naprawdę ja do dzisiaj nie mogę sobie wyobrazić istnienia Pana Boga. Nie mogę. I dzięki Bogu, że nie udaję, nie idę za modą... Cerkiew na przykład zupełnie mnie nie pociąga, oprócz muzyki. Ale liturgiczne śpiewy cerkiewne lubię nie dlatego, że mają one religijny charakter, lecz dlatego, że jest to wielka muzyka. Lubię tego słuchać.

Lecz czy sztuka w ogóle, a pańskie pieśni w szczególności nie są jakimś „dowodem na istnienie Boga?”

B.O.: Ale dla mnie Boga nie ma. Istnieje, na przykład, logika natury, logika jej rozwoju. Oto co dla mnie istnieje – głębia, do której nie mogę dotrzeć. Nigdy też nie mogłem sobie wyobrazić Boga jako Osoby, jako Istoty; dla mnie jest to śmieszne. Nie mogę! Ale, oczywiście, nie chciałbym nikomu narzucać swego punktu widzenia, ponieważ bardzo szanuję ludzi prawdziwie wierzących.

O.O.: Chciałabym powiedzieć, że doszliśmy tutaj do naszej strefy zakazanej. Poza nią rozciąga się tragedia naszego życia z Bułatem. W dziedzinie religijnej istnieje pomiędzy nami przepaść. Nie jest to zapewne konflikt wierzącego z niewierzącym. Chodzi tylko o to, jak on mówi o swoim ateizmie... Bułat oto, jak każdy człowiek, który z bliska, własnymi oczami widzi cud, próbuje ten cud objaśnić materialnie. Albo odnosi się do niego fatalistycznie, nie rozmyślając o nim, nie spekulując. A ja za każdym razem mam świadomość tego cudu.

A pytając bardziej ogólnie, czy Cerkiew odgrywa dzisiaj jakąś istotną rolę w kraju?

B.O.: Dzisiaj? Nie! Na razie nie. Przecież Cerkiew – to jedno z narzędzi naszego państwa, naszej struktury... Jest tak samo chora jak całe społeczeństwo.

O.O.: To „cerkiew sowiecka”.

B.O.: Tak, tak – sowiecka. I ona też musi wyzdrowieć, wyleczyć się, dojść do siebie.

O.O.: Ale oczywiście Rosja bardzo potrzebuje Cerkwi. Jest pewne puste miejsce, które Cerkiew ma obowiązek zapełnić.

B.O.: Tyle tylko, że dzisiaj jakoś nic z tego nie wychodzi. Sama Cerkiew nie jest do tego przygotowana, a i ludzie także nie. Jest pewna część społeczeństwa, która zdecydowała, że pójdzie do kościoła i uwierzy w Boga. Ale to wszystko neofictwo, puste wewnętrznie.

O.O.: Ważne jest, aby dzisiaj Cerkiew zajęła się działalnością kaznodziejską. Rosja bowiem potrzebuje proroków, kaznodziejów. Potrzebuje...

B.O.: Może nie tylko potrzebuje. Ona się do nich przyzwyczała. I nie może żyć bez proroków. I dlatego znajdzie sobie proroka, uzna za proroka każdego łotra, jaki się pojawi.

O.O.: Rosja łatwo ulega pokusie, łatwo ją można sprowadzić na manowce. To niewybredny kraj.

B.O.: Kraj na niskim poziomie kultury. Dopiero dzisiaj to widać. Rosja zawsze się dzieliła na kulturalną elitę i na społeczeństwo. Elita kulturalna stworzyła wielką rosyjską literaturę, wielką muzykę i malarstwo. A przypisywano to całemu narodowi: „Oto naród, widzicie, jaki zdolny naród!”. Nie, to była tylko garstka, elita.

Powróćmy do kwestii proroków. Tym mianem niektórzy dziennikarze określają Sołżenicyna, który powrócił do Rosji po dwudziestu latach nieobecności i jakoby nic nie rozumie z tego, co w kraju się dzieje. Poucza natomiast wszystkich, sądząc, iż on jedynie posiada receptę na uzdrowienie Rosji.

B.O.: Tak ostro bym nie powiedział, chociaż jest w postawie Sołżenicyna coś, co przypomina mi proroka, niekoniecznie w pozytywnym sensie tego słowa. Dwadzieścia lat nieobecności w kraju mimo wszystko przeszkadza mu w zrozumieniu wszelkich subtelności dzisiejszego dnia. Specyfiki naszego życia... Ale jestem pewien, że Sołżenicyn prędzej czy później zorientuje się, że nie trzeba powtarzać bez przerwy rzeczy oczywistych.

Sołżenicyn twierdzi, że historia powinna stać się dla dzisiejszej Rosji nauczycielką życia. Chce ostrzec Rosję dzisiejszą, gdyż sądzi, że aktualna sytuacja przypomina zamęt po rewolucji lutowej 1917 roku. Dlatego nie wiadomo, co się wyłoni z tego chaosu. Nie jest wykluczony, według niego, jakiś nowy „październikowy przewrót”.

B.O.: Historia, wbrew przysłowiu, nigdy nie była *magistra vitae*. Tylko jednostki, które nie miały na nią wpływu, rozumiały sens przeszłości. Sołżenicynowska teza, iż Rosja, być może, znajduje się na progu „przewrotu październikowego”, dla mas ani dla rządzących nic nie znaczy.

A pana zdaniem, czy możliwy jest w Rosji na przykład faszyzm?

B.O.: Ja znam historię Rosji i wiem, że tutaj jest wszystko możliwe. Nawet faszyzm w rosyjskiej formie. Ale ja jednak ufam w wyborczą intuicję obywateli, ludzie mimo wszystko durniami nie są...

Nie ma też chyba na razie wodza?

B.O.: Rzeczywiście. W Rosji bohaterowie bardzo szybko się nudzą tłumowi. Najpierw ludzie krzyczą „Hura!”, jak krzyczano Żyrynowskiemu, ale zaraz potem odchodzą do swoich spraw.

Pan sam zajmował się jako pisarz historią Rosji. Jest pan autorem powieści o dekabrystach pt. Nieszczęsny Awrosimow. Dlaczego podjął pan właśnie temat „szlacheckich rewolucjonistów”? Sołżenicyn uważa ich wszystkich za poprzedników bolszewików.

B.O.: Gdy zaproponowano mi napisanie powieści o Pawle Pestlu, jednym z bardziej radykalnych przywódców dekabrystowskich, znajdowałem się w kiepskiej sytuacji materialnej. A oni proponowali niezłe honorarium, więc się zgodziłem. Potem poszedłem do archiwum i zająłem się dokładniej historią tego ruchu. Gdy poznałem bliżej postać Pestla, przestałem go darzyć jakąkolwiek sympatią. Dlatego w powieści głównym bohaterem uczyniłem sądowego skrybę, owego „nieszczęsnego Awrosimowa”. Nie powiedziałbym, aby wszyscy dekabryści byli poprzednikami Lenina. Ale Pestel był nim na pewno. W jego *Ruskiej prawdzie* jest taki fragment, gdzie rozważa on – po zwycięstwie rewolucji – możliwość przesiedlenia wszystkich małych narodów na Syberię. Tutaj Lenin ze Stalinem szli już tylko jego śladem.

Czy więc dostrzega pan linię łączącą historię Rosji przed i po roku 1917?

B.O.: Nie sądzę, aby bolszewizm był prostą kontynuacją tradycji carskiej Rosji, ale wykorzystał on dobrze historyczny grunt... Dlatego że Rosja, niestety, była przez stulecia krajem niewolniczym. Wytworzyła się określona psychologia, geny. I nie da się tego zmienić w ciągu jednego dnia. Bolszewicy to wykorzystali. Sołżenicyn, wydaje mi się, ma skłonności do idealizowania wszystkiego, co było przed 1917 rokiem, i tutaj nie ma racji. Chociaż w porównaniu z tym, co się stało po 17 roku, okres carów miał nader wiele zalet.

Sołżenicyn chyba nie idealizuje. Wystarczy przeczytać jego ostatni artykuł z „Nowego Miru” pt. Kwestia rosyjska u schyłku XX wieku, aby zobaczyć, jak krytycznie ocenia ostatnie dwieście lat panowania domu Romanowów. Z drugiej strony, tuż przed

*I wojną Rosja stworzyła własną cywilizację i rozwijała się w do-
brym kierunku.*

B.O.: Na przełomie XIX i XX wieku, to prawda, rozwijała się bu-
rzuazja, Rosja stawała się bardziej normalna. Ale psychologia tak
szybko się nie zmienia. Bolszewicy umieli to wykorzystać. Za to, co
się stało w 1917 roku, odpowiada sama Rosja, nie możemy zwać
winy na kogokolwiek.

*W dziejach rosyjskiej myśli poprzez stulecia wyrażany był
pogląd, iż rozwój cywilizacji zabija ducha i kulturę. Rosja miała
przeto wystrzegać się cywilizacji jak diabeł święconej wody.
Przed rewolucją taki pogląd wykopał przepaść pomiędzy masami
a wykształconą elitą. Bolszewizm ze swej natury był nie tylko
anty-duchowy, lecz także anty-cywilizacyjny.*

B.O.: O tej przepaści już mówiłem. Cywilizacja i kultura muszą
się rozwijać paralelnie. Kapitalizm przy pewnych modyfikacjach
jest ustrojem dla człowieka naturalnym. Socjalizm zawsze krępował
swobodę twórczości we wszelkich dziedzinach. Tymczasem Rosja
jak powietrze potrzebuje zarówno cywilizacji, jak i kultury. A nas za-
wsze uczono, że jesteśmy lepsi... Zawsze zwyciężamy. A potem
przyszły klęski. Już w czasie pieriestrojki zobaczyliśmy w całej oka-
załości naszą nędzę materialną i duchową. Nastąpił wtedy szok. Bar-
dzo pożyteczny. Bolesny, ale pożyteczny. Zmusiło nas to do zastano-
wienia. Klęska zawsze była dla Rosji dobrym nauczycielem.

Ojcem tej „pożytecznej klęski” był Michaił Gorbaczow...

B.O.: Kiedyś Gorbaczowowi ludzie postawią pomnik. Czy tego
chciał, czy nie – dokonał jednak rzeczy wielkiej. Dzisiejsze losy Eu-
ropy, Polski, Rosji są związane z jego imieniem. Postawią mu kie-
dyś ten pomnik... Być może nie chciał tego i wyszło mu przypadko-
wo, ale to już nie moja sprawa. Być może chciał tylko zbudować

społeczeństwo kapitalistyczne pod przywództwem partii
komunistycznej?

O.O.: Był on rzeczywiście partyjnym funkcjonariuszem zarów-
no ze względu na funkcję, jak i psychologię. Tym niemniej sędzę,
że to Bóg powołał go do tej misji. Z jego rąk wszystko otrzymali-
śmy. Nie boję się go nazwać Bożym wybrańcem.

Czy bez niego wszystko to nie przyszłoby samo?

B.O.: Przyszłoby, ale z pewnym opóźnieniem.

O.O.: Mogłoby się to stać na przykład za lat dwadzieścia. Dla
jednego życia ludzkiego to szmat czasu. Czyli przynajmniej jedno
pokolenie powinno mu być wdzięczne.

B.O.: Chcę dodać, że tak naprawdę proces ten rozpoczął jesz-
cze Chruszczow. Bojaźliwie rozpoczął, a potem wszystko szybciu-
tko wróciło na swoje miejsce. Ale to było dla nas bardzo ważne.
O Stalinie nagle powiedziano głośno to, co trzeba... Ludzi zaczęto
wypuszczać z więzień. Całe nasze pokolenie istnieje dzięki odwil-
ży 1956 roku.

*A jak pan, z matki – Ormianin, z ojca – Gruzin, patrzy na
wojny toczone na Zakaukaziu?*

B.O.: Nie dziwią mnie wojny. Raczej trwożą. To władza sowiecka
doprowadziła do tych konfliktów. Wrogość wobec innych nacji
wryła się głęboko w psychikę ludzi tamtych obszarów. Dobrze
znam Gruzję, tam na przykład mówiono: „Ormianin, ale dobry
człowiek”... Zupełnie nie wiem, jak skończy się konflikt między
Gruzją a Abchazją. Rozmawiam na ten temat z moim abchaskim
przyjacielem, Fazilem Iskanderem. On twierdzi, że Abchazja musi
uzyskać szeroką autonomię w granicach Gruzji. Ale co na przykład
uczynić z Gruzinami, którzy mieszkali w abchaskim Suchumi? Tej

nienawiści wystarczy na dwa pokolenia. To samo dotyczy Azerbejdżanu i Armenii. Prawdę mówiąc, nie widzę z tego wyjścia w najbliższym czasie.

W połowie listopada 1994 roku był pan obecny na spotkaniu przedstawicieli inteligencji twórczej z prezydentem Jelcynem. Wiadomo, że pokładał pan w nim – jak wielu innych – duże nadzieje. Co powiedziałby mu pan dzisiaj, po tym jak nieomal własnymi rękami zabił dziesiątki tysięcy Czeczenów, a ich stolice zrównał po wsze czasy z ziemią?

B.O.: Nie spotkałbym się z nim teraz. Nie spotkałbym się z nim teraz choćby dlatego, że nie lubię pouczać ludzi. Jelcyn to człowiek, który – przy wszystkich swoich wadach – był kiedyś dla nas nadzieją. Przynajmniej tak nam się wydawało. Dlatego staraliśmy się nie zauważać jego wad i popieraliśmy go. A teraz? Nie widzę nikogo, kto dzisiaj, natychmiast, mógłby go zastąpić. O czym jednak mógłbym teraz z nim rozmawiać, gdy w telewizji widziałem małe dzieci z poodrywzanymi rękami i nogami? Niechże sobie pozostaje prezydentem do końca swojej kadencji, niech robi to, co uważa za stosowne, ale mnie się nie chce z nim rozmawiać. A wszystkie te opinie, że on rzekomo nie wiedział, co robi, że „otoczenie” go okłamało – wszystko to jest bardzo naiwne. Wszyscy jesteśmy ludźmi sowieckimi, nasza psychika jest sowiecka, imperialna. Niezależnie od haseł, jakie głosimy, wewnątrz nas siedzą żądze imperialne. I dopóki nie minie parę pokoleń, Rosja nie stanie się normalnym krajem. Zagranica słusznie się nas obawia...

Komu właściwie była potrzebna ta wojna w Czeczenii?

B.O.: Dudajew został prezydentem przy wydatnej pomocy Rosji, popierano go wtedy. A potem Czeczenia przekształciła się w żebraczą kryminogenną republikę. Wtedy nasi rządcy nagle się zorientowali, że trzeba coś zrobić, ale było już za późno. Co robić? Zdecydowano po bolszewicku i zaczęto mordować własnych oby-

wateli. „Zwycięzano”, aby zawiesić flagę nad pałacem prezydenckim. Tak jakby to był obcy kraj, wróg... Wszystko to wynika z głupoty, z niskiego poziomu kultury. Były tysiące sposobów, aby przywrócić tę republikę do normalnego stanu. Po co były bomby i artyleria... Ale oni nie umieją inaczej. Wypracowali w sobie jeden nawyk: bić po mordzie – i kwita.

Czy naprawdę nie ma w Rosji kogoś, kto potrafiłby – przy pomocy wyborców – doprowadzić do sytuacji w miarę normalnej? Tyle razy po chwalebnym roku 1991 wydawało się, że teraz to już naprawdę pójdzie lepiej. I nigdy nie poszło.

B.O.: Żyjemy w takim właśnie okresie. Jak się to skończy i kiedy – nie wiadomo. Nie sądzę, aby ktokolwiek mógł to rozwiązać natychmiast. Rosja właściwie potrzebuje mądrego autorytarnego reżimu. De Gaulle by się tu przydał. Ale w Rosji wszelki autorytarny reżim w ciągu jednego dnia przekształca się w dyktaturę i tyranie. Francja poradziła sobie, zwalczyła chorobę imperializmu, w Rosji będzie to znacznie, znacznie trudniejsze. Musi przeminąć parę pokoleń.

Powróćmy na koniec do pańskiej twórczości. Kilka razy oświadczał pan, że nigdy nie zaśpiewa już publicznie żadnej pieśni. Że to zamknięty okres. Tymczasem w listopadzie 1994 znów pan wystąpił w Paryżu przed publicznością.

B.O.: Rzeczywiście, bardzo często ogłaszałem, że nie będę więcej pisać pieśni. Dla mnie zawsze było to hobby. Nigdy nie uważałem tego za swą główną profesję. Na gitarze grać nie umiem i cóż za śpiewak ze mnie? Ale ciągle śpiewałem i śpiewałem – a ludziom się podobało. Ja natomiast miałem już dość, przestałem pisać... Ale znów matka-natura wmieszała się i znowu zacząłem pisać. Jednak w ciągu ostatnich ośmiu lat nie pisałem nowych pieśni. Gdy występowałem, śpiewałem stare rzeczy.

Dużo ludzi słuchało pana w Paryżu?

B.O.: W Paryżu? Ach! Sala była nabitą do ostatniego miejsca. Ale na tym koncercie, podobnie jak wcześniej w Ameryce, śpiewałem jedną nową pieśń. W ciągu ośmiu lat napisałem tę jedną nową pieśń. I wykonałem ją przed publicznością. Spodobała się. Być może znowu coś napiszę. Nie mogę kategorycznie zaprzeczyć. Ale bywają długie okresy, kiedy mi się zwyczajnie nie chce. Głos mam coraz słabszy. A w moim wieku, czyż można jeszcze występować z gitarą?

Płacić Rosją za Rosję... (1999)

Rozmowa z Georgijem Władimowem

Grzegorz Przebinda, Janusz Świeży: *Pańska powieść Wierny Rusłan. Historia psa obozowego jest uważana za jedną z najważniejszych rosyjskich książek XX wieku. W jaki sposób zrodziła się myśl, aby dać opis losu człowieka w świecie koncentracyjnym poprzez świadomość łagrowego psa?*

Moja matka spędziła dwa i pół roku na wyspach Archipelagu GUŁag. Gdy w 1962 r. w „Nowym Mirze” u Aleksandra Twardowskiego, gdzie sam pracowałem, ukazał się *Jeden dzień Iwana Denisowicza* Aleksandra Sołżenicyna, pomyślałem, że oto teraz przyszła kolej na moją taką książkę... Ale musiałem znaleźć bohatera... spośród katów i ofiar... Osobiście sądzę, że bohater Archipelagu, to istota, która sądzi, że cały ten straszny porządek jest albo „sprawiedliwy” i „konieczny”, albo „dany od Boga” w charakterze próby. Nie byli przecież „bohaterami” Ławrientij Beria ani Wiktor Abakumow, zwykli cynicy i łajdacy... Prawdziwymi bohaterami byli ludzie wierzący, którzy przyjmowali swój los jako próbę wierności, zesłaną przez Boga. Ale człowiek religijny to nie jest mój bohater... wychowano mnie w duchu ateistycznym... W dobrym momencie ktoś mi opowiedział taką historię. „W miasteczku Timirtau był kiedyś łagier. Zburzono go potem w czasie odwilży, dookoła wałowały się druty kolczaste. Na miejscu budowano fabrykę, baraki służyły za mieszkania dla robotników. Po mieście wałęsały się psy

łagrowe, które według instrukcji należało wystrzelać. Nie dało się ich «odtresować», surowy reżim tresury był nieodwracalny. Ale ktoś się nad nimi ulitował i wałęsają się teraz potwornie wychudłe, od nikogo nie wezmą ochłapu, można na nie patrzeć tylko z profilu... Nie wiadomo, czemu jeszcze nie zdechły z głodu... Gdy jednak przez miasto idzie pochód pierwszomajowy, to psy natychmiast ustawiają się w konwoju i pilnują ludzkiej kolumny. Gdy ktoś próbuje wyjść z szeregu, warczeniem zapędzają go z powrotem". To nie legenda, lecz szczerza prawda... Po jej wysłuchaniu już wiedziałem, że oto wreszcie mam swojego bohatera, którego długo szukałem, mam żywą istotę, gotową oddać życie za „archipelag”.

W 1963 r. zaniósł pan 60-stronicowe opowiadanie do Twardowskiego, który przyjął je do druku. Dlaczego więc utwór ukazał się na Zachodzie i to dopiero w 1975 roku, a w Rosji ujrział światło dzienne po kolejnych czternastu latach? Wcześniej krążył jako „anonimowa legenda” w samizdacie.

Rzecz w tym, iż w pierwszej chwili napisałem satyrę antropomorficzną. Bohaterem był w istocie rzeczy nie pies, lecz łagrowy strażnik w psiej skórze. Twardowski przyjął to do druku z wahaniem: „Sądzę, że pies ma własną tragedię, ale pan nie potrafił jej ukazać, zrobił pan ze zwierzęcia policyjnego łajdaka”. Więc wziąłem tekst do przeróbki, ale on i tak zaczął żyć własnym życiem. Przypisywano go Sołżenicynowi, podczas licznych spotkań często proszono go o przeczytanie „opowiadania o psie”. A on za każdym razem się złościł i mówił, że to nie jego... Jako stary zek nie chciał jednak wymieniać mego nazwiska, bo rzecz nie była jeszcze drukowana i mogła mi sprawić wiele kłopotów. W 1965 r. napisałem drugi wariant, ale właśnie skończyła się odwilż i Twardowski mógł tylko bezradnie rozłożyć ręce. W latach 1971-74 na zamówienie emigracyjnego wydawnictwa „Posiew” pracowałem nad trzecim, rozszerzonym i ostatecznym wariantem powieści. I nie była to już antropomorficzna bajka o psie, lecz prawdziwa i tragiczna historia psa Rusłana i jego otoczenia... Maszynopis na

bibułce papierosowej wywozła za granicę para młodych zagranicznych turystów, ona – w buciku, on – w podszewce marynarki... Powieść ukazała się w maju 1975 roku w emigracyjnym piśmie „Grani”. Na jesiennych Targach Frankfurckich był już przekład niemiecki, potem pojawiły się tłumaczenia na kilkanaście europejskich języków, a nawet na nowohebrajski i japoński. O ile wiem, w Europie nie ma tylko przekładu na fiński i portugalski.

W rosyjskiej tradycji istnieją dwie światopoglądowe postawy wobec koncentracyjnego świata. Wartam Szalamow sądził, iż podobne doświadczenie ma charakter wyłącznie negatywny, upodlający, od cierpienia nikt nie staje się szlachetniejszy... Sołżenicyn zaś, gdy opisywał własną historię, mówił, że dopiero doświadczenie Archipelagu wzbogaciło go duchowo i pozwoliło poznać samego siebie. Dlatego pozwolił sobie na okrzyk: „Bądź błogostawione więzienie za to, żeś zaistniało w moim życiu”. Która postawa jest panu bliższa?

Trudno powiedzieć, to zależy od osoby. Rozumiem Szalamowa, ale rozumiem też Sołżenicyna. Ktoś został na wieki okaleczony, ktoś w ogóle nie chce tego wspominać, a ktoś inny powie, że jest to najbardziej znaczący epizod jego życia...

Mówił pan o wychowaniu ateistycznym... Czy była też fascynacja komunizmem?

Bardzo wcześnie dojrzałem. Było to w sierpniu 1946 r., gdy z kolegą i koleżanką poszliśmy wyrazić współczucie pisarzowi Michajłowi Zoszczenec, po tym jak wraz z Anną Achmatową został oficjalnie potępiony w „Prawdzie” przez Aleksandra Żdanowa. Mój kolega powiązał te wydarzenia z informacją z 2 VIII 1946 r. o egzekucji generała Andrieja Własowa i jego towarzyszy (w sumie powieszono dwanaście osób). Pamiętam, jak mnie zaciągnął w jakiś kąt i mówi: „Dlaczego nie było jawnego sądu? Przecież jeśli on jest zdrajcą, trzeba to było szeroko rozstrąbić (a wtedy był w pełnym

toku proces norymberski...), a po co od razu było wieszać w tajemnicy w podziemiach”. Byliśmy wtedy uczniami szkoły wojskowej. Po dwunastu dniach wyszła partyjna rezolucja o pismach „Zwiewda” i „Leningrad”. Doszliśmy do wniosku, że o losie Własowa, Achmatowej i Zoszczenki zadecydowano na tym samym posiedzeniu Biura Politycznego. Wzięliśmy z biblioteki utwory Zoszczenki, przeczytaliśmy je i ruszyliśmy do jego domu nad Kanałem Gribojedowa w Leningradzie.... Poszliśmy w czarnych mundurach uczniów szkoły wojskowej im. Suworowa, żeby było oficjalnie! Aby się od razu nie wystraszył, wzięliśmy jeszcze koleżankę, ubraną w biały kostium i czerwony berecik... Wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, że podczas aresztów tajna policja często wykorzystuje także kobiety, dla odwrócenia uwagi... Jednak Zoszczenko, były frontowiec, wcale się nie wystraszył. Oddaliśmy honory, a on ją się tłumaczył, że całe życie stał po stronie władzy radzieckiej, że walczył z bandami Nestora Machny, że nie rozumie, o co jest oskarżany. Rozmowa trwała pół godziny, wyraziliśmy mu szacunek i poszliśmy do domu.

Bez późniejszych konsekwencji?

Były, a jakże! Po paru tygodniach zostałem wezwany do oddziału politycznego, przesłuchiwał mnie pułkownik... przyjechał specjalnie z Moskwy. Okazało się, że sąsiadka zza ściany doniosła do wydziału politycznego, że czytamy Zoszczenkę. Pułkownik mówił: „Partia i rząd zadecydowały, że jest to książka szkodliwa, a wy – przyszyli oficer i czekista – czytacie to obrzydliwe antyradzieckie oszczerstwo?” A my na to, że nie tylko czytamy, lecz jeszcze byliśmy z wizytą u pisarza... „Przed rezolucją partii, czy po?”. Oczywiście odparliśmy, że po... Kapitan Miakuszka, który przesłuchiwał nas po tamtym pułkowniku, doradził nam po ludzku, żebyśmy zmienili zeznania, bo nas zwyczajnie zatłukają... I rzeczywiście zmieniliśmy... Co z tego, skoro nasza koleżanka, dumna Polka (jej matka uczyła angielskiego w naszej szkole, tak że mieszkała razem z nami w miasteczku wojskowym), powiedziała na to:

„Mówią, że byli przed rezolucją? Ale ja byłam po... i nic więcej nie mam do dodania”. Oni na to: „Idźże z Bogiem dziewczyno i nie gadaj za dużo”...

W czasie odwilży Nikity Chruszczowa pracował pan w „Nowym Mirze”. Do literatury wszedł pan za sprawą powieści Katastrofa (1961), obalającą wszystkie mity „powieści produkcyjnej”... Wczoraj ze zdumieniem dowiedzieliśmy się, że tę powieść czytał z zainteresowaniem... sam papież Jan XXIII!

Wiem o tym od Wiktora Niekrasowa [autora głośnej ongiś powieści wojennej *W okopach Stalingradu* (1946), potem emigranta], który odwiedzał wtedy Włochy. Jan XXIII jeździł co tydzień na podmiejskie pikniki z szoferem. Ponieważ bardzo się troszczył o duchowy rozwój swego kierowcy, za każdym razem pytał go, co czyta... Tym razem szofer przeczytał powieść radzieckiego pisarza: „O szoferze na wielkiej budowie, który jeździ, jeździ i w końcu łamie sobie kark w katastrofie”... „Daj poczytać” – mówi papież... Po pewnym czasie na jednej z audiencji zapytano Jana XXIII: „Wasza Świątobliwość chce współpracy z krajami bloku wschodniego, ale przecież to twierdza bezbożnictwa, która może szkodliwie oddziaływać na wierzących w naszych krajach?” A papież na to: „Nie byłbym takim pesymistą. Niedawno przeczytałem powieść młodego radzieckiego pisarza o zwykłym kierowcy, zajęтым ustawiczną pogonią za chlebem powszednim... Ale ja i tam dostrzegłem krach ateizmu, bo z książki niezbitnie wynika, że zanik duchowości może stać się przyczyną zguby człowieka. Autor nie pisał książki na zamówienie Kościoła, to typowo świecka literatura... ale pisał ją chrześcijan... pewnie nie podejrzewający, że nim jest”. Po tej audiencji na moją powieść rzucili się wydawcy, posypały się przekłady.

W 1967 roku wysłał pan list do IV Zjazdu Pisarzy w obronie Aleksandra Sołżenicyna: „Niechże się Zjazd nie obrazi, ale imiona 9/10 jego delegatów nie przejdą do następnego stulecia. Tym-

czasem Aleksander Sołżenicyn, duma rosyjskiej literatury, będzie sławny znacznie dłużej (...) I chciałbym jeszcze zapytać Zjazd – czy jesteście nacją łajdaków, donosicieli i kapusiów, czy jesteście wielkim narodem, który podarował światu nie mającą równej plejadę geniuszy?”

Bardzo przeżyłem odwilż Chruszczowa... Ale potem przyszedł „zastój” Breżniewa. I oto, gdy pojawia się wielki pisarz Sołżenicyn, znów słyszymy wszystkie te podłe oszczerstwa, jak ongiś przeciwko Zoszczenko i Achmatowej. Było to niedługo po procesie Andrieja Siniawskiego i Julija Daniela (1965). Już wtedy razem z Wasilijem Aksionowem napisaliśmy w formie protestu list otwarty.

Rosyjscy dysydenci, m.in. Natalia Gorbaniewska, opowiadają, jak wielki wpływ wywarła na ich świadomość polska literatura, film i czasopisma lat 60. i 70. To samo mówił Bułat Okudźawa. pan także jest w Polsce nie po raz pierwszy.

Byłem u was już w 1964 r. Przyjechaliśmy z ZSRR, 34-osobowa grupa pisarzy. Ja trzymałem się z Okudźawą, Borisem Bałterem (autorem książki *Do widzenia chłopcy*) i Władimirem Ogniewem, krytykiem. Trzy dni spędziliśmy w Warszawie, trzy w Krakowie, dzień, dwa w Zakopanem, gdzie nieoczekiwanie doznaliśmy radości po tym, jak nieopatrznie przekroczyliśmy na szlaku granicę z Czechosłowacją.

To wtedy Okudźawa spotkał się z Agnieszką Osiecką i napisał pieśń o trębaczu nad Krakowem...

Siedzieliśmy obok pomnika Adama Mickiewicza, piliśmy kawę przy stolikach i Agnieszka opowiedziała mu historię trębacza. On na to, że chciałby o tym napisać. Po pół roku, zdaje się, powstała ta piosenka.

Dla Okudźawy Polska była „pierwszą zagranicą”...

Tak jak dla mnie. Wielki wpływ na mój światopogląd wywarło polskie kino, takie filmy jak *Kanał*, *Popioły*, *Popiół i diament* Andrzeja Wajdy, *Pociąg* Jerzego Kawalerowicza. Wajda przyjeżdżał do Moskwy z Beatą Tyszkiewicz. Potem przyszło nowe polskie kino, które zastąpiło u nas włoski neorealizm... No, a potem to już była „Solidarność”. Bardzo zazdrościliśmy wam, Polakom, zorganizowania i porządku.

W 1977 r. wyrzucono pana ze Związku Pisarzy, wkrótce został pan szefem moskiewskiej sekcji „Amnesty International”. W maju 1983 r. wyjechał pan z ZSRR i wyemigrował do Niemiec. Był pan jednym z ostatnich emigrantów, niedługo potem nastąpił przecież Michaił Gorbaczow...

Przecież jeszcze początek Gorbaczowa był bardzo mroczny! Czy już zapomniano, że także on pozbawiał ludzi obywatelstwa, np. Irinę Ratuszyńską? [poetka i obrończyni praw człowieka, która wyemigrowała do Anglii w 1986 r.]. A w 1982 roku wisiała nade mną groźba aresztu, mogli też uwięzić moją żonę. Skontaktowałem się przez Jelenę Bonner z Andriejem Sacharowem, który był wtedy na zesłaniu w Gorkim. Radził, żebym wyjechał. Póki się zastanawiałem, Lew Kopielew w RFN zorganizował wielką kampanię w mojej obronie, w lutym 1983 przysłał mi na urodziny telegram podpisany przez Heinricha Bölla i Willy Brandta... Taki gest, żeby władze poczuły, kto mnie broni. Dostałem zaproszenie z Uniwersytetu z Kolonii od profesora Wolfganga Kazacka i pojechałem. Na początku wyjeżdżałem na rok, ale miesiąc po wyjeździe zabrali mi obywatelstwo, potem mieszkanie.

Ci, co nie pomarli, dziś często wracają...

I ja bym wrócił, gdybym miał dokąd. Ale skonfiskowali mi mieszkanie... W sierpniu 1990 Gorbaczow chciał mi oddać obywatelstwo, ale przecież w Rosji nie miałbym gdzie mieszkać... Gdy w 1995 dostałem w kraju Nagrodę Bookera za powieść *Generał*

i jego armia, to w przemówieniu napomknąłem, że wielu emigrantów wróciłoby, gdyby tylko mieli dokąd. Na prezentacji był zastępca szefa administracji Jelcyna. Poradził, żeby paru pisarzy napisało list, a on położy go na biurku prezydenta. Jelcyn to przeczytał i napisał: „Wyjaśnić i w miarę możliwości załatwić pozytywnie”. Rezolucja trafiła jednak do burmistrza Moskwy Jurija Łużkowa, który na to rzekł: „Mieszkań to nie mamy nawet dla swoich”... I tak się to skończyło... Chyba chcą, abym zrzekł się niemieckiego obywatelstwa, ale tego nigdy nie uczynię. Pięćdziesiąt dwa lata nie mogłem stamtąd nigdzie wyjechać... żeby zobaczyć Paryż, musiałem na zawsze pożegnać się z Ojczyzną. I wiem, że gdybym tam wrócił bez niemieckiego paszportu, to znowu mnie nie wypuszczą.

Przyjechał pan do Polski na promocję nowej powieści Generał i jego armia. Z jednej strony otrzymał pan za nią najbardziej prestiżową literacką nagrodę wolnej Rosji – Booker Russian Novel Prize, ale z drugiej strony podniosły się słowa krytyki, że wydarzenia wojenne przedstawił pan w fałszywym świetle. Ot, choćby kontrowersja wokół generała Wehrmachtu, Heinza Guderiana, który dowodził błyskawiczną akcją przy użyciu czołgów przeciwko ZSRR, a pan uczynił z niego oficera-intelektualistę, rozmyślającego o losach i przeznaczeniu Rosji, w Jasnej Polanie w gabinecie Lwa Tołstoja...

Największy atak przyszedł ze strony Władimira Bogomołowa, autora świetnych opowieści wojennych: *Iwan, Zosia, W sierpniu czterdziestego czwartego*, który tym razem posłużył się językiem przyfrontowego propagandzisty. Pisał, że „mój” Guderian to apologeta Wehrmachtu i opluwanie ludzi radzieckich... Ale ja starałem się rozwikłać wiele tajemnic II wojny. Nim przystąpiłem do pisania, przeczytałem o Guderianie wszystko, co było dostępne. On sam mówił, że przed wyprawą na Rosję przeczytał wszystkie materiały o rosyjskich wojnach szwedzkiego króla Karola XII i Napoleona I. Musiał więc czytać także *Wojnę i pokój*... A potem 26 dni mieszkał w domu Tołstoja w Jasnej Polanie, więc musiał też rozmyślać o go-

spodarzu i jego książkach... Myślał, że pokona „bolszewicką zarazę”, ale przynosił z sobą zarazę faszystowską.

Pisano, że dokonał pan także aktu rehabilitacji generała Andrieja Własowa, który przeszedł ze swą armią na stronę Hitlera...

Bogomołow powiedział, że Własow jest zdrajcą i po co się nim zajmować? Ale czy panowie wiedzą, że pierwszy wydany przez Guderiana rozkaz o odwołaniu wojsk niemieckich był przyjęty w przeddzień kontraktacji „zdrajcy” Własowa? Ale mnie naprawdę interesował nie on sam, lecz własowcy. Własow nie miał zamiaru przechodzić na stronę Niemców, po prostu znalazł się w okrążeniu i popłynął z prądem. A gdyby było inaczej, to razem z Georgijem Żukowem – bo przecież miał takie same zdolności i władczy charakter – zostałby marszałkiem, siedziałby w przydiach obsypywany orderami... Mnie jednak interesowali ci z naszych ludzi, którzy tak tłumnie przechodzili na stronę wroga, co ich tam pociągnęło. Tragicznie ułożyła się nasza historia po 1917... Mój główny bohater, fikcyjny generał Kobrisow, też nie jest bez winy, bo przecież brał udział w straszliwej stalinowskiej kolektywizacji.

Popularny w Polsce Wiktor Suworow w swej ostatniej powieści Oczyszczenie twierdzy, że czystki, jakie Stalin przeprowadził w Armii Czerwonej przed II wojną (w sumie rozstrzelano prawie siedmiuset oficerów) przyczyniły się do scementowania radzieckiego wojska. pan, co widać z powieści, sądzi wprost przeciwnie.

Zdecydowanie odrzucam tezę Suworowa. Dlaczego Stalin zniżył najbardziej zdolnych ludzi, a pozostawił nieudaczników? Zlikwidował marszałka Michaiła Tuchaczewskiego i Aleksandra Jegorowa, generała Jonę Jakira i Witalija Primakowa. A zostali Kliment Woroszyłow i Siemion Budionny, w nowoczesnej wojnie zupełnie nieprzydatni... Dobrze, że znaleźli się nowi ludzie, sztabowcy, którzy sprawdzili się na froncie: Żukow, Aleksander Wasilewski, Nikołaj Watutin. Konstantego Rokossowskiego dwa razy więzili na

rozstrzelanie, powybijali mu zęby, ale potem został dowódcą dywizji, armii, frontu... Ale to wszystko były niedobitki... Własow to wyjątek, ale on miał szczęście, bo jego dywizja zajęła pierwsze miejsce na przedwojennej paradzie związkowej.

Mówi pan, że „za Rosję płacono Rosją”. Co to znaczy?

Kiedy w powieści generał Kobrisow widzi, że aby zdobyć miasto, w którym kiedyś żyło dziesięć tysięcy poborowych mężczyzn, musi zapłacić teraz życiem dziesięciu tysięcy żołnierzy – to właśnie jest „płacenie Rosją za Rosję”. Na tej wojnie zginęli najlepsi z Rosjan. Tak jak u was w Katyniu... Nieprzypadkowo rozstrzelali tam oficerów, to była elita polskiego narodu... Całego narodu zatłuc się nie da, ale elitę można.

A Rosja dzisiaj? W odróżnieniu od Aleksandra Sołżenicyna nie obawia się pan powrotu komunistów do władzy, za to bije pan na trwogę w obliczu działań rosyjskich faszystów.

Sołżenicyn mówi, że Rosja nie znała faszyzmu i on nigdy się u nas nie przyjmie. Tym niemniej, mamy już faszyzm. I w Rosji ma się on lepiej niż obalony komunizm. Komuniści już na pierwszy rzut oka są figurami raczej żalonymi. Widziałem dzisiaj Giennadija Ziuganowa, polityka stosunkowo młodego, ale on już myśli kategoriami starca... Ideologia komunistyczna się wyczerpała, jej nosiciele to zgrzybiali starszycy biorący udział w śmiesznych i żalonych demonstracjach. Co innego nasz faszyzm, który jest atrakcyjny, ma siłę przyciągania. Faszyzm ma, by tak rzec, własną estetykę. Dobrze to rozumiał Hitler, dbający o formę, mundury, marsze i hymny. Nasi też to zrozumieli i przejęli. Młodzież garnie się do czarnych koszul ze swastykami, do muzyki, strzyże się na jedną modłę, chce się komuś podporządkować. Oni mają poczucie misji: „To na nas ciąży brzemię władzy w Rosji. To my powinniśmy oczyścić i wyzwolić Rosję”. Myślę, że będą się szykować do przejęcia władzy. A gdy my się ockniemy i zaprotestujemy, będzie już za póź-

no. Dojdzie do prawdziwej wojny domowej. Żadną inną ideologią, żadną ironią i śmiechem faszyzmu zwyciężyć się nie da... Hitler przecież też był błaznem, który stał się Reichsführerem... Faszyzm można zwyciężyć tylko siłą, a tej siły dziś nikt w Rosji nie ma, ani nie mobilizuje.

Co czeka Rosję w ciągu najbliższych piętnastu lat?

Przeżywamy dzisiaj dwa kryzysy: duchowy i polityczny. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że wolność to przede wszystkim ciężkie brzemię i ogromna odpowiedzialność... A u nas rozumiano to jako „wszystko wolno” i „rób co chcesz”. Drugi kryzys jest związany z tzw. „pierwotną akumulacją kapitału”, która zawsze ma charakter bandycki, chamski i złodziejski. Rosja została rozkradziona, co umożliwiły potknięcia Jegora Gajdara i Anatolija Czubajsa. Ich cel był słuszny, chcieli przeprowadzić prywatyzację, poprzeć mały biznes, wprowadzić wolny rynek. Ale działali w Rosji, gdzie wszystko nabiera form zwyrodniałych. Stworzyli możliwości dla „nowych Rosjan”, którzy rozkradli kraj, wzięli w swe ręce przemysł, tylko po to, żeby się nachapać i prowadzić słodkie życie milionerów. Mafia coraz silniej naciska już na nasz rząd. Aby Rosja wróciła do norm cywilizacyjnych, musi upłynąć wiele czasu, muszą przeminąć nie tylko ci „nowi Rosjanie”, lecz nawet ich dzieci i wnuki.

Polowanie na Antychrysta (1994-1996)

Dokąd idziesz, Trzeci Rzymie? (1994)

Obawy prawosławnych Rosjan – obawy katolickiego Polaka

Jakże wiele daje do myślenia obszerny i treściwy esej Wacława Hryniewicza *Obawy prawosławnych Rosjan* („Tygodnik Powszechny” z 25 IX 1994). U schyłku II tysiąclecia pośród prawosławnych i katolików znów odżyły stare spory o papieską nieomyślność, filioque i Niepokalane Poczęcie. Upadek komunizmu i powrót wolności sprawił, że owe historyczne spory i zaszłości znów stały się aktualne, oddziałując negatywnie na współczesny nurt ekumeniczny w obrębie chrześcijaństwa.

Sołżenicyn a sprawa polska

Nieco nieoczekiwanie, ale przecież da się to racjonalnie wytłumaczyć, upadek komunizmu znacznie zaostrzył spór prawosławnej Moskwy z katolickim Rzymem. Z długich rozmów z rosyjskimi emigrantami na temat dialogu prawosławno-katolickiego wiem, iż mniej więcej od połowy lat 70. polski katolicyzm cieszył się wielkim szacunkiem wolnej rosyjskiej inteligencji wszelkich ideologicznych odcieni (poza małymi wyjątkami). Wobec dosyć biernej postawy Cerkwi w obliczu komunizmu, prawosławni z pewną zazdrością patrzyli na rolę Kościoła katolickiego w polskim porzeczku przeciwko realnemu socjalizmowi. Aleksander Sołże-

nicyn, niesprawiedliwie uważany przez niektórych Polaków za wielkorosyjskiego nacjonalistę, zawsze z wielkim szacunkiem wyrażał się o osobie i działalności Jana Pawła II. W październiku 1978 w odpowiedzi na ankietę paryskiej „Kultury”, jak ocenia znaczenie wyboru Polaka na tron Stolicy Apostolskiej, Sołżenicyn napisał:

„Ludzie Zachodu przeważnie zatracili poczucie znaczenia życia i jego istoty. Ufam, iż owo znaczenie i istotę przywróci nowy Papież, pochodzący z silnej duchowo Polski (...). Razem z katolikami krajów wschodnioeuropejskich my, Rosjanie, radujemy się głęboko z tego wyboru. Wierzmy bowiem, iż jego wybór pomoże wzmocnić naszą wspólną chrześcijańską wiarę w całym świecie, a tylko ona może dzisiaj uratować ludzkość”.

A jednak gdy Jan Paweł II przyjął w ubiegłym roku Sołżenicyna na audiencji (było to piętnastolecie pontyfikatu, a rosyjski pisarz-myśliciel był jedyną przyjętą w tym dniu osobą), Aleksander Isajewicz opuścił Watykan niezwykle poruszony. Wiemy, iż autor *Archipelagu GULag* wyraził pretensje o próby Rzymu, mające na celu, jego zdaniem, latynizację Rosji. Czy wielki pisarz miał rację? Z historycznego punktu widzenia, miał. Dobrze się więc stało, że Hryniewicz przypomniał, na łamach katolickiego tygodnika, historię nieudanych prób Rzymu mających na celu nawrócenie i latynizację Rosji od szesnastowiecznego Possewina do dwudziestowiecznego przedsoborowego jezuita, biskupa Michela d'Herbigny. Sam Sołżenicyn w napisanym pod koniec 1973 roku tekście *Skrucha i samoograniczenie jako kategorie życia narodów*, uznawszy winy Rosji wobec Polski (przepraszał nas wtedy, on, więzień Stalina, za Katyń, za rolę wojsk sowieckich w Powstaniu Warszawskim), przypomniał jednakże winy katolickiej Polski wobec prawosławnej Rusi: oblężenie Pskowa przez Batorego, wojny Zygmunta III i dwóch polskich samozwańców na rosyjskim tronie. Gdy na początku lat 80., jeszcze jako student filologii rosyjskiej czytałem te Sołżenicynowskie zarzuty wobec Polaków, sądziłem, iż mają charakter wyłącznie historyczny. Jednakże na początku lat 90., już po upadku Związku Sowieckiego, gdy po raz pierwszy odwiedziłem Siergijew Posad (w czasach sowieckich nazywał się Zagorsk, od

imienia jednego z bolszewików), Ławrę założoną w połowie XIV wieku przez Sergiusza z Radoneża, zmieniłem zdanie.

Ów prawosławny klasztor odegrał wielką rolę w procesie scementowania Rusi Moskiewskiej po długim okresie jarzma tatarskiego. Pripodobnyj Sergiusz błogosławił tutaj w roku 1380 Dymitra Dońskiego, zanim ten odniósł drugoczące zwycięstwo nad zastępami Tatarów na Polu Kulikowym. Dzisiaj w jednym z budynków Troicko-Siergijewskiej Ławry znajduje się muzeum historyczne, bardzo dla katolickiego Polaka pouczające. Cały cykl malowideł przedstawia „ogólnonarodowe powstanie przeciwko Polakom-interwentom i ich protegowanemu Łże-Dymitrowi I”. Na pierwszym miejscu widzimy dziewiętnastowieczną grawiurę przedstawiającą tegoż, z łacińską inskrypcją: „Demetrius Joannis Dei Gratia Czar et Magnus Dux totius Dominus et Rex”. Obok nieszczęsna Maryna Mniszchówna na XVIII-wiecznym portrecie, obok oblężenie Ławry przez Polaków, potem Łże-Dymitr II (*tuszynskij wor*, czyli łotr z Tuszyna, jak go nazywano), a na końcu dumny Sapieha, polski wojewoda. Interwencja polska nastąpiła wkrótce po okresie głodu na Rusi. Kupiec holenderski, Isaac Massa, pisał o tym okresie: „to był wielki głód i bieda, że nawet matki zjadały swoje dzieci”. Jesienią 1608 roku Lew Sapieha wraz z Lisowskim przystąpili do decydującego szturm na Ławrę. Polacy próbowali się podkopać pod basztę Piatnicką, jednakże dwaj chłopci z pobliskiego siola Klementjewo wysadzili ów podkop, ginąc pod zwałami ziemi. Wreszcie 12 stycznia 1610 roku „uciekł spod klasztoru Sapieha”.

Patrząc na te malowidła i inskrypcje pomyślałem, że Siergijew Posad to taka „rosyjska Częstochowa”, a oblężeni Rosjanie to „Polacy”... Wojewoda zaś wileński, Sapieha, odegrał w tym tragicznym historycznym spektaklu rolę „Szweda”.

*

W Soborze Archangielskim na moskiewskim Kremlu obok grobów carów znajduje się też grobowiec patriarchy Hermogenesa. W roku 1605 sprzeciwił się on małżeństwu Łże-Dymitra z Mnisz-

chówną, następnie był zwolennikiem powołania królewicza Władysława na tron rosyjski, pod warunkiem przyjęcia przezeń prawosławia, w roku 1612 został zamorzony głodem. Współcześni uważali, że przez Polaków, dzisiaj raczej się sądzi, że przez bojarów współpracujących z Polakami. Jednakże młoda przewodniczka, która w lutym 1994 roku oprowadzała po Soborze wycieczkę z rosyjskiej prowincji, głośno opowiadała się za pierwszą hipotezą. Groźnie też wskazywała palcem na pobliski pomnik Kuźmy Zacharjewicza Minina oraz Dymitra Michajłowicza Pożarskiego, którzy jesienią A.D. 1612 przepędzili katolickich Polaków z Kremla... Na zawsze...

Obiad Pacellego z Cziczerninem

Wielce pouczające są te fragmenty artykułu Hryniewicza, gdzie autor pisze o podjętej natychmiast po rewolucji bolszewickiej misji Rzymu wobec Rosji. Zaiste, nie przynoszą chwały Stolicy Apostolskiej te podjęte w latach 20. akcje. Działalność zaś d'Herbigny'ego, prefekta papieskiej Kongregacji Wschodniej, do dzisiaj jest potępiana przez rosyjskich prawosławnych jako dowód współpracy Stolicy Apostolskiej z bolszewikami przeciwko Cerkwi... Podobnie jak uroczysty obiad Pacellego (późniejszego papieża Piusa XII) z ministrem spraw zagranicznych Związku Sowieckiego, Georgijem Cziczerninem (październik 1925) oraz ich potajemne spotkanie w kwietniu 1927 roku... Trudno dzisiaj dotrzeć do źródła motywacji takiej działalności, jest jednak faktem, iż w istocie naczyniła ona sporo złego w stosunkach prawosławnej Moskwy z katolickim Rzymem. Choćby dlatego, że tak to oceniła większość prawosławnych.

Dwie prawosławne księgarenki

Trzeciego dnia lutego Roku Pańskiego 1994 wędrując po ulicy Piatnickiej wstąpiłem do księgarenki „Prawosławnoje Słowo”, chcąc kupić parę nowości i zorientować się ogólnie w charakterze cerkiewnych publikacji. Księgarnia była pełna, odwiedzający należeli na ogół do starszego pokolenia, lecz było też paru studentów *bogostowija*. Pytając o różne książki, nie mogłem w końcu ukryć, skąd przyjeżdżam i jakiego jestem wyznania. Dwudziestoletni kandydat na popa z młodzieńczą werwą wypytywał mnie, dlaczego nie zaopatrzę się w prawosławną literaturę w Polsce, wszak i u was, mówił, działa Kościół prawosławny... Pytał tylko po to, aby mnie pogrążyć: „No tak, gnębicie prawosławnych dysydentów, to teraz macie. Po literaturę musicie przyjeżdżać do Moskwy”. Chłopak był ode mnie z piętnaście lat młodszy, a ja na drugi dzień miałem wyjeżdżać do Krakowa, nie podejmowałem więc dyskusji, tymczasem do rozmowy włączył się starszy człowiek, żeby zapytać, gdzie nauczyłem się mówić po rosyjsku... Gdy usłyszał, że wykładam rosyjską literaturę dla polskich studentów, pytał dalej: „A co z Tołstojem? Lwem Nikołajewiczem, autorem *Zmartwychwstania*... w ogóle, co pan o nim sądzi? Bo widzi pan, w ogóle nie powinien pan o nim wyklądać. Przecież Cerkiew obłożyła go anatamą, jest to soborowa decyzja, która obowiązuje po dziś dzień. Antychryst... Antychryst...”. Pospiesznie opuściłem księgarnię.

*

Nim jeszcze zdążyłem przejść ulicę, dopadł mnie kolejny młody człowiek z plecakiem pełnym książek: „Słyszałem rozmowę w księgarni. Mogę się przyłączyć?” Nie miałem nic przeciwko temu, tym bardziej, że chłopak doradził, abym po szukaną bezskutecznie na Piatnickiej książkę *Rosja przed Drugim Przyjściem* (wyd. Troicko-Siergijewskiej Ławry, 1993) udał się do innej parafialnej księga-

rni. Trzeba było dojechać tramwajem do ulicy Obucha, a potem znaleźć Podkopajewski piereułek, gdzie pod numerem piętnastym znajduje się znajduje się Chram Swiatitiela Nikołaja w Podkopajach. Owa świątynia została zamknięta w roku 1930, zamieniono ją na fabrykę galwanoplastyczną. Swą religijną działalność chram wznowił jesienią 1991 roku.

Chłopak z plecakiem (też próbował zostać popem, ale wystąpił z seminarium) wyraził swój podziw wobec katolicyzmu, a właściwie jednego jego nurtu. „Mieście wspaniałych mistyków, św. Franciszka, do którego się modłę, św. Katarzynę ze Sieny... Bardzo jednak proszę, jak już dojedziemy do chramu Nikoły, żeby pan nie powtarzał, co ja tutaj mówię. W ogóle lepiej się nie znajmy... Bo widzi pan, ja tam pracuję, instytucja jest prawosławna, a mój duchowny zwierzchnik jest bardzo surowy”. Do księgarni cerkiewnej weszliśmy oddzielnie, a gdy zacząłem grzebać w książkach, chłopak znacząco przebiegł kilkakrotnie między półkami, lecz już ani razu się nie odezwał.

W parafii, prócz księgarni cerkiewnej, znalazła też przystań redakcja tygodnika „Russkij Wiestnik”. Pismo to ma charakter wybitnie „narodowy”, potępia przeto wszystko, co nie jest ściśle prawosławne. W nowych numerach tygodnika pośród gromionych znajdują imiona rosyjskich współczesnych teologów i historyków religii: Aleksandra Mienia i Siergieja Awierincewa. Przypominam sobie, jak jeszcze w roku 1992 „Russkij Wiestnik” dowodził autentyczności *Protokołów mędrców Syjonu*. Ponieważ jednak w księgarni nie ma poszukiwanej przeze mnie książki o Rosji i końcu świata, ktoś mi doradza, abym poszedł do redakcji „Wiestnika”: „Tam wiedzą wszystko o patriotycznej literaturze”. Z pewnym nawet wzruszeniem przestępuję próg redakcji, pokoje są małe, zawalone papierzyskami. Zewnętrznie przypomina to niezapomnianą atmosferę dawnej siedziby „Znaku” w Krakowie na Siennej. Ale to tylko złudzenie, bo w centrum stoją dwa duże komputery, w kącie piszczy drukarka. Redaktorzy biegają zaniepokojeni, bo gazeta ma kłopoty z papierem, od początku roku mogły się ukazać tylko dwa numery, a to już przecież luty... W centrum widzę stół, przy nim

siedzi Aleksiej Sienin, redaktor naczelny pisma. Przedstawiam się, on wyciąga rękę, prosi, abym usiadł. Przedstawiam mu swój bibliograficzny problem, on pyta, po co mi ta książka, a gdy dowiaduje się, że chcę ją zabrać do Polski, sięga ręką na kupę papierzysk za sobą i ofiarowuje mi bezcenny egzemplarz. Gdy proszę o dedykację, najpierw ćwiczy na kartce papieru, a potem pisze już zdecydowanie i... po polsku!: „Grzegorzowi Przebindzie z wielkim poszanowaniem Red. główny gazety «Russkij Wiestnik» Aleksiej Sienin”. Gdy pyta o moje publikacje o Rosji, mówię nieśmiało o katolickim „Tygodniku Powszechnym”. On na to, żebym i do nich coś napisał. Bąkam, że poglądy mam bardziej ekumeniczne aniżeli te wyrażane na łamach jego pisma, on odpowiada: „Pluralistami nie jesteście, ale niech pan spróbuje. Obiecuję, że przeczytamy”.

Protokoły ruskich mędrców

Gdybym miał coś publikować w miesięczniku „Russkij Wiestnik”, to napisałbym porządną recenzję z broszury *Papiestwo i jego walka z prawosławiem* wydanej w Moskwie pod koniec 1993 roku. Stustronicową książeczkę kupiłem w owej prawosławnej księgarence, gdzie młody prawosławny wielbiciel Katarzyny Sienskiej udawał, że mnie nie poznaje.

Autorem wyboru tekstów i komentarza wspomnianej broszury jest S. Nosow, który w nocy odredakcyjnej objaśnia, z jakich powodów książeczka powstała i została opublikowana w nakładzie stutysięcznym (co po rozpadzie ZSRR, dodajmy, jest nakładem dla Rosji bardzo dużym). Po pierwsze, z powodu ekspansji papieżstwa na Ukrainę, dlatego też przedstawiono w niej historię stosunków Watykanu i Rosji. Po drugie, z powodu odnowionej niedawno (po raz pierwszy od początku XIX wieku) działalności zakonu jezuitów na obszarze kanonicznego terytorium Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej. Czyli że obawy prawosławnych Rosjan (określenie Hryniewicza) od wieków pozostają takie same, a katolicy dla dobra dialogu powinni stale o nich pamiętać. Jednakże dialog ten, czego

dowodzi polemiczna część broszury jest na razie niemożliwy. Prawosławny autor pisze bowiem jasno: „Broszura ma przestrzec prawosławnych, aby nie myśleli, iż między prawosławiem a rzymskim katolicyzmem nie ma pryncypialnych różnic w planie dogmatycznym, że ponowne zjednoczenie bardziej jest potrzebne Cerkwi Prawosławnej (jak na przykład uważa W. A. Nikitin, «Russkaja Mysl» z 14 XI 1992)”.

Przypominam sobie rozmowę, jaką miałem w roku 1988 w Monachium ze zmarłym kilka lat później prawosławnym duchownym Siergiejem Fotijewem. Śmiał się wówczas ojciec Siergiej, że niektórzy prawosławni na emigracji kłócą się z katolikami o *filioque*, gdy tymczasem dla komunizmu światowego jest dokładnie obojętne, od kogo pochodzi trzecia Osoba Trójcy. W tym samym duchu przedstawiła ową kwestię redaktor naczelny paryskiej „Russkiej Mysli” Irina Howajska Alberti w wywiadzie dla podziemnej jeszcze „Arki”: „Nigdy nie odczuwałam jakiejś głębszej różnicy między Cerkwią a Kościołem katolickim. Czułam, że do schizmy doszło na tle politycznym, a nie religijnym czy duchowym. To dopiero potem spory przeniosły się w sferę dogmatyczno-teologiczną. Być może oburzą się teologowie, ale dla mnie spór o *filioque* jest niepoważny. Jakże można rzucać na brata anatemę z powodu słów nieważnych?”

A jednak można, może nie z powodu *filioque*, lecz już na pewno z powodu dogmatu o „nieomyślności papieskiej w sprawach wiary i moralności”. Broszura *Papiestwo i jego walka z prawosławiem* opiera się na bizantyńsko-ruskim aksjomacie, iż „Prawosławie jest jedynym, świętym apostołskim i soborowym Kościołem”. Zgodnie jednak ze swoim tytułem, nie przedstawia ona żadnego zarysu apologii prawosławia, lecz ma charakter wyłącznie polemiczny.

Gdy się czyta po raz kolejny prawosławne argumenty przeciwko prymatowi Rzymu i papieskiej nieomyślności, człowiek musi zwątpić w możliwość porozumienia między oboma Kościołami w tej kwestii. Jakże bowiem mógłby prawosławny przyjąć następujący Kanon Soboru Watykańskiego I, podsumowujący dogmat

o nieomyślności: „jeżeli zaś ktoś, co nie daj Boże, odważy się tej naszej definicji przeciwstawić, niech będzie wyłączony ze społeczności wiernych”*. Zresztą autor broszury z jawną satysfakcją przypomina, iż niektórzy „nieomylni w sprawach wiary i moralności” papieże w swoim życiu i działalności bynajmniej nie kierowali się zasadami miłości chrześcijańskiej (choć zapomina dodać, że zgodnie z brzmieniem dogmatu, tylko wtedy są nieomylni, gdy mówią *ex cathedra*, to znaczy „gdy sprawują urząd pasterza i nauczyciela wszystkich wiernych”). Katolik nie może tej części broszury niczego zarzucić, gdyż jest ona zwyczajnie zgodna z historyczną prawdą (dla porównania warto zajrzeć choćby do Leopolda von Ranke *Dziejów papiestwa w XVI-XIX wieku*). Mają swą historyczną wartość także te fragmenty książki, gdzie została przytoczona mowa biskupa Josipa Strossmayera na I Soborze Watykańskim w roku 1870, w której ten Słowianin odrzucał dogmat o papieskiej nieomyślności. Rosyjski autor dodał zresztą obiektywnie, że wkrótce potem chorwacki biskup dogmat ów uznał.

*

Jednak omawiana broszurka ma charakter, powiedziałbym, podstępny: prawda została w niej doprawiona taką domieszką kłamstwa, że czytelnik może oto po wsze czasy zwątpić w możliwość ponownego zjednoczenia Kościołów (prawosławnego i katolickiego). Historyczna prawda przeplata się z igrastwem dosłownie na każdej stronie. Antypapież Jan XXIII został nazwany papieżem Janem XXIII, rzecz jasna po to, aby obrzydzić prawosławnym wszelki antychrystowy ekumenizm. Któryż przeciętny prawosławny domyśli się, że potępiony przez Sobór w Konstancji antypapież (tzw. papież soborowy) Jan XXIII nie ma nic wspólnego z Janem XXIII, twórcą i architektem ekumenicznego soboru Watykańskiego II? Szczególne moje przerażenie wywołał ten fragment broszury Nosowa, gdzie autor przytoczył w dosłownym brzmieniu katolicki dogmat o nieomyślności papieskiej. A na-

* *Breviarium fidei. Wybór doktrynalnych wypowiedzi Kościoła*, 1988, s. 86-87.

wet chyba Dostojewskiemu (który w „Dzienniku Pisarza” oraz *Idiocie* i *Braciach Karamazow* wypowiedział o katolicyzmie słowa tak straszne, że do dzisiaj utrudniają one nasz dialog) nie śniło się, iż można dokonać podobnego fałszerstwa, gdy mówi się o dogmatycznej doktrynie katolickiego rywala. Według Nosowa główne tezy dogmatu są następujące (cytuję dosłownie z zachowaniem wersalików):

1. „Papież rzymski jest boskim człowiekiem i ludzkim Bogiem (...). Papież ma boską władzę, a jego władza jest nieograniczona. Na ziemi może czynić to samo, co Bóg na niebiosach.”

2. „Gdyby papież pociągnął za sobą do piekła miliony ludzi, to nikt z nich nie miałby prawa zapytać: ojczyźnie, po cóż ty to czynisz? PAPIEŻ JEST NIEOMYŚLNIE JAK BÓG I MOŻE CZYNIĆ WSZYSTKO; CO BÓG CZYNI.”

3. „Papież może ZMIENIAĆ NATURĘ RZECZY, Z NICZEGO TWORZYĆ COŚ. JEST WŁADNY Z NIEPRAWDY TWORZYĆ PRAWDĘ. (...) JEST WŁADNY POPRAWIAĆ WSZYSTKO, CO UZNA ZA STOSOWNE W NOWYM TESTAMENCIE.”

Po cóż jeszcze cytować fragmenty, w rodzaju, że „papież ma władzę nad piekłem i czyśćcem” lub że „JEŚLI WYRZEKNIE SWÓJ WERDYKT PRZECIWKO SĄDOWI BOŻEMU, TO SĄD BOŻY MUSI BYĆ POPRAWIONY I ZMIENIONY”? Zdemaskowawszy tak oto dogmat o nieomyślności, autor pyta: „Czy wiedzą o takim postanowieniu wszyscy prawosławni chrześcijanie? Czy znają jego pełny tekst sami rzymscy katolicy?”

Pytanie jest retoryczne, ale ja na nie mimo wszystko odpowiem: Teraz już wiedzą, skoro broszurę wydał pan w nakładzie 100 tys. egzemplarzy i sprzedaje ją pan w prawosławnych parafialnych księgarniach. Szkoda jedynie, że zamiast przytoczyć dosłowny tekst postanowienia „Pastor aeternus” (po polsku znalazłby go pan w cytowanym powyżej *Breviarius fidei* na stronicach od 79 do 87, po rosyjsku pewnie go nie ma) posłużył się pan komunistyczną fałszywką, czego pan zresztą nie ukrywa, powołując się na dziwne pismo „Swoobodnoje Słowo Karpatskiej Rusi” (nr 209-210) z roku 1976.

*

Jakże łagodnie, w świetle powyższego, brzmią inne zarzuty stawiane Rzymowi, sformułowane w ostatnim rozdziale broszurki, zatytułowanym *Współczesny Watykan wobec judaizmu*. Dla autora dialog katolicko-żydowski jest „jednym z bardziej złowieszczych znaków naszych czasów”. Potępia on także wypowiedzianą przez Piusa XI myśl, iż wszyscy chrześcijanie są duchowymi semitami, a także soborową Deklarację „Nostra Aetate”, gdzie powiedziano, iż judaizm, choć nie uznał Jezusa Chrystusa za Mesjasza, jest nadal drogi Panu. Dla autora broszury takie wypowiedzi dowodzą, iż Kościół katolicki zdradził ideały apostołskie. Nic przeto dziwnego, że wobec powyższych „faktów”, prawosławny komentator wyciąga dwa wnioski:

1. papież Jan Paweł II jest... masonem. Dowodem na to ma być fotografia zamieszczona w październiku 1983 przez włoskie pismo „Oggi”: „Papież przyodziany w czerń, zgodnie z surową etykietą łóż masonów”;

2. ten sam papież przypomina podobno... drugą Bestię, która zgodnie z Apokalipsą (13,11) „miała dwa rogi podobne do rogów Baranka”. Autor kończy swą broszurę nieco defensywnie: „choć nie odważymy się przewidywać przyszłych wydarzeń, to jednak możemy zadać sobie pytanie: czy ten papież nie jest czasem poprzednikiem nadchodzącego Antychrysta?”

I tak oto uzyskałem odpowiedź na pytanie, której bezskutecznie poszukiwałem w pracy *Rosja przed Drugim Przyjściem...*

*

Nie byłoby w ogóle o czym pisać, gdyby nie fakt, że omówioną broszurę czytał zapewne zarówno młody kandydat na popa, który sądzi, że w Polsce nadal prześladowane są prawosławnych dysydentów, jak i tamten stary człowiek, który zabroniłby studiować Tołstoja, a także ten, który często modli się do św. Franciszka. Ponieważ zaś jej nakład wynosi 100 tysięcy, można przypuszczać, że

do dzisiaj jest sprzedawana w prawosławnych parafiach. Tak przynajmniej twierdzi jeden z moich młodych przyjaciół, który dopiero co wrócił z Moskwy. On także przywiózł z sobą egzemplarz broszurki, a nadto całe naręczce innych tego rodzaju pisemek, w tym również prawosławny antykatolicki katechizm. Młody ów człowiek twierdzi, że niedzielne kazania w cerkwiach mają dziś w większości „polemiczny” charakter.

Aleksander Sołżenicyn w roku 1973 pisał: „Jakże trudne jest przechodzenie od wolności słowa do przymusowego milczenia. (...) Ale równie trudne jest przejście odwrotne, które wkrótce nasz kraj przeżyje: powrót oddechu i świadomości, przejście od milczenia do wolnej mowy także okaże się długim i trudnym procesem”.

Sołżenicynowska przepowiednia, jak wiele innych przepowiedni tego wielkiego Rosjanina, sprawdza się dokładnie po dwudziestu latach. Powtórzmy przeto jeszcze raz tytułowe pytanie: *Moskwo – Trzeci Rzymie, quo vadis?*

Tradycja miarą wszechrzeczy? (1996)

O pewnych nurtach w obrębie rosyjskiego prawosławia

Władimir Sołowjow (zm. 1900), publikując u schyłku życia *Opowieść o Antychryście*, zawarł w niej zagadkowy opis zorganizowanego przez księcia wieku tego fałszywego „soboru powszechnego”. Organizator tego „soboru” i jego pierwszy przewodniczący postanowił pod swoją egidą doprowadzić do fałszywej jedności chrześcijan. Nader sprytny ten książę doskonale wyczuł, w jaki sposób uda mu się przeciągnąć na swą stronę większość przedstawicieli trzech chrześcijańskich wyznań.

Warunek był jeden: należało tylko wyprzeć się Chrystusa i odrzucić wiarę w Jego Zmartwychwstanie. Przewodniczący zaś zapewniał w zamian realizację tego, co większość przedstawicieli danej konfesji uważało za „istotę” swej religii. Katolicy dostali obietnicę oparcia swego mocarstwa na autorytecie ich duchowego przywódcy, który znów miał w Rzymie odzyskać swój tron. Protestantom zapewniono nieograniczoną możliwość wolnego badania Pisma św. A prawosławni czym dali się skusić?

„Wiem, iż między Wami – zwraca się do nich Antychryst – są tacy, dla których w chrześcijaństwie najdroższa jest święta tradycja, stare symbole, stare pieśni i modlitwy, ikony i rytuał mszy świętej”. Dla nich to Antychryst otworzył „muzeum archeologii chrześcijańskiej” w sławnym grodzie Konstantynopolu. Teraz tylko trzeba powołać odpowiednią komisję, która zajmie się katalogowa-

niem pamiątek, aby przybliżyć współczesności tradycję Cerkwi prawosławnej...

*

14 i 15 listopada 1994 roku w moskiewskim monasterze św. Daniela odbyła się „Międzynarodowa Konferencja Teologiczna poświęcona jedności Kościoła”. Można się było spodziewać, że zebrani na sympozjum prawosławni teolodzy i biskupi podejmą problemy, których waga będzie adekwatna do miejsca i czasu. A jednak stało się inaczej i ci którzy patrzyli na owo zgromadzenie *sine ira et studio* przecierali oczy ze zdumienia. Owa tytułowa „jedność” nie miała bowiem nic wspólnego z ewangelicznym „Aby byli jedno” (J 17, 21), lecz chciano ją osiągnąć frontalnym atakiem na „wrogów prawosławia”. Tymi „wrogami” było dwóch prawosławnych księży, także na konferencji obecnych: oo. Giorgij Koczetkow oraz Aleksander Borisow. Czymże tak „zasłużyli się” obaj duchowni, że to im właśnie poświęcono prawosławne sympozjum, jedno z pierwszych w takim gronie po upadku Związku Sowieckiego i zapewne jedno z ostatnich przed upływem II Tysiąclecia?

Pierwszy przemawiał rektor Prawosławnego Instytutu Teologicznego im. św. Tichona, Władimir Worobjow. Z pasją mówił o trzech rodzajach schizmy (ros. *raskoń*), które aktualnie zagrażają Cerkwi Rosyjskiej: schizma nacjonalistyczna, jurysdykcyjno-polityczna oraz rewolucyjno-reformatorska. I właśnie tym ostatnim rodzajem (a nie pierwszym z wymienionych, choć miałby tu większe pole do popisu...) zajął się duchowny Rektor – nie wymienił on jeszcze, co prawda, nazwisk „rewolucyjno-reformatorskich schizmatyków”, ale kolejni mówcy jasno powiedzieli, że chodzi o Borisowa i Koczetkova. Dobrze znany z napaści na o. Aleksandra Mienia, archimandryta Izajasz Bielów teraz publicznie stwierdził, iż swoją działalnością obaj księża sami postawili się poza Cerkwią, przeto dzisiaj należy ich z niej wykluczyć... Ojciec Leonid Kiszkowski, przedstawiciel Autokefalicznej Prawosławnej Cerkwi Ameryki, nieśmiało zauważył, że uczestnicy sympozjum wytworzyli atmosfere

chę duchowego bolszewizmu. Dopieroż go zakrzyczano, Amerykanina: Ile my tu wycierpieliśmy od bolszewików?! A jednak miał rację ów „Amerykanin”. Obiektem krytyki na tym spotkaniu była książka ojca Borisowa pt. *Niwy pobielale*. Któż jednak z rzucających kamień w jej autora, przeczytał choćby połowę dwustustronicowej książeczki? Chyba niewielu przeczytało, skoro organizatorzy przeznornie rozdali dyskutantom dwie odbite na kserokopiarce stronicę, aby mogli do woli krytykować „autora-heretyka”. W dziejach rosyjskiej kultury znany jest już przypadek kołchozowych dożarek, które publicznie potępiały *Doktora Żywago* Borisa Pasternaka, szcząc się tym, iż nigdy owej publikacji nie brały w swe spracowane dłonie...

Straszna bitwa o Rosję

Nie wiem, czy w tej konferencji brał udział metropolita petersburski Joann, ale nawet jeśli nie był tam obecny, to zapewne wielu uczestników sympozjum czytało jego książkę *Bitwa o Rosję. Prawosławie a współczesność*. Jest to wydany jesienią 1994 roku zbiór kazań i homilii petersburskiego władcy, dobrze oddający nastroje tej części prawosławnych duchownych i teologów, którzy uzyskali większość na owym spotkaniu. Duchowo-teologicznym ojcem współczesnego metropolity Joanna ma być św. Jan z Kronsztadu (zm. w 1908 r., kanonizowany w 1988). Wiele jednak pozostawia do życzenia jego metoda czytania i cytowania z dzieła świętego. Mistyczne dzieło Jana z Kronsztadu, *Moje życie w Chrystusie*, opiera się na założeniu, iż Kościół jest wieczną prawdą, a jego przeznaczenie jest ponadhistoryczne. Z drugiej jednak strony, święty ów żył i tworzył w czasach społecznych burz (1881-1905) i jego polemiki z rosyjskim ruchem rewolucyjnym jakże często mają wymiar wyłącznie historyczny i przemijający. I oto współczesny metropolita Joann szuka takich właśnie fragmentów w dziele świętego, które mogłyby poprzeć tezę, iż to nie Chrystus i jego Kościół jest wieczny, lecz wieczna jest „samodzierżawna święta Ruś”: „Nie możemy się nie radować

z nieobjętej przestrzeni i wielkości ziemi ojczystej. A któż przyczynił się do tego? Święta wiara prawosławna”. Skoro podług Joanna, na tym, czyli na przyłączaniu do matuszki-Rosji kolejnych geograficznych przestrzeni, ma polegać prawosławna wiara, to jakże łatwo przychodzi mu sformułować następny „historiozoficzny” wniosek, który tym razem oparł na cytacie z Mateuszowego Kazania na Górze (Mt 5, 10;16): „Błogosławieni, którzy cierpią prześladowania dla sprawiedliwości, albowiem do nich należy królestwo niebieskie»... «Tak niechaj świeci wasze światło przed ludźmi, aby widzieli wasze dobre uczynki i chwalili Ojca waszego, który jest w niebie». I czyż nie temu świadectwu zawdzięcza naród rosyjski, iż – zbudowawszy największe w świecie państwo, rozciągające się od Atlantyku do Oceanu Spokojnego – żadnego, nawet najmniejszego spotkanego na swojej drodze narodu nie poniżył, a wszystkie przyjął jako braci, najpierw zdobywając serca, a nie twierdze”. Zdumiony będzie historyk Rosji, czytając powyższe słowa, ale jeszcze bardziej zdumiony musi być teolog. Bo chyba po raz pierwszy w świecie dokonano tutaj próby wyprowadzenia ideologii terytorialnych podbojów z ewangelicznego Kazania na Górze. To ostatnie bowiem, gdy już było wykorzystywane do polityki, zawsze stało się mottem ideologii millenarystyczno-anarchizujących.

Tymczasem metropolita Joann idzie jeszcze dalej i, powołując się na Apostoła Piotra, utwierdza rosyjskich wiernych w przekonaniu, iż są oni „rodem wybranym”. Ale przecież ten ród wybrany musi walczyć ze swymi wrogami, z ową „tajemnicą bezbożności”, o której w liście do Tesaloniczan mówił św. Paweł (2 Tes, 2, 7). Owa „tajemnica bezbożności”, która dla Apostoła jest związana z nadejściem antychrysta („syna zła, człowieka zatracenia”), dla petersburskiego metropolity nie jest żadną tajemnicą: „Źródła tajemnicy bezbożności znajdują się w odległych starych czasach. Punktem wyjścia dla niej są wydarzenia na pozór mało znaczące – w VIII i VII wieku przed Narodzeniem Pańskim pod uderzeniem Asyrii i Babilonu upadły maleńkie bliskowschodnie królestwa: Izraelskie (w 727 roku przed Chr.) oraz Judejskie (w 606 roku przed Chr.)”. Współczesny metropolita „wie”, jak niegdyś „wiedział” Dostojewski, dlaczego

właśnie te fakty zaciążyły nad chrześcijańską historią. Chodzi mianowicie o to, iż od tej pory naród żydowski zaczął spiskować przeciwko światu: „Pozbawiona niezależności i przewrotnie objaśniająca święte księgi, część religijnych sekt Izraela i Judei powiązała swoje nadzieje z nadejściem Mesjasza, króla izraelskiego, który uczyni ich panami świata”. O. Joann nie ma żadnych wątpliwości, iż współczesna działalność międzynarodowej finansjery: banków, fundacji i komitetów, ma korzenie w tamtym historycznym wydarzeniu. Jej celem jest „sprawa diabelska”, „próba szatana i jego popleczników, mająca na celu przeszkodzenie sprawie Chrystusa”. Przeto centralnym motywem Joannowej homilii paschalnej na rok 1993 pt. *Chrystus zmartwychwstał!* nie jest kwestia Zmartwychwstania Pańskiego, lecz odpowiedzialność Żydów za Ukrzyżowanie. Dodajmy, iż w innym swoim tekście pt. *Twórcy kaktlizmów*, władka dowodzi, iż nie jest wcale rasistą-antysemitą, lecz wyłącznie anty-judaistą: Żyd nie jest niebezpieczny dla Rosji jako Żyd, lecz jako wyznawca judaizmu. Skoro się przechrzci, również i on może pracować na wielkość i chwałę „Świętej Rusi”. W kazaniach o. Joanna jest wiele elementów nauki pozytywnej, ale nawet w tych homiliach, które mówią o społecznych zadaniach Cerkwi, jakże silny jest element ksenofobiczny. „Rosja narodowa ma wrogów” – tak zaczyna się jedno z bardziej interesujących społecznych kazań władki.

*

Rzecz jasna, metropolita Joann poświęca wiele miejsca polemice z katolicyzmem, czyli pierwszym Rzymem, który „jako spadkobierca Rzymu pogańskiego” upadł, jako że właśnie „popadł w pychę katolicyzmu”. Owa polemika jest jednak raczej ekspresyjna aniżeli systematyczna. Jednak w tym samym czasie w Petersburgu wydano pod jego redakcją 250-stronicową książkę, dzieło zbiorowe, zatytułowane *Cerkiew prawosławna. Katolicyzm, protestantyzm, herezje i sekty w Rosji*. Owa książka, będąca pierwszym tomem serii dodatku do „Sankt-Petersburskich Diecezjalnych Wiadomości”, a na-

wet zapisana w jakimś miejskim rejestrze (o czym informuje strona redakcyjna), wyraża zapewne oficjalne poglądy części Cerkwi, a nie jest tylko prywatnym wyznaniem wiary jednego teologa. Teżą przewodnią książki jest myśl, iż w roku 1054 nie było żadnej schizmy, lecz to tylko Kościół katolicki „odłączył się od Jedynej Świętej Soborowej i Apostolskiej Cerkwi”. Cała historia Kościoła katolickiego podsumowana została następująco: „Droga rzymskiego katolicyzmu, na przestrzeni całej jego historii, to droga samoubóstwiającej się pychy, obcej duchowi Ewangelii, to praktyczny i moralny relatywizm, intrygi polityczne, kłamstwa, do których ucieka się Watykan dla osiągnięcia swoich celów”.

*

Twer, położony nieco ponad sto pięćdziesiąt kilometrów na północny-zachód od Moskwy, w XIV wieku był głównym rywalem dzisiejszej stolicy Federacji w procesie jednoczenia ziem ruskich. Potem miasto zatraciło swój centralny charakter, a w II połowie XIX wieku było już typową prowincją. Dostojewski uczynił je miejscem akcji *Biesów*, aby pokazać, jak zrodzony w dużych miastach (Petersburg) komunizm przenosi się na prowincję (Skworieszniki-Twer), aby prowadzić swoją krecią robotę. Kret historii – jak mówił Plechanow – rył powoli, ale skutecznie.

Do dziś w mieście ukazuje się diecezjalny miesięcznik „Prawosławna Twier”. W numerze 10. z 1994 roku biskup twerski i kaszyński, Wiktor (przyjaciel duchowy metropolity Joanna), zwraca się do wiernych z okazji 500 rocznicy śmierci św. Nektariusza Bieżeckiego. Przedstawivszy w pierwszej części homilii pozytywny wykład o życiu i nauce tego mało znanego świętego, w drugiej części posłania biskup mówił już o „krótkowzroczności duchowej”, którą można bardzo często spotkać w dziejach chrześcijańskiej religii, a która to „krótkowzroczność”, gdy nie chce się nawrócić, stanowi grzech przeciwko Duchowi św.: „Krótkowzroczni są w swojej działalności zachodni misjonarze, którzy zapełnili nasz kraj, naszą drogą Rosję”. „Nie ma zbawienia poza Prawosławiem,

inni są sługami diabła”, w tej kwestii XX-wieczny biskup twerski i kaszyński nie ma najmniejszych wątpliwości: „Prawdziwa wiara jest tylko jedna. Wszelka nieprawosławna wiara zawiera w sobie albo domieszkę kłamstwa, albo cała jest kłamliwa. Ojcem kłamstwa jest diabeł, a Bóg nienawidzi kłamstwa”. Miesięcznik nadto informuje, iż 1 IX 1994, po raz pierwszy od siedemdziesięciu pięciu lat, otwarto w Twerze parafialną szkołę podstawową. Pośród nauczycieli nowej szkoły znajdujemy imię Dmitrija Mamonowa. W tym samym numerze pisma ów nauczyciel opublikował tekst pt. *O krzyżu i znaku krzyża*. Próżno jednak byłoby szukać w tekście stosownych do tematu głębi, Iwią część natomiast zajmują w nim porady dla małych, jak czynić znak krzyża, aby ustrzec się przed wpływem złych duchów. Autor snuje opowieść, jak pewnego razu pod Kaługą prawosławny pop z grupą młodzieży dopatrył się na horyzoncie UFO (ono ma być, obok katolicyzmu, protestantyzmu, sekt, New Age, ruchów charyzmatycznych oraz twórczości ojca Mienia, największym zagrożeniem dla „jedynie świętej wiary”). Pop uczynił zamaszysty znak krzyża, wyszeptał stosowną na okoliczność modlitwę, i UFO natychmiast rozwiało się w szatańskiej mgiełce. Nauczyciel przywołał też inny, jeszcze bardziej „poglądowy” opis: „Do kościoła weszła żona popa – młoda matka z czteroletnim synem. Do małego podeszła staruszka i z uśmiechem wyciągnęła do chłopca cukierek. Ale matka, nim synek odebrał ten „podarunek”, zdążyła przegnać cukierek jeszcze w rękę staruszki. A starucha natychmiast, ze złością na twarzy, wyrzuciła ten cukierek, nie umiając nawet ukryć celu swojego podarunku. Zapewne niemało sił kosztowało ją, aby w nocy magicznymi zaklęciami przemienić ów cukierek w narzędzie zguby. Ale znak krzyża w jednej sekundzie unieszkodliwił wszelkie złe czary!” Podczas lektury takich tekstów przychodzi człowiekowi na myśl, że byłoby chyba korzystne dla rosyjskiej Cerkwi, gdyby w odpowiednim czasie przeżyła swoje Oświecenie...

Walka o język

Odpowiedzmy wreszcie na postawione na początku pytanie, dlaczego o. Koczetkow i Borisow traktowani są przez wielką część prawosławnych kolegów jako odstępcy i herezjarchowie. Dla wygody posłużmy się cytatem ze wspomnianej już broszury *Cerkiew prawosławna. Katolicyzm, protestantyzm, herezje i sekty w Rosji*: „W Moskwie – pisze Wiktor Antonow – na ulicy Bolszaja Łubianka, w chrampie monasteru Ofiarowania pojawiło się centrum, które zjednoczyło adeptów całego programu «reform» Rosyjskiej Prawosławnej Cerkwi. Owe reformy polegają przede wszystkim na przekładzie języka liturgii na współczesny język rosyjski. Dokonuje się oto zamiana teologii ojców Kościoła na prace modernistycznie zorientowanych apologetów odnowy, takich jak: o. Aleksander Mięń, o. Aleksander Szmieman, N. A. Bierdajew, S. S. Awierincew”.

Kolejnym, według autora, grzechem wspólnoty Koczetkowa („Bractwo Ofiarowania”) jest „skrajny ekumenizm” oraz odprawianie mszy świętej po rosyjsku we wspólnocie z innowiercami (szczególnie z katolikami obrządku wschodniego). Nadto ów „schizmatyczny ruch” zajmuje się „prozelityzmem” pośród prawosławnych, organizuje szkoły katechetyczne w Moskwie, a prawosławie przekształca w „modernistyczne neochrześcijaństwo”. Ponieważ taka działalność wywołała pośród prawosławnych duchownych i laikatu „wielką trwożę”, przeto rzeczeni prawosławni napisali list do patriarchy Aleksija II, w którym czytamy, iż „ich niepokój wynika z powodu zamachu na język cerkiewno-słowiański, jaki dokonuje się w chrampie Ofiarowania ikony Bogarodzicy Włodzimierskiej rękami księdza Giorgija Koczetkowa i jego współpracowników, którzy «przełożyli» liturgiczne teksty na rosyjski”. Dla autora broszury, fakt, iż Koczetkow oraz Awierincew „odrzucają liturgiczne dzieło św. św. Cyryla i Metodego i innych świętych ojców Cerkwi, zastępując je swoimi «przekładami», z duchowego i kulturowego punktu widzenia „jest strasliwym wandalizmem, tak jakby próbo-

wano przełożyć na współczesny język rosyjski poezje A. S. Puszkina”. I teraz już wiemy, dlaczego o. Koczetkow nieomal nie został obłożony anatemą na tamtej listopadowej „prawosławnej konferencji”. Kwestia języka liturgii jest dzisiaj w Cerkwi tak samo ważna, jak ważna była w Kościele katolickim przed Soborem Watykańskim II. Łacina spełniała w nim wtedy taką samą magiczną, a zarazem asemantyczną rolę, jaką dzisiaj pełni w Cerkwi język staro-cerkiewno-słowiański. Przeto ci, którzy pod koniec XX wieku chcą za wszelką cenę dochować w liturgii wierności językowi braci sołunskich, działają może w zgodzie z literą tradycji, ale pozostają w całkowitej sprzeczności z duchem misji Apostołów Słowian. Przecież oni przed ponad tysiącem lat po to stworzyli alfabet języka staro-cerkiewno-słowiańskiego, po to tłumaczyli księgi liturgiczne z greckiego na język Słowian, aby uczęszczający do kościoła rozumeli, o czym tam jest mowa. Puszkina natomiast wcale nie trzeba przekładać na nowożytny język rosyjski, gdyż to on właśnie jest tego języka twórcą, do dziś doskonale rozumiałym dla przeciętnego odbiorcy. Któż by jednak kwestionował potrzebę przekładu ze staroruskiego na rosyjski *Słowa o wyprawie Igora*, czy też *Powieści minionych lat?* – co też od dawna się czyni i nikt nie nazywa tego „aktem duchowego i kulturalnego wandalizmu”. Borisow w swej książce *Niwy pobielale* wielokrotnie dowodzi, iż ludzie współcześni nie rozumieją języka Cerkwi i nie uczestniczą w pełni w odprawianej liturgii. W pewnym miejscu cytuje w języku starosłowiańskim fragment z Listu do Żydów Apostoła Pawła (2, 12-18), prosząc czytelnika, aby spróbował zrozumieć znaczenie cytowanych fraz. Gdy wykształcony czytelnik podda się już rozpaczy, autor pociesza go faktem, iż identycznego zadania nie rozwiązała przed laty Nadieżda Jakowlewna Mandelsztamowa, „znana pisarka z filologicznym wykształceniem”. Borisow twierdzi, iż tak samo niezrozumiała jest dla wiernych większość listów apostołskich i fragmentów ze Starego Testamentu: „Jak żartował pewien mój znajomy, z apostołskich czytań rozumiał zawsze wyłącznie pierwsze słowa: «Bracia». Smutny żart, ale prawdziwy”.

Trudno nie przyznać tu racji Borisowowi – jednakże jego próba powrotu do ducha misji Cyryla i Metodego spotyka się z wielkim oporem cerkiewnych tradycjonalistów. Jeśli jednak Cerkiew nie rozwiąże pozytywnie kwestii zrozumiałości języka liturgii, na pewno tym zaniechaniem nie przysporzy sobie wyznawców.

„Służyć Bogu, nie historii”

Takim mottem, wziętym z pism św. Atanazego Wielkiego, opatrzył swój „antymodernistyczny” artykuł cytowany już tu tradycjonalista W. Antonow. Trudno jednak zgodzić się z nim, gdy twierdzi, że to metropolita petersburski Joann, a nie ojciec Mień, „służy Bogu, a nie historii”. W pismach tego pierwszego jakże rzadko gości Ewangelia, a jakże często znajdujemy w nich odwołania do „świętej tradycji”, „świętej historii”, „świętej Rusi”. W każdej homilii, zupełnie niezależnie od faktu, czy jest ona orędziem bożonarodzeniowym, czy też paschalnym, najbardziej widoczny jest obraz wroga, w którego obliczu prawosławna Ruś musi zewrzeć swe szeregi. Metropolita Joann zachowuje się tutaj jak ongiś Sergiusz z Radoneża – tyle tylko, iż błogosławieństwo, jakiego ten święty udzielił Dymitrowi Dońskiemu przed bitwą na Kulikowym Polu (1380) miało charakter historyczny i wynikało z potrzeby chwili. Nie można jednak po sześciuset latach czynić z tego wydarzenia faktu ponadhistorycznego, decydującego o istocie chrześcijaństwa. Dziś Tatarzy wcale Rosji nie zagrażają...

Tradycjonalista prawosławny, gdy opisuje katolicyzm, nigdy nie powie, iż jest to Kościół względem prawosławia siostrzany, jako że uznaje wszystkie najważniejsze dogmaty chrześcijaństwa (dogmaty chrystologiczne: boskość i człowieczeństwo Jezusa, dwie Jego wole, Zmartwychwstanie, a także dogmat o św. Trójcy). Dla tradycjonalisty bowiem nie jest najważniejsza istota chrześcijaństwa, lecz jego przejściowe historyczne formy. Dlatego powie on, iż Kościół katolicki jest dlatego „antychrystowy”, gdyż uznaje dogmat o cżyścú, od

końca XVIII wieku czci Serce Jezusa (dla tradycjonalisty jest to materializm), a komunii udziela pod jedną postacią.

Trudno nie przyznać racji Borisowowi, gdy pisze: „Paradoksalnie, nasza Cerkiew przez długie lata głosiła nie tyle Jezusa Chrystusa, co Samą Siebie: głosiła swoje prawo kanoniczne, tradycje, ikony, rytuały, śpiew cerkiewny. Czy mamy wobec tego prawo twierdzić, że z naszą Cerkwią wszystko jest w porządku, że oprócz tego, jak zachować «starożytną bogobożność», o niczym innym myśleć nie powinniśmy?... Czy nie stajemy się pasterzami, którzy pasą samych siebie i dziesięć przybłąkanych owiec, w tym czasie jak miliony owiec błądzą w górach?” Autor twierdzi, że spełnia się oto obawa sprzed piętnastu lat ojca Sergiusza Żeludkowa: rosyjskie prawosławie przekształca się w etnograficzne muzeum. Dla wielu tradycjonalistów oczywista jest bowiem teza, iż złoty wiek chrześcijaństwa już minął, a były to czasy Ojców Kościoła i siedmiu Soborów Powszechnych. Głównym zadaniem chrześcijaństwa ma być przeto „restauracja bizantyjskiego wczesnego średniowiecza”. Dalej Borisow zauważa, iż Cerkiew zajmuje się wyłącznie działalnością liturgiczno-kaznodziejską, a zupełnie nie rozwija ruchów parafialnych i lekceważy działalność społeczną. Ciekawe są te fragmenty książki, gdzie autor pisze o „cerkwi staruszek”. „Rzecz polega na tym, że wszystko, co dzieje się w naszych kościołach, psychologicznie i intelektualnie zadowala tylko «babuszki» – najbardziej pokorną, cierpliwą i mało wykształconą część naszego narodu... Są to kobiety o szczególnej formie świadomości, ze szczególną psychologią, której główną cechą jest unizona pokora w obliczu wielkiego autorytetu, w obliczu wszelkiej władzy – świeckiej czy duchownej. Nawiasem mówiąc, wcale to nie znaczy, iż one są pokorne i tolerancyjne w życiu codziennym. Jest raczej na odwrót – pokorność w obliczu każdego, nawet niewielkiego autorytetu, kompensowana jest agresywnością w codziennym powszednim życiu. Na przykład, odnoszą się agresywnie do swoich koleżanek w kościele, a szczególnie do tych, które w ustanowionej hierarchii stałych parafianek zajmują niższe miejsce. Taka sama agresywność przejawia się w obliczu nowo przybyłych do kościoła, szczególnie

wobec młodzieży. Widoczna jest tu chęć podkreślenia, że one są w kościele «swoje», wszystko wiedzą, a «obcy» «niczego nie wiedzą». Dwadzieścia lat temu, kontynuuje Borisow, wydawało się, że „cerkiew babuszek” przejdzie prędko do przeszłości, gdyż wymrą te kobiety, które wyrosły za „carskiego reżimu” i dlatego mocno trzymały się Cerkwi. Tymczasem na zmianę przychodzą im wciąż nowe i nowe „stare kobiety”, niekiedy nawet z nieaktualną już legitymacją partyjną, które u schyłku życia nawróciły się na wiarę. Nie negując bynajmniej żadnego indywidualnego nawrócenia, Borisow uważa jednak, że to nie kobiety zadecydują o przyszłości Cerkwi: „Poziom autentycznego odrodzenia Cerkwi zależy od liczby mężczyzn, uczestniczących w jej życiu”. Ta jednak dzisiaj jest nader znikoma.

Książka Borisowa podejmuje wiele innych różnorodnych kwestii: religijnego wychowywania dzieci, znaczenia Biblii w życiu chrześcijanina, kultu maryjnego, ekumenizmu, antysemityzmu, itd. Jest to pierwsza po upadku bolszewizmu próba tak odważnego widzenia problemów związanych z Cerkwią, przedstawiona przez jej kapłana, który jest zarazem przewodniczącym Rosyjskiego Towarzystwa Biblijnego. W tytule pracy autor nawiązuje do fragmentu Ewangelii św. Jana (4, 35): „Podnieście oczy i popatrzcie na pola, jak bieleją na żniwo”. Ojciec Aleksander nie jest żadnym „rewolucjonistą”, chyba że ktoś uważa za rewolucyjny postulat postawienia w cerkwiach ławek, z których mogliby skorzystać ludzie starzy i chorzy... Jego książka postuluje zmiany stopniowe, na które istotnie przyszedł już czas najwyższy. Przypomnijmy jednak, że właśnie za książkę *Niwy pobielate* chciano Borisowa pozbawić stanu kapłańskiego i w ogóle wykluczyć z Cerkwi prawosławnej.

Podmuch optymizmu

Ostatni Sobór Biskupów Prawosławnych, jaki odbył się w Moskwie w klasztorze św. Daniela w dniach 29 XI-2 XII 1994, nie potwierdził licznych obaw, iż w Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej

górze weźmie superkonserwatywne „stronictwo narodowe”. Z docierających z Rosji opisów Soboru wynika, iż władca petersburski Joann został przez patriarchę Aleksija skarcony – z drugiej jednak strony Sobór potwierdził „pozbawienie kapłaństwa ojca Gleba Jakunina. Autor gazety „Siegodnia” (*Stuchając Patriarchy*, 3 XII 1994) słusznie przeto pyta, czy polityczna działalność metropolity Joanna mierzy się inną miarą aniżeli działalność ojca Gleba, który w czasach bolszewickich dawał świadectwo swojej uczciwości?

Z punktu widzenia Cerkwi jako całości są to jednak momenty epizodyczne, ważne jest przede wszystkim to, iż po wielu latach milczenia na Soborze mówiło się o społecznej nauce Cerkwi, o potrzebie reformy języka liturgii. Jak widać, Borisow i Koczetkow mieli w tym względzie rację i na ostatnim Soborze żaden z poważnych jego uczestników nie mówił już o potrzebie wykluczenia ich z Cerkwi.

*

W powyższym tekście o pewnych nurtach w obrębie Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej (a nie o rosyjskim prawosławiu w ogóle) znalazło się sporo krytycznych uwag pod adresem części cerkiewnych hierarchów i teologów. Zaznaczę jednak na koniec, że nigdy nie ośmieliłbym się mówić *ex cathedra* o Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej jako całości – pamiętajmy przecież, jakie burze dziejowe ten Kościół przeżył w ostatnich siedemdziesięciu pięciu latach, ilu biskupów, księży i wiernych zapłaciło za swą wierność prawosławiu życiem i utratą zdrowia. To właśnie oni – jak przed wiekami pierwsi chrześcijanie – byli świadkami swej religii... Tamte czasy są już jednak przeszłością. Dla Cerkwi dzisiejszej nieuchronnie nadchodzi oto czas Reformy, byle tylko nie przeprowadzono jej tak, jak to czyniono w czasach cara Aleksego Michajłowicza i imperatora Piotra I.

Ateny i Jerozolima (1989-1999)

Powrót filozofii do Rosji (1989-1992)

Uczniowie Sołowjowa wobec rewolucji

Dla filozofów, uczniów Władimira Sołowjowa, brakło miejsca w Sowieckiej Rosji. We wrześniu-listopadzie 1922 roku nowa władza wyrzuciła większość z nich – powtórzono po prawie dwudziestu wiekach wyczyn cesarza Wespazjana, który w latach 60. I wieku po Chrystusie wypędził z Rzymu greckich filozofów, widząc w ich dysputach zagrożenie dla tronu. Carska Rosja także nie lubiła filozofów. W roku 1819 nominację na kuratora Uniwersytetu Kazańskiego otrzymał niejaki Michaił Magnicki, członek głównego Zarządu Szkół. W przesłanej drogą pocztową instrukcji sugerował on nauczycielom założonego w 1804 roku Uniwersytetu czujność wobec filozofii, nauki, którą już apostoł Paweł nazwał „czczym oszustwem” (Kol 2,8). Pomimo że gorliwi profesorowie kazali ów Pawłowy werset wypisać złotymi zgłoskami na specjalnej planszy, nie przeszkodziło to rozwojowi myśli w kazańskiej uczelni: pośród jej studentów i nauczycieli znajdujemy imię twórcy geometrii nie-euklidesowej, Nikołaja Łobaczewskiego (1792-1856).

W 1922 roku rosyjskich filozofów wypędzano z Petersburga drogą morską do niemieckiego wtedy Szczecina, a potem – przez Berlin do Paryża. Pośród wygnanych znajdowali się: Nikołaj Bierdiajew, Siemion Frank, Iwan Iljin, Nikołaj Łoski, Pitirim Sorokin, Fiodor Stiepun i Boris Wyszestawcew. Dzieje filozofii rosyjskiej tworzyły się odtąd na emigracji – tym bardziej, że do Paryża wyemigrował wcześniej Lew Szestow, przez Warszawę trafił tam Dmi-

trij Mierieżkowski, przez Konstantynopol – Siergiej Bułgakow, *via* Belgrad – Wasilij Zieńkowski. W Pradze znalazł się, uciekając w ten sposób przed rozstrzelaniem, Paweł Nowgorodcew. Wszyscy oni dołączyli do Piotra Struwego, który jako żołnierz Białej Gwardii zmuszony był z Rosji Sowieckiej wyemigrować wcześniej. Inny pisarz-myśliciel, Wiaczesław Iwanow, opuścił kraj dopiero w 1924 roku, aby zamieszkać w ukochanym Rzymie. Michaił Gersenzon natomiast, filozofujący filolog, ongiś pomysłodawca i realizator *Drogowskazów* (*Wiechi*), choć pozostał w ZSRR do śmierci, to zmarł stosunkowo wcześnie, w 1925 roku. Ów rok był ostatnim, w którym można było opuścić bolszewicką Rosję. Z szansy skorzystali Gieorgij Fiedotow i Gieorgij Fłorowski – odjechali do Paryża, aby wykładać filozofię w Prawosławnym Instytucie Teologicznym im. św. Sergiusza. Siergiej Hessen wyjechał do Pragi, aby potem przenieść się do Warszawy i Łodzi, gdzie umarł w roku 1950 (tam też znajduje się jego archiwum; o Hessenie pisał w Polsce Andrzej Walicki).

O tych myślicielach mądrze napisał o. Aleksander Hauke-Ligowski: „Choć bowiem w każdym drgnieniu nie przestawali być Rosjanami, nie znaleźli się na wygnaniu. To nie rewolucja ich wygnała, to Sołowjow wprowadził Rosję do Europy, filozofującą, teologizującą, myślącą Rosję uczynił Europą, dlatego jego «synowie» i «wnuki» (...) mogli i mogą owocnie budować w Europie wspólny duchowy dom”.

Kto z rosyjskich myślicieli nie wyemigrował lub wcześniej nie umarł (jak Władimir Ern, Wasilij Rozanow, Aleksander Łappo-Danilewski, Bogdan Kistiakowski, Jewgienij Trubieckoj), mógł również w Związku Sowieckim filozofować poza kanonami marksizmu. Płacił jednak za to wolnością (jak Siergiej Askoldow) lub życiem (jak zamęczeni w łagrach Paweł Florenski i Lew Karsawin). Dwaj inni niemarksistowcy myśliciele: Maksim Tariejew i Wiktor Niesmiełow pozostali w ZSRR, ale o ich losie i późniejszej twórczości niewiele wiadomo.

Realizm socjalistyczny w filozofii

W 1918 roku założono „filozoficzną” Socjalistyczną Akademię Nauk Społecznych (od 1924 Komunistyczną Akademię), w trzy lata później – Instytut Czerwonej Profesury. W znamienym 1922 roku, na „filozoficznym froncie” powstało pismo „Pod Znamieniem Marksizma”. Następnie przypomniano w ZSRR „wielkiego socjalistę”, Gieorgija Plechanowa*, a Nikołaj Bucharin wydał swój „katechizm” pt. *Teorija istoriczeskogo materializma*. Na razie wszystkie te dzieła – obok „klasyki” nurtu – były traktowane jako kanon marksizmu-leninizmu. Dzięki trzem postaciom: pani Lubow Akselrod (piszącej pod pseudonimem Ortodoks), Aleksandrowi Bogdanowowi (twórcy „socjokreacjonizmu”) oraz Abramowi Deborinowi, możemy mówić, że marksistowska filozofia w ZSRR istniała do roku 1930; potem nie istniała już żadna. W latach dwudziestych miał miejsce zjadły spór pomiędzy mechanicystami (Akselrod) i dialektykami (Deborin). Pierwsi – opierając się na tradycji rosyjskiej szkoły fizjologicznej (Iwan Sieczenow) – chcieli poznawać świat metodami nauk przyrodniczych, drudzy uznawali w tej dziedzinie jedynie dialektykę Hegla. Zmagania długo nie przynosiły nikomu zwycięstwa. Na XV Zjeździe partii lider mechanicystów został członkiem KC, a lidera dialektyków wybrano na członka Komisji Rewizyjnej. Gdy jednak u schyłku lat dwudziestych dialektycy ostatecznie pokonali mechanicystów (materializm dialektyczny wzięł górę nad materializmem mechanicystycznym) na scenę wkroczyła trzecia siła – partia, w osobach Marka Mitina i Pawła Judina, za którymi ujrano cień Stalina. Teraz rozgorzała walka na dwóch frontach: Deborinowi i dialektykom zarzucono, że zbyt łagodnie zwalczali mechanicystów i że ich nauka miała heglowski, mienszewicki i trockistowski charakter. Wobec mechanicystów powtórzono zarzut dialektyków: chcieli zredukować filozo-

* F. Wolfson, *Wielikij socyalist*, Mińsk 1922.

fię do fizjologii. Nie był to zarzut słuszny, gdyż mechanicyści wcale nie pragnęli tłumaczyć wszystkiego z punktu widzenia mechanistyki i fizjologii – występowali jedynie przeciwko ideologii dialektyków, którzy zamierzali także kwestie empiryczne poznawać za pomocą dedukcyjnej metody Hegla.

Tymczasem w roku 1930 w filozofii sowieckiej zwyciężyła partyjność (ojca marksizmu rosyjskiego, Plechanowa, skrytykowano za brak podejścia klasowego i „odchylenie mienszewickie”) oraz obkurantyzm. Tam, gdzie można byłoby wykorzystać osiągnięcia mechanicyzmu: w psychologii lub genetyce, wprowadzono ideologię dialektyków (Trofim Łysenko). Tam zaś, gdzie przydatniejsze byłyby kategorie dialektyczne (Bóg, dusza, człowiek), posługiwano się metodą mechanicyzmu.

Z marksistowsko-monistycznego punktu widzenia próbowano wyrugować z filozofii jej podstawowe tradycyjne kategorie; „zlikwidowano” podział nauki na ontologię i epistemologię. Kto zaś nadal taki podział uznawał, narażał się na śmiertelne niebezpieczeństwo. W latach dwudziestych zwycięzcy polemik obejmowali „urzędy filozoficzne”, a ich przeciwników jedynie odsuwano od stanowisk, w latach trzydziestych przegrywający często znajdowali się w łagrze lub popełniali samobójstwo. Dlatego „filozofowie” tracili tyle czasu i energii, aby dowieść, że to oni prawidłowo rozumieją naukę Marksa-Lenina-Stalina, podczas gdy ich przeciwnicy popełnili zbrodnię przeinaczenia.

Jeden z bohaterów Antona Czechowa mówił: „Boże mój, Boże mój... Raczyl pan powiedzieć, że w Rosji nie ma filozofii, ale filozofują wszak wszyscy, nawet drobna płoć”.

Owa „drobna płoć” zajmowała się pisaniem historii filozofii rosyjskiej w czasach Chruszczowa, Breżniewa i wczesnego Gorbaczowa. Gdy weźmiemy do ręki wydaną ostatnio bibliografię, nasze przypuszczenia o „nędzy [tej] filozofii” zostaną potwierdzone: do roku 1989 sowieccy „filozoficzni interpretatorzy” gromili rosyjską myśl przełomu XIX i XX wieku: filozoficzny intuicjonizm, neoheglizm, neokantyzm oraz bogoiskatielstwo. Przy okazji dostawało się również owym zachodnim „idealistom”.

Napisano i obroniono wiele doktoratów, w których zarówno młodzi jak i dojrzały badacze powtarzali za Leninem tezę o „duchowym renegactwie wiechowstwa rosyjskiego”. Podczas gdy w literaturze rosyjskiej publikowano dzieła Sołżenicyna i innych przeklętych pisarzy, w filozofii rosyjskiej do roku 1989 trwał realizm socjalistyczny.

O wyjątkach będzie mowa poniżej.

O czym wolno było mówić?

Filozofię rosyjskiego „wiechowstwa” miano w pogardzie – w czasach Stalina milczano o niej, później – w ramach powrotu do leninowskich norm – porządkowano kierowane pod ich adresem inwektywy autora *Materializmu i empiriokrytycyzmu*. W ZSRR nie reagowano również na rozkwit rosyjskiej prawosławizującej teologii, jaki miał miejsce na emigracji. Niektóre fundamentalne prace z zakresu historii rosyjskiej myśli wydawane na emigracji były, co prawda, publikowane w ZSRR, ale rozpowszechniano je w obiegu zamkniętym. (Taki los spotkał pracę Nikołaja Łoskiego, *Istorija ruskoj filozofii*, którą w roku 1954 wydała „Innostrannaja Litieratura”, lecz nakład rozprowadzono według partyjnego klucza. W roku 1956 dla tych samych „specjalistów” wydano fundamentalną dwutomową historię rosyjskiej myśli Wasilija Zieńkowskiego).

Badacze, którzy chcieli pisać w miarę uczciwie, musieli zajmować się tradycją rosyjskiego Oświecenia (Nikołaj Nowikow, Aleksander Radiszczew, Michaił Łomonosow). Ci, których interesowała estetyka i historiozofia rosyjskich dekabrystów, również mogli o niej pisać. Wystarczyło jedynie wskazać w dziełach Łomonosowa korzenie „współczesnego naukowego światopoglądu”, źródła zaś rewolucjonizmu, jeszcze niedoskonałego, dojrzeć w pismach Radiszczewa oraz Pawła Pestla. Tak samo „słowiańskie pogaństwo pierwszego tysiąclecia” długo wzbudzało większe zainteresowanie sowieckiego badacza aniżeli związana z prawosławiem, choć często heretycka, stara i nowa myśl rosyjska.

Za Leninem powtarzano frazesy o trzech poprzednikach socjal-demokracji: „rolę postępowego bojownika może wypełnić tylko partia, kierowana przez postępową teorię. Aby choć troszkę bardziej konkretnie wyobrazić sobie, co to oznacza, niech czytelnik przypomni sobie o takich poprzednikach rosyjskiej socjaldemokracji, jak Hercen, Bieliński i Czernyszewski oraz wspaniała plejada rewolucjonistów lat 70.”

Konsekwentnie, trzy pokolenia sowieckich badaczy pracowały nad zafalszowaniem ideologii Czernyszewskiego. Z demokracji i socjalisty, ucznia francuskich encyklopedystów: Rousseau i Diderota, socjalistów zrzeszeniowych: Fouriera, Considéranta i Owena, a także Feuerbacha, zrobiono „rewolucjonistę”. Główna w tym „zasługa” Lenina, który – nie mając na to żadnych dowodów (sąd, który w roku 1863 skazywał Czernyszewskiego za „rewolucyjną propagandę”, wydał wyrok na podstawie sfalszowanych dokumentów) – uznał Czernyszewskiego za „rewolucyjnego demokratę”. Późniejsi sowieccy badacze doskonale wiedzieli, gdyż przejrzeni dokładnie wszelkie dostępne archiwa, iż nie ma żadnych wiarygodnych pisanych źródeł, które dowodziłyby rewolucjonizmu Czernyszewskiego. Przeto na pytanie, skąd Lenin czerpał swą wiedzę, odpowiadali, że musiał znać ustną tradycję.

*

Największym dokonaniem badaczy filozofii w ZSRR pozostaje do dzisiaj seria „Filosofskoje Nasledije” wydawana przez Instytut Filozofii Akademii Nauk ZSRR. W latach 1963-1987 ukazało się 100 tomów, doskonale opracowanych edytorsko. Pośród autorów naturalnie przeważają materialści i krytycy Kościoła (filozofowie starożytnych Indii, Holbach, Feuerbach, Gassendi, Bayle, La Mettrie), ale spotykamy tam także Arystotelesa, Platona, Leibniza, Locke’a, Kanta, Hegla). Oczywiście próżno by szukać w tej pierwszej „setce” imion Pascala, Kierkegaarda czy Heideggera, przypomnijmy jednak, że jedenaście lat wcześniej również polscy twórcy serii „Biblioteka Klasyków Filozofii” (seria ukazuje się od

1952 r.) także zaczęli od Condillaca, Morelly’ego, Mesliera i Herschela, a Mably (*Pisma wybrane*, nr 27, 1956 r.) zdecydowanie „wyprzedził” Kierkegaarda (*Bojaźń i drżenie*, nr 90, 1966 r.).

Aleksiej Łosiew i inni

Mylił się w roku 1956 Józef Bocheński* twierdząc, że w Związku Sowieckim od roku 1922 nie opublikowano żadnego filozoficznego tekstu autorstwa żyjącego filozofa, który nie byłby tekstem marksistowsko-leninowskim. Przeczy temu twórczość Aleksieja Łosiewa (1893-1988), który całe swoje dojrzałe życie przeżył w Związku Sowieckim. Jego dzieło dowodzi, że można było myśleć i pisać – choćby do szuflady – także w państwie Stalina.

Młodszy mniej więcej o jedno pokolenie od myślicieli rosyjskiego „srebrnego wieku” (Bierdiajewa, Bułgakowa, Iwanowa), spotykał się z nimi na licznych filozoficznych zebraniach organizowanych w przededniu rewolucji. W latach 1927-1930, wykorzystując ślepotę cenzury, wydał osiem książek. Prace były publikowane w małych nakładach z adnotacją „wydanie autora”. Tym sposobem ukazały się: *Antyczny Kosmos a współczesna nauka, Filozofia imienia, Muzyka jako przedmiot logiki* (wszystkie trzy prace w 1927 roku), *Dialektyka liczby u Plotyna* (1928), *Krytyka platonizmu u Arystotelesa* (1929) oraz *Dialektyka mitu* (1930). W tej ostatniej pracy cenzor usunął niektóre fragmenty, lecz Łosiew przywrócił je w procesie produkcji książki. Ten akt niezwykłej odwagi kosztował go osiemnaście miesięcy więzienia i łagru – aresztowany wraz z żoną, przeżył Łubiankę i Kanał Białomorski, a Maksim Gorki nazwał go „popowskim reakcyjnym idealistą”. Łosiew zaczął ponownie drukować od 1953 roku. Dziełem jego życia pozostanie zapewne ośmiotomowa *Historia antycznej estetyki* (t. 1-7, Moskwa 1963-1988) – wydania ósmego tomu autor nie doczekał.

* I. M. Bocheński, *Der sowjetrussische dialektische Materialismus (Diamat)*, Bern 1956, s. 50.

Mówiąc ogólnie, Łosiew próbował połączyć fenomenologię Husserla z dialektyką Hegla, uważając, że czysta fenomenologia zajmuje się bytem w jego odrębności – dopiero dialektyka wprowadza pojęcie związku. Od razu dostrzeżemy tutaj wpływ nauki Sołowjowa o wszechjedności. Łosiew był bowiem jednym z najciekawszych rosyjskich uczniów Władimira Sołowjowa. Nieprzypadkowo jest autorem opublikowanej już pośmiertnie syntezy *Władimir Sołowjow i jego wriemia* (Moskwa 1990, 720 s.). Twórczość Łosiewa, dzisiaj jeszcze mało znana poza Rosją, wpisuje się w tradycję myślenia prawosławnego. Istotę można poznawać tylko w jej energiach – jest to credo teologii apofatycznej i hezychazmu, którego ojcem był Grzegorz Palamas.

*

Innym wybitnym myślicielem rosyjskim, który żył i umarł w Związku Sowieckim, jest Gustaw Szpiet (1879-1937). Był przeciwnikiem filozofii jako nauki o moralności i kaznodziejstwa oraz filozofii światopoglądowej. W 1922 opublikował pracę o rosyjskiej myśli pt. *Oczerk razwitiia russkoj filozofii*. Danina, jaką spłacał systemowi we wstępie do swej książki, była wysoka. Pisał: „Rewolucja nasza to nie tylko kazualny skutek i rezultat, lecz także urzeczywistnienie koncepcji. Ową koncepcję wynosiła w sobie, wypieściła, siebie samą na niej wychowała nasza inteligencja XIX wieku. Rewolucja urzeczywistnia się nie we wszystkim tak, jak – być może – marzyło się naszej inteligencji, ale czy to oznacza nieprawdę samej rewolucji, czy też nieprawdę inteligenckiego ideału, samej inteligencji w stopniu, w jakim żyła owym ideałem? Skłonny jestem przyjąć to ostatnie. Dlatego też odejście znacznej części inteligencji od rewolucji i odmowa uczestnictwa w niej oznacza zmierzch i zgon owej inteligencji. A inna jej część, która wcieliła się w rewolucję, także przestała być inteligencją, choć tu przyczyną są inne: z «inteligencji» przekształciła się w «akcję» i w «agenta».

W swej pracy Szpiet zastanawiał się, czy filozofia może mieć charakter narodowy. Jego odpowiedź brzmiała następująco: „Filo-

zofia uzyskuje narodowy charakter nie w odpowiedziach – nauka odpowiada, tak naprawdę, jest taka sama dla wszystkich narodów i języków – lecz w postawieniu kwestii, w ich wyborze, konkretnych modyfikacjach. Zainteresowanie i stosunek do tej czy innej kwestii, do tego czy innego jej aspektu, mają charakter lokalny, narodowy i czasowy – lecz bynajmniej nie ma takiego charakteru idealna forma i treść filozofii”.

Uznając jednak filozofię, tak samo jak matematykę czy krytalografię, za naukę, nie uważał, że jest ona nauką zawsze i wszędzie. Filozofia dopiero staje się nauką: „Uważam, iż filozofia jako nauka jest najwyższym historycznym i dialektycznym stopniem filozofii, ale tym samym nie odrzucam, lecz – przeciwnie – potwierdzam istnienie wstępnej historii, podczas której filozofia staje się nauką”. Historię dotychczasowej rosyjskiej filozofii traktował jako fazę wstępną – opisywał ją ahistorycznie, z punktu widzenia potrzeb filozofii-nauki.

Szpiet w ogóle był wrogiem jakiegokolwiek filozofii chrześcijańskiej, czy to prawosławnej, czy katolickiej. Miał za złe starej i nowej tradycji rosyjskiej, że nie oddzieliła filozofii od teologii, podczas gdy ta pierwsza musi być nauką ponadkonfesyjną. Ten metodologiczny absolutyzm powoduje, iż Szpieta ceni nauka niemiecka, nader jednak często jest on krytykowany przez prawosławnych badaczy rosyjskiej myśli.

*

Aby dopełnić ów obraz filozofii tworzonej po 1922 roku w ZSRR, należy jeszcze wspomnieć Iwana Luppola (1896-1943), autora wybitnej książki o Diderocie, znawcę Gassendiego, Holbacha i Spinozy, Walentina Asmusa (1894-1975), twórcę prac o Kartezjuszu (1956), Demokrycie (1960), Kancie (1973) i Platonie (1975), oraz Arsienija Gułyge, autora m.in. zwięzłej *Estietiki istorii* (1974) oraz wydanej ostatnio pracy *Uroki klàssiki i sowriemiennost'* (1990).

Spośród dobrze znanych w Polsce rosyjskich kulturologów-literaturoznawców (M. Bachtin, M. Gasparow, D. Lichaczow, J. Mielinski, B. Uspienski, W. Toporow) najciekawszy jest zapewne urodzony w 1937 roku Siergiej Awierincew. W swych pracach „bizantyjskich” podjął próbę apologii filologii jako nauki o człowieku, o jego przeszłości i wymiarze teraźniejszym. Jego prace o Bizancjum przeczą jednostronnym tezą, jakoby tradycja kulturowa wschodniej części chrześcijańskiego Cesarstwa była skostniała i martwa. Awierincew próbuje zarazem przyswoić Rosji mało tam znaną tradycję Arystotelesa.

W cieniu Bierdiajewa i Szestowa

Podczas dyskusji z rosyjskimi historykami filozofii, a także tymi Rosjanami, którzy zajmują się myślą rosyjską nieprofesjonalnie, często można usłyszeć opinię, że ponowne przyswojenie myśli Bierdiajewa, Szestowa, Iljina, stanowi duchową szansę dla odradzającej się Rosji. Myśliciele i badacze, którzy pozbawieni byli możliwości studiowania dzieł rosyjskich neoplatoników, widzą dzisiaj w tym nurcie remedium na ocalenie duchowe i polityczne Rosji. Nad wieloma filozoficznymi umysłami znowu zapanowała utopia Platona, nie ma natomiast w nich miejsca na realizm (nie mam ma myśli czysto empirycznego realizmu sowieckich marksistów) i złoty środek Arystotelesa. Autor *Polityki* uważany jest w dzisiejszej „filozoficznej Rosji” za ojca zgubnego racjonalizmu oraz materializmu; uznano go za helleńskiego poprzednika Marksa i Engelsa (obok, zapewne, Demokryta i Leukippa). W sowieckiej filozofii owo „przyswajanie” dawnej myśli dla potrzeb materializmu historycznego miało swoją tradycję – już Plechanow próbował uczynić z Benedykta Spinozy „marksistę przed Marksem”. Gdy jednak dawniej nobilitowano myśliciela, to dzisiaj strąca się go niemal „automatycznie” z piedestału – ale w obydwu przypadkach istota jego filozofii nie jest rozumiana.

*

O przywrócenie Rosji twórczości filozofów „srebrnego wieku” i wcześniejszych zatroszczyła się – nim jeszcze została rozwiązana – Komunistyczna Partia Związku Radzieckiego. W 1989 roku biuletyn „Izwestija CK KPSS” (nr 10) wskazał na potrzebę wydawania i poznawania „historii ojczystej myśli filozoficznej”. W latach 1989-91, gdy były jeszcze na to środki, ukazało się w charakterze dodatku do pisma „Woprosy Filozofii” ponad dwadzieścia tomów filozoficznych, opracowanych doskonale zarówno filologicznie jak i edytorsko, uwzględniających również nie publikowane nigdzie wcześniej materiały archiwalne. Wprawdzie jako pierwszy pojawił się tom niczego wspólnego z filozofią nie mającego Dmitrija Pisariewa, ale wkrótce potem opublikowano to, co należy: ojca filozofii rosyjskiej, Sołowjowa, oraz Piotra Czaadajewa, Franka, Szpieta, Florenskiego, Nowgorodcewa, Łoskiego, Erna, Łosiewa, a także Bierdiajewa i Rozanowa.

Dwaj ostatni należą do najczęściej wydawanych i najchętniej czytanych w Rosji myślicieli. Bierdiajew jest nadto najchętniej wydawanym na Zachodzie myślicielem rosyjskim – jest tam bardziej znany aniżeli Sołowjow. Podobnie stało się w Rosji, gdzie jego pelagianistyczna historiozofia wzbudza wielkie zainteresowanie. Bierdiajewowska autobiografia jest swego rodzaju Biblią antyarystotelizmu. Na wzór Iwana Karamazowa Dostojewskiego, Bierdiajew nie przyjmował stworzonego przez Boga świata. Był typem człowieka, o którym Arystoteles powiedział, że jest istotą zdegradowaną, bo nie potrafi żyć w państwie. Obca mu była eudajmonistyczna etyka Arystotelesa oraz utylitaryzm Johna Stuarta Milla. Nigdy bowiem nie mógł się wyzwolić z uczucia, iż własność ma w sobie coś z grzechu. Konsekwentnie twierdził, że tym światem rządzi Książę ciemności, a nie Bóg.

Inaczej ma się rzecz z Rozanowem – jego twórczość, zapewne wybitna, przynależy raczej do historii literatury niż do dziejów myśli. W swoich aforyzmach Rozanow potrafił zawrzeć wiele głębokich spostrzeżeń nie tylko o kwestiach ogólnych, ale także o po-

szczególnych zjawiskach z dziejów rosyjskiej kultury umysłowej: „Tołstoj był genialny, ale nieinteligentny. A genialności – jakiegokolwiek rodzaju – inteligencja przecież «nie przeszkadza». Tworząc w epoce modernizmu, Rozanow nie był dziecięciem epoki. Choć był pisarzem z krwi i kości, odrzucał jednakże panestetyzm – nie lubił, gdy życie stawało się literackie: „Nie literatura, lecz literackość mnie przeraża: literackość duszy, literackość życia”. „Może biorę rozbrat nie z człowiekiem, lecz tylko z literaturą? Odchodzić od człowieka byłoby czymś strasznym; od literatury – nie tak bardzo”. Nie chwaliśmy jednak Rozanowa zanadto, wszak kiedyś pogroził swym przyszłym apologetom: „Jeśli nad mym «otwartym grobem» ktoś będzie wygłaszał panegiryk na moją cześć, wyjdę z mogiły i dam mu po pysku”.*

Powrót filozofii do Rosji nie byłby całkowity, gdyby nie opublikowano dzieł Szestowa. Jego rodzinnym miastem nie była filozoficzna Moskwa ani Petersburg, lecz Kijów, miasto, w którym w wieku XVII próbowano zaszczyć idee arystotelizmu i scholastyki. Na przekór temu, Szestow był, jak bohater *Notatek z podziemia* Dostojewskiego, największym wrogiem racjonalizmu i dogmatyzmu. Twierdził, że nie da się pogodzić dwóch tradycji: helleńskiej i judeo-chrześcijańskiej. Atenom (Arystoteles – św. Tomasz – Hegel – Husserl) nie przyznawał prawa głosu w dyspucie o Bogu. W tej dyspucie liczył się dla niego jedynie głos Jerozolimy (Hiob, apostoł Paweł, Marcin Luter, Pascal, Kierkegaard). Jednym z ojców Jerozolimy był dla Szestowa Tertulian, który wierzył w zmartwychwstanie Jezusa dlatego, że przeczyło ono wszelkim prawom logiki; autor *Aten i Jerozolimy* konsekwentnie odrzucał matematyczną, Leibnizowską „wprzódę ustanowioną harmonię”. Wydana ostatnio w Rosji Szestowowska książka o Kierkegaardzie opatrzona jest napisanym dwadzieścia lat temu esejem Czesława Miłosza *Szestow albo czystość rozpacz*. Ów tekst zachował swą światopoglądową wartość także dzisiaj – czytelnik od razu dostrzeże, że autor *Ziemi Urlo* w sporze Szestowa z Husserlem opowiada się po

* Cyt. za: W. Rozanow, *Pół-myśli, pół-uczucia*, tłum. I. Kania, Oficyna Literacka, Kraków 1998.

stronie rosyjskiego misologa i apologety niezakorzenia. Jednakowoż w swym tekście Miłosz zwraca mało uwagi na fakt, że Szestow był filozofem rosyjskim. Jego antyracjonalizm musi być powiązany z równie antyracjonalistyczną tradycją słowianofilstwa rosyjskiego: Iwana Kiriejewskiego i Aleksieja Chomiakowa. Traktat tego ostatniego *Wiara jako podstawa poznania* może być zestawiony z Szestowowskim traktatem o Lutrze *Sola fide*. A idąc jeszcze dalej, można byłoby szukać poprzedników Szestowa w apofatyckiej tradycji bizantyjsko-ruskiej (Grzegorz Palamas, Maksym Wyznawca – o nim Miłosz wspomina, Nił Sorski). Współczesny „okcydentalny” badacz Szestowa nie może o tym zapominać.

Szestow jest jednak filozofem o wiele bardziej fascynującym aniżeli moskiewscy słowianofile. Jako wróg tradycji arystotelesowskiej przyciąga wielu współczesnych Rosjan. Trudno jednakże uznać jego refleksję – przy wszystkich jej atrakcjach dla pojedynczego umysłu religijnego – za kulturotwórczą. Odrzucanie wszelkiego racjonalizmu, całej greckiej tradycji, zarówno w sferze poznania, jak i w dziedzinie społecznej, graniczy u Szestowa z nihilizmem.

Filozofia w cieniu prawosławia?

Zgodnie z nauką prawosławia, ostatni Sobór Powszechny odbył się w 787 roku w Nicei (II Sobór Nicejski, a VII Powszechny). Dalsze Sobory, zwoływane na Zachodzie (a było ich jeszcze czternaście), nie są uznawane przez Kościół wschodni. Na ten fakt wskazywał kiedyś Sołowjow, ubolewając, że umysłowa tradycja ortodoksyjna zastygła w pojęciach VIII wieku. Na tak wyrażoną opinię (która zapewne bliska jest ocenie prawosławia przez tradycyjny katolicyzm) prawosławni znajdowali następującą odpowiedź: ortodoksja nie potrzebuje nic ponad to, co znajduje się w Piśmie Świętym, nicejskim wyznaniu wiary, dogmatach ustalonych na pierwszych siedmiu soborach powszechnych (głównie dogmaty chrystologiczne) oraz pismach Ojców Kościoła.

Jednakże zdrowy rozsądek mówi, że aby żyć, trzeba się rozwijać – kolejne wieki historii niosły z sobą nowe problemy i zadania. Ojciec Siergiej Bułgakow (1871-1944) twierdził, iż VII Sobór Powszechny powinien był powrócić do sformułowanego na IV Soborze w Chalcedonie (rok 451) dogmatu o Bogoczłowieczeństwie Chrystusa – po to, by sformułować go pełniej i połączyć z naturą stworzoną, człowiekiem. To puste miejsce Bułgakow pragnął zapęłnić, rozwijając naukę o Sofii jako naturze samego Boga, najpełniej odbijającej się – poprzez Kościół – w ludzkości. Mimo że Bułgakow mógł powołać się na dwa filary prawosławia: naukę Atanazego Wielkiego (IV w.) oraz energie Boże Grzegorza Palamasa (XIV w.) – jego nauka została w 1935 roku potępiona, zarówno przez moskiewski patriarchat, jak i emigracyjny sobór prawosławnych biskupów. Takie przypadki potępienia zdarzały się w Cerkwi – w porównaniu z Kościołem katolickim – niezwykle rzadko. Wynikało to zarówno z niemożliwości zwołania Soboru Powszechnego, jak i – szczególnie po 1917 roku – z położenia Cerkwi względem państwa.

Gdy ktoś próbuje sformułować definicję pojęcia „filozofia prawosławna”, napotyka na zrozumiałe trudności: czy taka filozofia ma prawo zajmować się czymś więcej aniżeli wąską sferą dogmatu, czy istnieje prawosławna gnoseologia, prawosławna doktryna państwa itd.? Wydaje się, że prawosławie, nazywane niekiedy chrześcijańskim platonizmem, jest tu bardziej otwarte na nowe i oryginalne idee aniżeli sformułowana na kolejnych Soborach Laterańskich, Lyonńskim, Trydenckim i dwóch Watykańskich doktryna katolicka. Tym niemniej trzeba jasno powiedzieć, że to „nowe oryginalne idee” często mało miały wspólnego z tradycją Ojców, za to wyraźnie widać w nich wpływy potępionego na Zachodzie „pneumatologa” Joachima z Fiore czy przedstawiciela niemieckiego pietyzmu Junga-Stillinga. Joachim z Fiore wywarł szczególny wpływ na idee omawianego powyżej Bierdiajewa. Trudno byłoby znaleźć pośród tych przedstawicieli rosyjskiego modernizmu, których dzieła powracają dzisiaj do Rosji, myśliciela prawosławnego. Nie był zapewne takim Florenski, który obficie czerpał z dziedzictwa okultyzmu i magii (por. Gieorgij

Fłorowski, *Puti russkogo bogostawija*, Paris 1983, s. 497). Niedawno opublikowano artykuł Florenskiego, w którym sformułował on tezę o konieczności stworzenia systemu selekcji ludzi dla przyszłej obiektywnej kultury, czyli nowego społeczeństwa! Nie był myślicielem prawosławnym również Nikołaj Fiodorow (1828-1903), autor wydanego pośmiertnie dzieła *Filosofija obszczego dieta*, w którym przedstawił „genialnie zuchwały” (sformułowanie Bierdiajewa) plan naukowo-religijnego wskrzeszenia przez synów wszystkich zmarłych ojców. Myśl Fiodorowa przypomina raczej doktrynę scjentystyczną, w stylu Augusta Comte’a – na nic zdadzą się wezwania, aby uznać tę ideę za ortodoksyjną. Ostatnio próbuje się straszyć krytyków Fiodorowa obrazem wiecznych mąk: „Boję się – pisze badacz – że spór o chrześcijaństwo Fiodorowa rozstrzygnie się nawet nie w czasach naszych potomków, lecz na Sądzie Ostatecznym. A będzie to Sąd Boży nad nami”.

Ktoś, kto bada prawosławie z zewnątrz, ulega czasami pokusie, aby przedstawić ową doktrynę jako amalgamat wczesnochrześcijańskiej gnozy i platonizmu. Taki badacz nie odwołuje się nigdy do źródłowych traktatów Ojców Kościoła wschodniego, lecz cytuje Bierdiajewa, Florenskiego i Mierieżkowskiego. Ich poglądy są tymczasem literackim marginesem prawosławnej tradycji, a nie jej istotą.

Tę istotę można poznać studiując wydawane dzisiaj w Rosji na nowo dzieła Ojców Kościoła (np. *Dobrotolubije*, pięciotomową edycję fragmentów z Teodora Studyty, Symeona Nowego Teologa, Grzegorza Synaity i innych, wydana jako reprint z edycji z 1900 roku w Ławrze Troicko-Siergiejewskiej w roku 1992), a także prace Władimira Łosskiego (zm. w 1958), Paula Evdokimowa (zm. 1970), Johna Meyendorffa (zm. 1992) oraz dzieła wspomnianego już tutaj Fłorowskiego (zm. 1979), zarówno *Puti russkogo bogostawija*, jak i jego wykłady o Ojcach Kościoła wschodniego: IV wieku (Atanazy, Cyryl Jerozolimski, Bazyli Wielki, Grzegorz z Nazjanzu, Grzegorz z Nyssy oraz Jan Złotousty) i V-VIII wieku (Cyryl z Aleksandrii, Pseudo-Dionizy Areopagita, Izaak Syryjczyk, Jan Klimakos, Maksym Wyznawca, Jan z Damazku). Fłorowski uważa, że

wszelkie „dziwactwa” rosyjskiej myśli, a także rozwój różnych herezji na obrzeżu prawosławia, wynikały z zapoznania w Rosji wybitnych osiągnięć bizantyjskiej teologii prawosławnej.

*

Jak widać, powrót filozofii do Rosji dokonuje się stopniowo i minie zapewne trochę czasu, nim zostanie poddane krytycznemu osądowi dziedzictwo rosyjskiego neoplatonizmu przełomu XIX i XX wieku. Rosyjska refleksja filozoficzna zderzy się wkrótce z doktryną liberalną. Chyba że w zgodzie z dotychczasową rosyjską tradycją, a wybitnie sprzyja temu najnowsza sytuacja polityczna w Rosji po 12 XII 1993, liberałowie zostaną zepchnięci na margines, a do głosu dojdzie jakiś nowy rosyjski Fichte, który napisze *Mowy do narodu rosyjskiego*. Wtedy jednak pisanie dziejów najnowszej myśli rosyjskiej stanie się zajęciem monotonnym.

Rosyjski spór o Boga, człowieka i historię (1997)

Rosyjska myśl filozoficzna, a dotyczy to przede wszystkim okresu od publikacji pierwszego z cyklu *Listów filozoficznych* Piotra Czaadajewa (1836), aż do momentu wypędzenia filozofów z Rosji Sowieckiej (1922), nie pozostała obojętna wobec żadnego z istotnych problemów egzystencjalnych, które dręczyły filozofię europejską. Chodzi zarówno o tę wcześniejszą, która od czasów jońskich filozofów przyrody z uporem poszukiwała przyczyny (arché) wszechrzeczy, jak i tę, która już po II wojnie światowej zapytywała ustami Theodora Adorno, czy w czasach po Auschwitz będzie możliwe jakiegokolwiek pozytywne filozofowanie. Nieprzypadkowo rosyjska filozofia jest często nazywana „rosyjską myślą filozoficzno-społeczną”, co oznacza, że jej teoretyczne problemy są ściśle powiązane ze sferą praktyczną. Gdy w latach sześćdziesiątych XIX wieku Iwan Turgieniew napisał, iż jego ideowi współtowarzysze z lat czterdziestych „nie posiadli zdolności myślenia abstrakcyjnego na modłę niemiecką” i poszukiwali „w filozofii wszystkiego, prócz czystego myślenia”, to tym jednym krótkim zdaniem celnie określił wielki sens rosyjskiego filozofowania w latach 1836-1922. Sam Turgieniew należał do takiej grupy rosyjskich myślicieli, która patrzyła na człowieka jako na istotę całkowicie „samodzielną”, dojrzałą do odrzucenia wszelkiej myśli o istnieniu sfery transcendentnej względem człowieka i historii. Na pierwsze pokolenie rosyjskich antyteistów, których centralną figurą był Aleksander Hercen (1812-1870), wielki wpływ wywarł Ludwik Feuer-

bach. W pracy *O istocie chrześcijaństwa* stwierdził on, iż wymyślając sobie ideę Boga i przekazując Mu swoje najlepsze cechy, człowiek zarazem zubożył samego siebie. Jest to bardzo ważne zdanie, pozwala bowiem zrozumieć etyczne podstawy rosyjskiego ateizmu, w tym również marksizmu z okresu przed rewolucją 1917 roku (Gieorgij Plechanow). Rosyjscy przeciwnicy Boga z II połowy XIX wieku – wbrew temu, co czasami twierdzili ich teistyczni przeciwnicy – wcale nie pragnęli stworzyć na ziemi królestwa ciemności, w którym kłamstwo miałyby stać na miejscu prawdy, brzydota zastąpiłaby piękno, a zło dumnie zasiadłoby na wysokim tronie dla dobra przeznaczonym. Nic z tych rzeczy – nigdy nie pojmemy prasensu tego ateizmu, jeżeli nie przyjmiemy do wiadomości, że jego rosyjscy wyznawcy również poszukiwali prawdy, piękna i dobra. Rzecz jednak w tym, iż pojmowanie tych ponadczasowych kategorii miało u nich wymiar *stricte* historyczny. Wcale nieprzypadkowo rosyjscy antyteiści swym starożytnym patronem ogłosili Protagorasa. Hercen napisał, że ideologia sofistów cieszy się jego aprobatą za fakt uznania „miarą wszechrzeczy człowieka i tylko człowieka”. Nieco później Piotr Ławrow, jeden z ojców rewolucyjnego narodnictwa, dodawał w tym samym kontekście: „Element religijny ulega atrofii i jest spotykany jedynie w przeżytkach należących do przeszłości; cywilizacja nowych czasów jest ze swej strony cywilizacją świecką, dążącą do oddzielenia od siebie wszelkiego religijnego elementu, który ostatecznie winien z niej zniknąć”. Ławrow określał swój system mianem antropologizmu, którego pierwsze podstawy dostrzegł u Protagorasa, następnie u starożytnych sceptyków, nowożytnych empiryków i sensualistów, a także u Immanuela Kanta i Feuerbacha. W podobnym antropologizmie, w którym miarą wszechrzeczy jest człowiek jako skończona materialno-duchowa istota, nie ma miejsca na ponadhistoryczną transcendencję ani osobowego Boga. Marks napisał ongiś, że człowiek, który chce budować swoje życie w trzeźwy sposób, powinien „krążyć wokół samego siebie, czyli wokół swego prawdziwego słońca”. Rosyjski marksista Plechanow dodawał, że ludzie bez pomocy nieba wiedzą, co to jest cnota. Głos rozumu

całkowicie wystarczy, aby człowiek znał swoje obowiązki względem bliźniego. Ludzie „szukają drogi do nieba, z tej prostej przyczyny, że zбочyli ze szlaku na ziemi”. Należy przeto budować takie królestwo Boże na ziemi, w którym jedynym i nieudzielnym władcą będzie przyrodniczo-historyczny człowiek.

Jednak sama historia po 1917 roku bardzo surowo się obeszła z marzeniami rosyjskich antyteistów o stworzeniu dobrego, pięknego i sprawiedliwego świata wyłącznie wysiłkiem wyzwolonego od religijnych „przesądów” człowieka. Przewidywany z naukową konsekwencją przez Engelsa i Plechanowa „skok z królestwa konieczności do królestwa wolności” stał się w rosyjskiej historycznej przestrzeni skokiem w duchową, kulturową i cywilizacyjną przepaść. Wbrew marzeniom Hercena, Nikołaja Czernyszewskiego, Ławrowa, Plechanowa historia tworzona bez Boga lub wbrew Bogu stawała się również antyludzka, antyhumanistyczna. Jej prawdziwy opis odnajdujemy zarówno w *Archipelagu GULag* Aleksandra Sołżenicyna, jak i w *Roku 1984* George’a Orwella. W opisanym przez tego ostatniego państwie Oceania, Ministerstwo Prawdy zajmuje się kłamstwem, Ministerstwo Pokoju – organizuje wojnę, a Ministerstwo Miłości – w systematyczny sposób szerzy nienawiść. W okresie od Hercena do Lenina i Stalina rosyjski antyteizm przemienił się z motyla w poczwarkę, której jedyną i rzeczywiście nieuchronną przyszłością była powolna śmierć i rozkład.

Przed takim właśnie rozwojem sytuacji przestrzegał Rosję i Europę inny rosyjski nurt myślowy, który odpowiedzi na pytanie o sens historii i człowieka poszukiwał w sferze ponadhistorycznej. Ojcem filozoficznego providencjonalizmu w Rosji był wspomniany już tutaj Piotr Czaadajew. W nie opublikowanym we właściwym czasie cyklu listów filozoficznych myśliciel ten skrytykował oświeceniowo-heglowską wizję człowieka i historii. Sprzeciwił się tam teoriom uznającym rozwój ludzkiego ducha za proces naturalny, „bez wszelkich śladów Opatrzności, bez wpływu jakiegokolwiek przyczyny, prócz mechanicznej siły ludzkiej natury”. W zależności od faktu, czy taka filozofia patrzy na ludzką istotę pesymistycznie czy optymistycznie, raz traktuje ją jako owada miotającego się bez-

myślnie w świetle słońca, a innym razem każe jej wznosić się ku górze wyłącznie siłami własnej doskonałej natury – zawsze jednak widzi w niej „człowieka i tylko człowieka”. Czaadajew pisał, iż cywilizacja, która nie bierze pod uwagę faktu Odkupienia, dąży do „królestwa zła” – tak właśnie określał ideę nieograniczonego doskonalenia człowieka w zamkniętej przestrzeni „bytu materialnego”. Cywilizację materialną uznawał za rezultat „pobłędzenia umysłu”, który po to tylko wynosi człowieka na pewną określoną wysokość, aby natychmiast „stracić go w przepaść jeszcze większą”.

Kontynuatorem Czaadajewa na rosyjskim gruncie był Władimir Sołowjow (1853-1900), który również sprzeciwiał się oświeceniowo-hegłowskiej redukcji człowieka do wymiaru przyrodniczo-historycznego. W roku 1883 napisał niezwykle przenikliwe słowa, w których odniósł się do krytyki nadużyć w Kościele katolickim, dokonywanej przez przedstawicieli tak zwanej „bezbożnej kultury”: „Jeżeli sprawiedliwie zarzuca się katolicyzmowi, że stosował on przemoc wobec wrogów chrześcijaństwa, biorąc poniekąd za przykład swojego patrona apostoła Piotra, wyjmującego miecz w obronie Chrystusa w Ogrodzie Getsemańskim, to wojownicy współczesnej kultury w swej antychrześcijańskiej zatwardziałości biorą gorszy przykład z Piłatowych żołnierzy, plujących na Chrystusa, albo tego tłumu, który krzychał: «Ukrzyżuj Go, ukrzyżuj Go!». Jeżeli następnie sprawiedliwy jest także i ten zarzut wobec katolicyzmu, że starał się on stworzyć zewnętrzne i ziemskie formy oraz formuły dla przedmiotów duchowych i Bożych, idąc poniekąd za przykładem tego samego apostoła Piotra, który chciał zbudować materialne namioty dla przemienionego Chrystusa, Mojżesza i Eliasza na Górze Tabor – to obrońcy katolicyzmu sprawiedliwie mogą zarzucać współczesnej kulturze, że wyrzekając się chrześcijaństwa i religijnych zasad na rzecz dążenia do materialnego dobrobytu i bogactwa, wzorowała się na innym, najgorszym z dwunastu apostołów”.

Zauważmy, iż burząc cerkwie i walcząc z Kościołem, rosyjski dwudziestowieczny „Judasz zbiorowy” (Lenin, Stalin wraz z liczną

grupą pomocników), nie był w stanie zapewnić rządzonym przez siebie poddanym nie tylko bogactwa i materialnego dobrobytu, lecz nawet zwykłego powszedniego chleba. Tymczasem o tenże chleb modliła się w Rosji rzesza chrześcijan, która w długim okresie bolszewizmu nie przyjęła do wiadomości tezy o nieuchronnym zamieraniu religii w społeczeństwach „wysoko rozwiniętych”.

Ja sam w trzech pierwszych tygodniach lipca 1997 roku, dzięki „rzymskiemu stypendium” z Polskiego Instytutu Kultury Chrześcijańskiej, miałem doskonałą okazję do ponownego przemyślenia dróg i bezdroży rosyjskiej filozofii, do jeszcze głębszego zastanowienia się nad jej pytaniami i próbami odpowiedzi. Waga rosyjskich problemów, które podług swej pierwszej istoty są przecież problemami ogólnoludzkimi, jest tym bardziej widoczna z Rzymu. Może nieprzypadkowo Nikołaj Gogol pisał tu najbardziej rosyjski poemat prozą *Martwe dusze*, a Hercen wysyłał stąd do Moskwy swoje *Listy z Via del Corso*, które wywołały tak burzliwe dyskusje po lewej stronie „rosyjskiej myśli”?

W Wiecznym Mieście nie wolno nie zadać sobie pytania o sens chrześcijańskiej historii, o rolę przedchrześcijańskich cywilizacji i kultur w dziele przygotowywania dróg dla Wcielenia, i w ogóle – o miejsce cywilizacji i kultury względem religii Chrystusowej. Czaadajew, który był mocno przekonany, że poszukiwanie ponadhistorycznej prawdy pozwala odnaleźć historyczną wolność i dobrobyt, sądził jednak, iż w procesie przygotowywania chrześcijaństwa swą pozytywną rolę odegrał jedynie judaizm i naród żydowski. Tymczasem filozofia i kultura helleńska oraz hellenistyczna wraz z cywilizacją stanowiły w jego oczach skrajne zaprzeczenie chrześcijaństwa w czasach przed-Chrystusowych. Za materialne apogeum cywilizacji pogańskiej Czaadajew uznawał rzymskie Koloseum: „W tym samym Rzymie – pisał – o którym tak się wiele mówi i który jeżdżą oglądać wszyscy, tak mało z niego pojmując, stoi zdumiewający zabytek. Można powiedzieć, iż owo starożytne dzieło kontynuujące swe istnienie aż do dzisiaj, to trud innych czasów, który zastygł pośród biegu dziejów: mówię o Koloseum. Moim zdaniem, nie ma żadnego innego historycznego zjawiska,

które lepiej aniżeli widok owych ruin rodziłoby tak wiele głębokich myśli, które lepiej określałoby charakterystyczne cechy dwóch epok ludzkości i które bardziej przekonująco świadczyłyby o wielkim aksjomacie dziejów: że nigdy nie było ani prawdziwego postępu, ani prawdziwej trwałości w społeczeństwie w okresie przed chrześcijaństwem. Ta arena – na którą przychodzili tłumy rzymskiego narodu, aby zachłystywać się krwią, gdzie cały pogański świat ukazywał swe prawdziwe oblicze w przerażających igrzyskach (...) – czyż nie po to stoi wysoko ponad nami, aby pokazać, do czego doszedł świat w tamtym czasie (...). I tam po raz pierwszy została przelana krew, która zrosiła fundament nowego gmachu”. Czaadajew sądził przeto, iż chrześcijaństwo nie stanowiło ewolucyjnego wypełnienia epok wcześniejszych, lecz jakoś zupełnie nową w dotychczasowych dziejach. Z pasją pisał o „ślepcach”, którzy nie dostrzegają wielkiego przełomu, jaki dokonał się wraz z Wcieleniem Jezusa w historię.

Tymczasem młody Sołowjow, który podobnie jak Czaadajew konstruował swą historiozoficzną wizję na wzór providencjalizmu Bousseta, był w tej materii ewolucjonistą. Nie chodzi o to, aby nie dostrzegał jakościowego przełomu we Wcieleniu, Ukrzyżowaniu i Zmartwychwstaniu, wręcz przeciwnie – owe fakty stanowiły dla niego główny „węzeł” światowej historii. Sądził jednak, wbrew Czaadajewowi, iż nie tylko Żydzi, lecz również Grecy i Rzymianie swym historycznym wysiłkiem przygotowali przestrzeń dla nadejścia Jezusa i Jego Apostołów. Ekumenizm Sołowjowa miał jeszcze większy zasięg – w uniwersyteckim wykładzie *Historyczne zadania filozofii* starał się ukazać pozytywną rolę, jaką w procesie przygotowywania chrześcijaństwa odegrały dwie kultury: indyjska i grecka, określone przez niego mianem humanistycznych. W pracach z lat osiemdziesiątych Sołowjow podkreślał w tym kontekście wielką rolę judaizmu oraz cywilizacji rzymskiej. W pracy z lat dziewięćdziesiątych pt. *Apologia dobra* zauważał, iż po drogach budowanych dla rzymskich legionów mogli następnie łatwiej przejść Apostołowie.

Ktoś mógłby w tym momencie zarzucić Sołowjowowi łatwy historyczny (ewolucjonistyczny) optymizm, ale byłby to zarzut wielce powierzchowny. Gdy rosyjski myśliciel pisał o pozytywnym wkładzie kultur przedchrześcijańskich, to miał on na myśli wyłącznie część owych przestrzeni. Sołowjow – dokładnie tak samo jak Czaadajew – zdawał sobie sprawę, iż absolutyzowanie historycznych kategorii bez ich genetyczno-teologicznego powiązania ze sferą transcendentną prowadzi do antyhumanistycznych wynaturzeń. O państwie i prawie napisał, iż mają jedynie ograniczający charakter – istnieją nie po to, aby stać się główną przyczyną zapanowania Raju na Ziemi, lecz jedynie po to, aby do określonego momentu nie zapanowało tu piekło. Przy takim rozumieniu prawa starożytny spór Antygony („prawa Boże”) z Kreonem („prawo ludzkie”) musiał być zawsze rozstrzygany po myśli tej pierwszej. Konflikt Antygony z Kreonem Sołowjow uważał za spór klasyczny, w którym starły się z sobą dwie życiowe postawy: pierwsza wynikała z „moralno-religijnego poczucia obowiązku” i nakazywała pogrzebać rodzony brata, a druga była efektem „postawy legalistyczno-sprawiedliwościowej”, czyli automatycznego posłuszeństwa wobec wszelkich zasad prawnych, także tych, które mają charakter antyludzki i anty-Boży. Autor *Apologii dobra* komentował: „Tutaj nabiera mocy zasada: należy bardziej słuchać Boga aniżeli ludzi; jest też jasno dowiedzione, że sprawiedliwość w sensie legalności [zaraz potem Sołowjow przywołał z dezaprobatą łacińską legalistyczną maksymę *fiat justitia, pereat mundus* – GP] albo formalno-jurydycznej słuszności postępów, nie jest cnotą samą z siebie, lecz może się nią stać lub nie stać ze względu na sytuację”.

Do czego prowadzi cywilizacja, która poszukuje prawdy, piękna i dobra obok albo wbrew transcendencji, Sołowjow opisał w swym ostatnim dziele – genialnej *Opowieści o Antychryście* (1900), która mogłaby również nosić tytuł *O zafałszowanym dobru*. To jednak jest już temat na inny fragment *Rzymskich rozważań rusycysty*.

Herling, Hercen, Szestow... (1997)

1. Metoda Herlinga

Przedmiotem moich refleksji będzie kilka „wątków rosyjskich”, obecnych w *Dzienniku pisanym nocą* Gustawa Herlinga-Grudzińskiego. Muszę się tu przyznać, że odczuwam wobec omawianego autora coś w rodzaju „filologicznego kompleksu” – pisarz bowiem zawsze może sobie pozwolić na obcowanie z samymi tekstami i na ich kojarzenie, bez ugrzęźnięcia w tzw. „metateksty”. Dla Herlinga tekstem jest żywa rzeczywistość, idea, historia – literatura piękna jest już ze swej strony „metatekstem”, próbującym objaśnić swój przedmiot, czyli po prostu – ludzkie życie. Przy takiej metodzie (o której, rzecz jasna, Herling milczy, unaoczniając ją pisarstwem samym) wolno wdawać się w dyskusje światopoglądowe, przywoływać różne żywe cienie oraz duchy, chwalić lub ganić, oceniać, głośno strofować lub też pomijać głuchym milczeniem. Niechże ktoś przeczyta z tego punktu widzenia *Upiory rewolucji* – zobaczy wtedy, jak żywa jest ta Herlingowa przestrzeń, w której działają, myślą i piszą różni ponadczasowi Dostojewscy, Bierdiajewowie, Pasternakowie... Na tym właśnie polega istota tego pisarstwa, dopełniona przez wielokulturowość autora oraz jego polski patriotyzm.

Herling dlatego daje do myślenia, że często zaledwie szkicuje problemy, przedstawia ich główne jądro, rozpala umysł Czytelnika, i to wcale nie wirtualnego, po czym przechodzi do innych kwestii:

od literatury do malarstwa, rzadko jakoś do muzyki, od późnego średniowiecza do walk partyjnych we współczesnej Polsce.

W *Portrecie weneckim* można znaleźć taką oto autocharakterystykę Herlinga: „Czuję instynktem pisarza, że inaczej być nie mogło, ale czuję też wyraźnie, z siłą nakazu, że rzecz powinna być wyjaśniona”. Herlingowskie rosyjskie wątki najczęściej tak właśnie są konstruowane: pisarz wyczuwa problem, rozwiązuje go w swoim duchu – a robi to najczęściej przenikliwie, zderzając z sobą elementy z różnych geograficznych i historycznych przestrzeni – porzuca kwestię, aby po latach znów do niej powrócić. Taka metoda przypomina ikonową mozaikę: pośrodku hierarchiczny majestatyczny Temat, a wokół niego na mniejszych obrazkach coraz dojrzałszy Herling, wciąż inaczej i ciągle tak samo rozumiejący Dostojewskiego, Szestowa, Bierdiajewa. Sam Herling może się obruszyć na takie skojarzenie, gdyż dla niego wszelka hierarchiczność oraz majestatyzm stanowią zgubę dla człowieka, odkrywającego swą istotę w krótkich chwilach grozy istnienia. To dlatego nigdy nie wzbudziła jego zainteresowania ikona, za to z pasją pisał o martwym Chrystusie Andrei Mantegni oraz Chrystusie zmartwychwstałym Piera della Francesca.

Ponieważ jednak autor prowokuje Czytelnika mówiąc, że każda rzecz – pomimo „nieodpartego instynktu pisarza” – „powinna być wyjaśniona”, pokuszę się przeto może nie o wyjaśnienie, ale o dopowiedzenie paru słów do rosyjskich kwestii poruszonych ostatnio przez Herlinga.

2. Hercen na tamtym brzegu

Dokładnie na Boże Narodzenie 1994 roku w *Dzienniku pisanym nocą* ukazał się esej pochwalny o Aleksandrze Hercenie. Polski eseista poszedł tu wyraźnie śladem Izajasza Berlina, o czym zresztą sam wspominał (Herling nigdy nie ukrywa swoich ideowych antenatów, nie popisuje się swą „odkrywczością” słusznie uważając, że kultura to proces wiecznego powtarzania). Sfor-

mułował przy tym tezę, że Hercen byłby dzisiaj Rosji bardzo potrzebny: „Sołżenicyn to za mało. Potrzebny jest Rosji pisarz dalekowszoczny, wybiegający poza granice coraz bardziej obłąkanych harców politycznych na post-komunistycznym «cmentarzy-sku idei»”.

Zgadza się z tą opinią Czytelnik bardziej by się jeszcze ucieszył, gdyby pisarz dodał w tym kontekście, że takim „Hercenem” był przecież Sacharow – to on mógłby, gdyby nie umarł w dość zastawiających okolicznościach, stać się roztropnym mężem rosyjskiej historii współczesnej. Opatrzność chciała jednak inaczej – a Sołżenicyn rzeczywiście tu nie wystarczy, gdyż i on ostatnio, szczególnie gdy chodzi o postawę wobec Czeczenii, stał się nagle rosyjskim historycznym „metafizykiem”. Sacharow zaś ma w dzisiejszej Rosji jednego tylko ucznia, Siergieja Kowalowa.

Co się tyczy Hercena, to Herling pisze dalej o powstałym po roku 1848 cyklu esejów *Z tamtego brzegu*: „Czytając Hercena, rozumie się lepiej, jak mądry pisarz, wolny od pokus, doktrynerstwa i abstrakcji, czuje i widzi nadchodzące epoki, jak wydobywa ich zarodki z otaczającej go rzeczywistości, którą umie zobaczyć i osądzić z nadzwyczajną przenikliwością”. Nic dziwnego, że wobec takiej diagnozy Herling twierdzi, że Hercenowi udało się odrzucić wszelkie „izmy” (w tym także romantyzm jako zaczątek faszyzmu oraz heglizm jako źródło rewolucjonizmu). Nie znosił on bowiem pytań „jaki jest cel życia?” – w tym kontekście polski pisarz uczynił nawet Hercenowi mały zarzut o jego „nieprzenikalność dla szczątkowych choćby uczuć religijnych”. Herling zamyka ten fragment rozważań stwierdzeniem o aktualności Hercenowskiej metody w czasach postkomunistycznego zamętu w Rosji i okolicach.

Jednak czytelnik innych dzieł Hercena może mieć spore wątpliwości co do słuszności Herlingowej diagnozy. Urodzony w roku „napoleońskim” (1812) pisarz przeżył jako dziecko powstanie dekabrystów, szybkie wstąpienie na tron Mikołaja I, rewolucję 1830, wiosnę ludów 1848, wojnę krymską 1853-55, panowanie i reformę Aleksandra II (1855-1881) („Zwyciężyłeś, Galilejczyku” – pisał z Londynu Hercen, gdy ów car-oswobodziciel wyzwał rosyj-

skich chłopów od pańszczyzny). W tej epoce pierwszego zamętu (drugi rozpoczął się w 1881 i trwał do 1905, a trzeci – w 1914 i trwa aż do dzisiaj, z krótką przerwą w latach 1991-1992) Hercen bynajmniej nie zachowywał się liberalnie i aideologicznie, jak chciałby to widzieć wielki liberał Izajasz Berlin, a za nim – Gustaw Herling-Grudziński.

Władimir Sołowjow, nie znając co prawda dzieła Hercena, miał jednak dobrą intuicję, gdy jego ideową ewolucję od romantyzmu do heglizmu nazwał upadkiem „z wyżyn filozoficznego idealizmu w bunkry socjalnej rewolucji”. Oto co Hercen pisał w *Z tamtego brzegu*: „Nie jesteśmy tymi, którzy budują, którzy wieszczą światu nowe objawienie, jesteśmy tymi, którzy burzą i usuwają stare kłamstwa. Człowiek współczesny, smutny *pontifex maximus*, dopiero przetrzuca most, po którym przejdzie inny, nieznan, przyszły człowiek. Ty go może zobaczysz... Nie zostawaj wówczas na starym brzegu... Lepiej zginąć z tym nowym człowiekiem aniżeli ocaleć w przytułku reakcji” (przełożyła Janina Walicka).

Hercen przewidywał niechybną zagładę Starej Europy – trudno przypuścić, aby z taką diagnozą przydał się dzisiejszej Rosji. Gdyby te jego idee zwyciężyły, to sen Błoka opisany w roku 1920 w poemacie *Scytowie, czyli „inny świat”*, spełniłby się już w czasach Hercena:

O stary świecie! Wiedz ostatni raz,
Na jasne bratnich uczt igrzyska,
Na ucztę pracy i pokoju – was
Przyzywa lira barbarzyńska.

(tłum. Mieczysław Jastrun)

A gdyby spełnił się ten sen Hercena-Błoka, to „dzicy Scytowie z pożądlivymi skośnymi oczami” (Błok w przekładzie Jastruna) w wolnych chwilach zburzyliby wszystkie muzea rzymskie, florenckie, Palazzo Ducale i Casa di Raffaello w Urbino, a także zniszczyli freski w San-Sepolcro... – i gdzie byśmy wtedy oglądali naszych Mantegnow?

Z „izmów” Hercen wyzwolił się znacznie później – właściwie dopiero przedśmiertne listy *Do starego towarzysza* stanowią wyznaczenie wiary liberała – nie to jednak decyduje o istocie światopoglądu Hercena. On bowiem w ciągu swego życia zbyt wiele uczynił dla rozwoju rosyjskiego teoretycznego i praktycznego rewolucjonizmu (heglizm jako „algebra rewolucji” – to przecież on pierwszy powiedział, jeszcze w czasach przed emigracją). Nieprzypadkowo pochwała jego myśli i czynu wyszła spod pióra Lenina.

3. Szestow redivivus

Herlinga, podobnie jak ongiś Simone Weil, Alberta Camusa i Czesława Miłosza, wielce inspiruje postać i pisarstwo Lwa Szestowa. W grudniu 1995 roku zajął się poświęconym Dostojewskiemu fragmentem *Przezwyjęcie oczywistości* z książki *Na szali Hioba*. Bardzo mnie to uradowało, ponieważ fragment ów i w ogóle całą tę książkę uważam za najbardziej typową dla Szestowowskiego antyracjonalistycznego schematu – wystarczy jeszcze przeczytać *Ateny i Jerozolimę* oraz *Sola fide*, aby zrozumieć istotę światopoglądu tego rosyjskiego dwudziestowiecznego sofisty.

Herling nazywa wspomniany szkic „znakomitym i zdumiewająco głębokim”. Szestowowska głębia, zdaniem Herlinga, znajduje potwierdzenie w jego interpretacji bohatera *Notatek z podziemia* Dostojewskiego, określonego przez autora *Na szali Hioba* tragicznym mianem „brzydkiego kaczątka”. Swą zasługę Szestow ma w tym, że dostrzegł w bohaterze *Notatek* maskę samego Dostojewskiego – to dlatego ów powieściowy „paradoksalista” z jednej strony opluwa wszystko, co ogólne, społeczne i racjonalne, a z drugiej – tęskni za nieśmiertelnością ludzkiej indywidualnej duszy. Taka świadomość to „odpycha i przeraża” Herlinga (ale nie Szestowa), to go „przyciąga jak światło w mroku”.

Dalej autor *Dziennika pisanego nocą* przywołuje z aprobatą Szestowowską krytykę racjonalizmu „sławnego historyka chrześcijaństwa, profesora von Harnacka”, który w swej *Historii dogma-*

tów dostrzegał wyłącznie racjonalno-empiryczny wymiar czasu. Należał więc do tej kasty matematyków, którzy z uporem twierdzą, że $2 + 2 = 4$, i stosują to równanie do wyjaśniania wszelkich metafizycznych kwestii. To właśnie owa kasta uczonych była głównym przedmiotem ataku „brzydkiego kaczątka”.

W konkluzji Herling – z jawną satysfakcją – przywołał Szestowowską krytykę „Dziennika Pisarza” Dostojewskiego, który „zdradził” w tym dziele swe mistyczne intuicje z fabularnej prozy. Jakże bowiem inaczej jeśli nie zdradą, zapytywał Herling, można byłoby wytłumaczyć tezę Dostojewskiego, że „Rosja jest najswobodniejszym krajem na świecie, krajem, który wkrótce zdobędzie Konstantynopol, który nigdy nie utworze drogi walce klas?”.

Inaczej aniżeli Szestow Herling nie wyrzekł się w tym miejscu konkluzji: „Wielki pisarz, autor *Biesów* i *Braci Karamazow*, posiadacz «drugiego wzroku», w uporczywym krążeniu wokół Boga, przykłęka oto i z opuszczonymi pokornie oczami całuje pierścień Wielkiego Inkwizytora”.

Muszę przyznać, że nieco mnie rozbroiła owa Herlingowska oczywistość i musiałem sobie od nowa zadać pytanie, czy Szestow rzeczywiście po to napisał fragment o Dostojewskim, aby dowieść niespójności jego artystycznej intuicji z wizją publicystyczną. Odpowiedź jest tu, rzecz jasna, negatywna – ów jednowymiarowy temat nie byłby zwyczajnie godny tragicznego pióra Szestowa. Taka niespójność może zainteresować historyka kultury lub psychologa, ale nie tragicznego nieprzyjaciela rozumu (misologosa), jakim był Szestow. On bowiem zajął się Dostojewskim dlatego, iż wewnątrz niego samego (a nie na poziomie fabuły i publicystyki) dostrzegał metafizyczne pęknięcie: z jednej strony tęsknotę za utraconym w grzechu pierwotnym rajem, a z drugiej – millenaryzm, wtłaczanie ideału w ziemskie historyczne ramy. Antynomia owa ze szczególną siłą przejawiała się na poziomie dzieł artystycznych. Szestow twierdził, że Dostojewski w większości swoich dzieł nie wyzwolił się z pokusy racjonalizacji i schematyzacji „nieziemskiego” – tak autor *Na szali Hioba* rozpatrywał postacie Raskolnikowa, księcia Myszkina, Aloszy Karamazowa, Zosimy (oni byli dla niego nosi-

cielami idei rozumu, czyli przedstawicielami „Aten”). Bliskie natomiast jego sercu było „brzydkie kaczątko” oraz Hipolit z *Idioty* (jako głosiciele wiary, czyli „Jerozolimy”). Tezy „Dziennika Pisarza” są w tym kontekście tak banalne, że Szestow rzeczywiście przywoływał je z pewnym zażenowaniem... I to bynajmniej nie po to, aby pokazać pęknięcie pomiędzy prozą a publicystyką Dostojewskiego, lecz wyłącznie dlatego, aby w obliczu bolszewickiej rewolucji udowodnić, że słowianofilskie *ratio* Dostojewskiego także i tutaj się myliło.

Znana jest ogólna teza Szestowa, że Boga nie można pokazać ani szukać w historii. Dyskusyjne w tym kontekście wydaje się jego stwierdzenie, że takie też było głębokie przekonanie Dostojewskiego. Zdziwiło mnie, że i Herling nie tylko aprobejuje ten Szestowski ogólny schemat, ale uznaje zarazem słuszność zastosowania go do dzieła autora *Braci Karamazow*. Pozornie wszystko tłumaczy się ładnie: Dostojewski odnalazł Boga w rosyjskiej empirycznej historii, przede wszystkim po okresie wojny krymskiej – i tu się pomylił („ucałował pierścień Wielkiego Inkwizytora”). Jednak dla Szestowa problem tkwił gdzie indziej, znacznie głębiej, dlatego też tyle wysiłku uczynił, aby przysposobić do swego światopoglądu historyczny z natury rzeczy obraz świata Dostojewskiego (Bierdiajew taką metodę nazywał „szestowizacją”). Czy jednak Herling zdawał sobie sprawę, że przyjmując punkt widzenia Szestowa w całości, odrzuca nie tylko nacjonalistyczny chiliazm Dostojewskiego, lecz także staje ramię w ramię z Szestowem przeciwko wszystkim religiom, które posiadają w sobie element historyzmu? Taka postawa wymaga jednak odrzucenia zarówno historycznego judaizmu, chrześcijaństwa, jak i islamu. Ten punkt widzenia ma swą wartość, ale u Szestowa rzecz nie wygląda zbyt pięknie. Rosyjski misologos bowiem odrzucił niemal całą cywilizację i kulturę grecką (prócz Heraklita, u którego wszystko płynie, oraz Protagoras, który za miarę wszystkich rzeczy uznał igrającego pojęciami człowieka). Odrzucił także oparte na tej kulturze katolickie średniowiecze, nie mówiąc już o odrodzeniu, oświeceniu itd. Ktoś może powiedzieć, że takie odrzucenie dokonuje się u niego na po-

ziomie świadomości, ale jakże inaczej może się ono dokonywać? Na bolszewickie odrzucenie tej tradycji zawsze przychodzi czas po ustaleniu norm teoretycznych.

Ja sam nazwałbym Szestowa teologicznym Bakuninem, apofatycznym anarchistą. Głównym jego przeciwnikiem był Arystoteles ze swoją zasadą sprzeczności. Zdumiewające, że w praktyce bolszewizmu Szestow dostrzegał wypełnienie równania „ $2 + 2 = 4$ ”, podczas gdy bolszewizm był przecież duchem antykulturowym i antycywilizacyjnym, w swej istocie irracjonalnym. Wodzowie tej rewolucji Szestowa nie czytali, ale czyż nie byli podobni do niego, gdy później, na kolejnych zjazdach, ustalali kłamliwość zasady sprzeczności i tworzyli zręby nowej dialektycznej logiki, w której „nie-a” może być bardziej wartościowe aniżeli „a” samo?

W grudniu 1995 roku Herling-Grudziński stwierdził, że u Szestowa „nic nie jest kwestią przypadku czy przejęzyczenia, wszystko podlega rygorom solidnego przemyślenia”. Jest moim wielkim marzeniem, aby te słowa Herlinga zainspirowały wreszcie jakiegoś badacza do napisania książki pt. *Anty-Szestow*. Mamy już, co prawda, po polsku monografię Cezarego Wodzińskiego *Wiedza a zbawienie. Studium myśli Lwa Szestowa* (1991) – ale ta książka wyszła spod pióra warszawskiego „mieszkańca Jerozolimy”, prawie cała jest więc w Szestowskim duchu. Tymczasem mnie by chodziło o pracę *Anty-Szestow. W obronie Arystotelesa i zasady sprzeczności*. Powinien to napisać badacz, który jest – wbrew Szestowowi przekonany, iż odrzucenie etycznego umiarkowania („złotego środka”) oraz zasady sprzeczności prowadzi do krwawych rewolucji, z których dotychczas najkrwawsza była rewolucja bolszewicka.

Badacz, który podejmie się takiego zadania, będzie musiał odpowiedzieć na pytanie, dlaczego w dziele Szestowa nie ma miejsca na żadną (nie tylko arystotelesowską i spinozjańską) etykę. Jakże pasjonująca byłaby w tym kontekście odpowiedź na kwestię, dlaczego Szestow w omawianym tu fragmencie *Na szali Hioba* zachwyca się Kiriłłowem z *Biesów*, twierdząc, że racjonalista Dostojewski niesprawiedliwie go uśmiercił? Nie wypowiada natomiast

ani jednego słówka potępienia wobec haniebnego czynu tegoż Kiriłłowa, który na żądanie Piotra Wierchowieńskiego zgadza się przed śmiercią podpisać stosowną „bumagę” – wynika z niej, że to on zabił swego przyjaciela Szatowa... tym samym przyczynia się do bezkarności prawdziwych zabójców-biesów, a może nawet umożliwia im dalsze krwawe zbrodnie. Dlaczego takie właśnie akty możliwe są w Szestowowskim Kiteżu-Jeruzalem?

Na to pytanie niech odpowie przyszły badacz, niech odpowie każdy miłośnik Szestowa.

Do Jerozolimy – przez Ateny, Petersburg i... Kraków (1998)

Rozmowa z Jewgieniem Rejnem*

Grzegorz Przebinda, Janusz Świeży: *Jakie historyczne wydarzenia miały wpływ na pański los. Jakie były, mówiąc językiem Aleksandra Solżenicyna, pana „węzły historii”? Co formowało osobę poety Jewgienija Rejna?*

Urodziłem się 29 XII 1935 r. w Leningradzie, w rodzinie inteligentkiej; ojciec był znanym architektem, a matka – specjalistką od niemieckiej literatury. Dorastałem więc nad Newą, ale potem znaczną część życia spędziłem już w Moskwie... Dzisiaj bardzo tęsknię za Petersburgiem, jestem przecież człowiekiem nostalgicznym, na wskroś nostalgicznym... Dzisiaj mieszkam w Moskwie, ponieważ

* Jewgienij Rejn (ur. 1935), wybitny rosyjski poeta o żydowskich korzeniach, uczeń Anny Achmatowej, mistrz i przyjaciel Josifa Brodskiego. Wychowany w Leningradzie, mieszka w Moskwie, gdzie wykłada w Instytucie Literackim im. M. Gorkiego. Choć debiutował u schyłku chruszczowowskiej odwilży, na pierwszy oficjalnie wydany tomik wierszy musiał czekać aż do roku 1984. Ostatnio opublikował księgę wspomnień *Smutno mi bez Dowłatowa. Nowe sceny z życia moskiewskiej cyganerii* (Sankt-Petersburg 1997). W Polsce znany dzięki tłumaczeniom Piotra Fasta – tomik *Diamenty są wieczne* („Znak” 1997). Autor scenariuszy filmowych, współautor filmów o Brodskim, przewodniczący fundacji „The Friends of Joseph Brodsky”. Gość Czesława Miłosza i Wisławy Szymborskiej na Spotkaniu Poetów Wschodu i Zachodu w Krakowie we wrześniu 1997.

jest tam zwyczajnie łatwiej o pracę, lżej się żyje. Ale i tak bardzo często jeżdżę do Petersburga...

Czy przeżył pan tam oblężenie przez armię Wehrmachtu, gdy miasto przez 900 dni – od lipca 1941 do stycznia 1944 – było odcięte od świata?

Nie całkiem. W czasie blokady wywieziono mnie z miasta, spędziłem rok na Uralu, a potem – jeszcze w czasie wojny moja matka powróciła do Moskwy, ponieważ dobrze znała niemiecki. Wezwano ją na Akademię Wojskową, aby wykładała niemiecki. Myślę że w znacznym stopniu uformowała mnie wojna. Wspominam wojnę jako wielką narodową tragedię. Osobiście pamiętam Leningrad czasów wojny, wojenny Ural i Moskwę wojenną. Straciłem ojca. W pamięci mam straszne i niewiarygodne wydarzenia, bitwę Stalingradzką na przykład... Ogromne znaczenie miała dla mnie śmierć Stalina i odwilż, która potem przyszła. Lata sześćdziesiąte, XX Zjazd i odwilż – to wtedy od nowa poczuliśmy się ludźmi, a nie jakimiś nędznymi śrubkami stalinowskiego systemu. Pod koniec lat pięćdziesiątych powróciliśmy do kontaktów z Zachodem, poznawaliśmy współczesną kulturę Europy... powróciliśmy do rosyjskiej tradycji, na nowo spojrzeliśmy na wiek XIX, na Srebrny Wiek. I znów zamknął się łańcuch tradycji. Bo przecież nie byliśmy liberałami typu chruszczowowskiego.

Jakie rosyjskie miasta odgrywały w sańskiej biografii istotną rolę?

Całą wojnę spędziłem w Moskwie. A po wojnie wróciliśmy do Leningradu. Tak, że wyrastałem już w Leningradzie. Znają panowie Petersburg? Mieszkałem we wspaniałym rejonie, na Fontance – koło mostu Obuchowa... To taka okolica, gdzie każdy dom ma swą historię, niedaleko mieszkał Puszkina, tuż obok – dekabryści, całkiem blisko były koszary pułków gwardyjskich, obok – pałace

petersburskiej arystokracji. I wszystko to widziałem każdego dnia, wyrosłem wśród tego.

To przecież również okolica bliska miejscom wielkich pisarzy drugiej połowy XIX w. Po ulicy Grochowej – na której w czasach sowieckich mieściła się Czeka i która jeszcze w roku 1993 nosiła imię Feliksa Dzierżyńskiego – chodzili przecież bohaterowie Dostojewskiego.

Przeczytałem Dostojewskiego po raz pierwszy w wieku 16-17 lat, miałem pełne wydanie jego dzieł. W ogóle w domu mieliśmy wielką bibliotekę i chyba miało to spory wpływ na moje życie... To, co czytałem przez całe życie...

Blisko pana domu był Plac Sienny, opisany przez Dostojewskiego okrutny rejon z knajpami-spelunkami, pijakami, gdzie chadzał i rozmyślał o zbrodni Rodion Raskolnikow.

W wieku szesnastu-siedemnastu lat już wiedziałem, gdzie byli Raskolnikow ze Swidrygajłowem... Dom na ulicy Podjaczskiej, gdzie miała miejsce „zbrodnia i kara”. Plac Sienny! Pracowałem potem na Siennym. Z całym tym Petersburgiem Dostojewskiego jestem bardzo mocno zżyty.

Jednak władza radziecka nie rozpieszczęła Dostojewskiego, nie publikowała go przez 30 lat.

Tak jest. Ostatnie wydanie Dostojewskiego wyszło, według mnie, w roku 1928, a potem dopiero w roku 1957 ujrzała światło dzienne edycja 10-tomowa... Ale ja miałem w domu edycję Dostojewskiego, która miała wielkie znaczenie w moim życiu. W ogóle, biblioteka dla dziecka, dla pisarza ma znaczenie ogromne. Więc ja miałem to wielkie szczęście.

Josif Brodski nazwał pana „elegijnym urbanistą”, oczywiście – Europejczykiem i petersburżaninem, dziedzicem sławy literatury rosyjskiej. Ale można zauważyć, że nie epatuje pan czytelnika wyznaniem w rodzaju: „Ja – jestem uczniem Achmatowej”, „Ja – kontynuuję tradycję Dierżawina i Brodskiego”. Raczej woli pan pokazać to na poziomie metafory, rytmu czy brzmienia.

Jestem pewien, że bezpośrednio przywoływanie tych czy innych kulturowych realiów – to ułatwianie sobie drogi. Zakorzenie nie powinno być ukazane w głębi, tam gdzie powstają wiersze, w podświadomości. A wymieniać można do woli... Nic to jednak nie daje.

Gdybyśmy jednak – bo to przecież rozmowa, a nie wiersze – poprosili w wymienienie nazwisk rosyjskich pisarzy, których spadkobiercą pan się czuje?

Takich jest wielu... XVIII i XIX wiek... Cała rosyjska literatura jest dla mnie ważna. Gawriił Dierżawin, ogromne znaczenie miał dla mnie Wasilij Żukowski, Puszkina, który siedział ze mną przez całe życie. Jewgienij Baratynski, Lermontow, duży wpływ miał na mnie Nikołaj Niekrasow, którego uważam za wielkiego poetę Petersburga. A potem idą już poeci XX wieku: symboliści – Aleksander Błok i Andriej Bieli, a także poeci najbardziej nam współcześni – Osip Mandelsztam i Anna Achmatowa... Jestem dzieckiem kultury Petersburga. Dla mnie mają znaczenie również takie zjawiska, które na Zachodzie nie są tak znane, np. wspaniała poeta i pisarz Konstantin Waginow, również Michaił Zoszczenko...

U Zoszczenki bliska jest panu zapewne filozoficzna ironia, której używał opisując homo sovietikusa?

Oczywiście. Przecież on nie był humorystą! Był wielkim filozofem! I jak nikomu innemu, udało mu się opisać życie sowieckie, które ja też przeżyłem. Urodziłem się w trzydziestym piątym i to,

co widziałem – to była właśnie sowiecka rzeczywistość. A była ona, powiedzmy, nieprymitywna. Rewolucja zrobiła z Rosji coś dziwnego... wymieszała poziomy... Wypuściła na wierzch jakiś nowy naród, który wyrzekł się kultury... Ten naród stał się inną gałęzią na tym samym darwinowskim drzewie. Jedne małpy poszły prosto, a inne skrzyły w bok. Więc cały naród radziecki to małpy, które skrzyły w bok. I one miały tylko jednego pisarza – właśnie Zoszczenkę, który opisał ten nowy naród. Dlatego był genialny, bezwzględnie. Był uczniem Freuda, Pawłowa, interesowały go wielkie filozoficzne problemy. Nie wolno go uważać za humorystę!

Powiedział pan o swoim zakorzenieniu w rosyjskim poetyckim Srebrnym Wieku. Symboliści tego okresu to poeci „mglistego Petersburga”, czyli platonicy, którzy nasz świat uważali za odbicie metafizycznego świata idei. A poeci „realnego Petersburga”, czyli akmeiści, Mandelsztam, Achmatowa, byli w większym stopniu racjonalistami. Chcieli odnaleźć ideę w tej konkretnej rzeczy. Czyba z nimi jest pan bardziej spokrewniony?

Tak, tak bezwzględnie. Jestem w istocie rzeczy późnym akmeistą. Rzecz jasna, poprzez Achmatową, którą bardzo dobrze znałem, przez moją miłość do poezji Mandelsztama, do poezji Petersburga. Ale uważam się za spadkobiercę zarówno symbolistów, jak i akmeistów. Tu trzeba zrobić parę rozróżnień. Polega to na tym, że akmeizm był bardziej ograniczoną szkołą aniżeli symbolizm. Zresztą akmeiści, np. Achmatowa, wrócili ostatecznie do jakiegoś wzbogaconego symbolizmu. Sądzę, że poezja jest symbolistyczna podług swojej natury.

U Mandelsztama, u Achmatowej, co chyba jest bliższe człowiekowi, do Boga, do Symbolu dochodzimy przez konkretną osobę i przez „tę rzecz”. Jeżeli Achmatowa pisze „Załamata ręce pod czarnym szalem”, to widzimy właśnie tę konkretną rękę i ten szal, a nie ideę szalika.

Słusznie, dlatego że akmeiści dali nam bardziej realną i konkretną formę. Dla nich róża była różą, a nie duchowym kwiatkiem. I ja także wychowałem się w przekonaniu, że poezja powinna się opierać na rzeczowym, konkretnym świecie, na świecie naszych wrażeń. Tekst można podawać tylko przez konkretne rzeczy, te, które nas otaczają. Szklanka – to szklanka przede wszystkim, a dopiero potem jest ona symbolem pojemności.

A jaki jest pański stosunek do rosyjskiej awangardy Srebrnego Wieku?

Jak powiedział Brodski – „Wszyscy byliśmy kiedyś awangardą”. Zaczynałem jako człowiek, który musiał zrobić jakiś krok do przodu. Sądzę, że poezja bez odnowy nie istnieje. Trzeba wykonywać jakiś ruch do przodu. Ale ten ruch nie może być mechaniczny. W poezji ruch ma charakter mikroskopijny. Trzeba przesuwac skalę o bardzo niewielką liczbę milimetrów. Najpierw był Konstantin Szuczewski, potem Błok, potem Achmatowa. Dzisiaj jednak, niestety, awangarda zajmuje się robotą czysto mechaniczną. Wymyśla jakąś „sztuczkę” i wokół tej sztuczki krąży cała literatura. To jednak jest tylko chwyt. A pod nim nie ma już więcej tego nieskończonego łańcucha, który prowadzi ku tradycji.

Czesław Miłosz, bodaj w Rodzinnej Europie, wypowiedział myśl, że Majakowski tylko z pozoru jest wielkim poetą. Wystarczy po nim postukać jak po żeliwnej statui, aby zaraz usłyszeć pusty odgłos ze środka... Tymczasem Brodski, już później, uznawał Majakowskiego za wielkiego poetę... Kto tu miał rację?

Bezwzględnie Brodski! Widocznie Miłosz, nie całkiem odczuwając język, nie rozumiał, jak znaczącym poetą był młody Majakowski. Majakowski przed rokiem 1920 dokonał wielkiej rewolucji w rosyjskiej poezji. Jego wczesne rzeczy, wielkie poematy, *Obłok w spodniach*, *Flet kręgosłupa*, *Człowiek*, *Wojna i świat* – to wielkie, wybitne utwory. Brodski miał absolutną rację. W ogóle Brod-

ski jest do pewnego stopnia powiązany z Majakowskim. To bardzo interesujący temat, ktoś powinien jeszcze o tym pomyśleć.

Jest pan niewątpliwie poetą kultury i cywilizacji. Ale przecież w rosyjskiej tradycji byli i nadal jeszcze są poeci natury, naiwne, niekiedy krnąbrne dzieci, typu Siergieja Jesienina.

Bardzo cenię niektóre utwory Jesienina. Sądzę, że jego wczesne poematy *Inonia*, *Pugaczow* – to rzeczy genialne. Późny Jesienin, a szczególnie Jesienin z epoki *Motywów perskich* jest już dla mnie poetą pseudo-ludowym i nieco prymitywnym. Ale to był człowiek wielkiego talentu. Ja jestem, naturalnie, innym poetą, ale nie cenić Jesienina mógłby tylko głuchy człowiek! Któż jeszcze mógłby napisać *Moskwę karczemną*. Trzeba kochać wszystko to, co posiada talent, co jest naprawdę poetyckie. Nie rozumiem ludzi, którzy lubią tylko to, co jest do nich podobne. Mnie osobiście podoba się wiele z tego, co nie jest do mnie podobne.

Powróćmy na chwilę do Achmatowej. Umarła w roku 1966, pan miał wtedy prawie 30 lat. Z jej śmiercią przerwał się ten poetycki łańcuch?

Ze śmiercią Achmatowej skończyła się wielka tradycja poezji rosyjskiej, tradycja, która ma swoje korzenie w czasach Puszkinińskich, a nawet – przed-Puszkinińskich. Batuszkow, Żukowski, Puszkina, Baratynski, Niekrasow, Szuczewski, Błok, symboliści, akmeiści i Achmatowa – to są wszystko ogniwa tego samego łańcucha.

Poznał pan Achmatową w wieku 12 lat. Niechże pan coś opowie o niej jako poecie i człowieku.

Rzeczywiście, poznałem Achmatową w czterdziestym siódmym, przez ciotkę Walerię Poznańską, która była jej bliską przyjaciółką. A potem, gdy podrosłem, w wieku 20 lat sam przyszedłem do Achmatowej. Z naszej czwórki – bo było nas czworo „Achmato-

wskich sierot”: Brodski, Dmitrij Bobyszew, Aleksander Najman i ja – właśnie ja jestem uczniem w najbardziej właściwym sensie tego słowa. Przecież Brodski jest o wiele bardziej związany z Cwietajewą, w sensie wiersza – to uczeń Cwietajewej. Ale Achmatowa była dla nas nie tylko człowiekiem literatury. Uczyła nas, jak się mamy zachować, nauczyła nas rozumieć świat, tradycję. Ona nie była nauczycielem stylu, lecz nauczycielem życia. I to właśnie miało ogromne znaczenie.

Jak wyglądały te wasze spotkania. Co na przykład Anna Andriejewna lubiła pić?

Piła naturalnie wódkę, uwielbiała zwykłą wódkę. Dosyć dużo piła, nie tyle co Miłosz, ale swoje 7-8 kieliszków zawsze piła. Nigdy natomiast nie piła koniaku ani wina. Lubiła wódkę.

Na ile Achmatowa interesowała się światem za oknem... Czy mogłaby naiwnie i po poetycku zapytać razem z Pasternakiem „Jakie na dworze tysiąclecie?”

Nie... Ona była człowiekiem bardzo zainteresowanym wydarzeniami. Interesowała ją zarówno polityka, jak i życie literackie. Interesowało ją wszystko to, co się dookoła działo... Ludzie, którzy ją otaczali, młodzi poeci i ich życie, ich stosunki z kobietami, środowisko literackie. Dużo opowiadała o swoich czasach, o latach dziesiątych, o Mandelsztamie, Nikołaju Gumilowie, Zinaidzie Gippius, Dmitriju Mierieżkowskim, Błoku. Dla nas było to kolosalnym objawieniem. Przecież władza sowiecka nie wydawała dzieł tych autorów. I to, że Achmatowa przekazała nam tę naukę bezpośrednio, z rąk do rąk – to miało ogromne znaczenie.

Gdy w roku 1914 Niemcy zbombardowali katedrę w Reims, Mandelsztam pisał w wierszu Reims i Kolonia, że po tej wielkiej utracie głośno płaczą nawet dzwony katedry w Kolonii... Anna Achmatowa po upadku Paryża w roku 1940 płakała w swoim

wierszu W roku czterdziestym, jak w czasach Rusi Kijowskiej Jarosławna na murach Putywła. Sądziła, że została „pochowana epoką”.

Tak, Achmatowa była rzeczywiście człowiekiem kultury, pod każdym względem. Rozumiała bardzo wiele z architektury, dobrze znała muzykę. Tłumaczyła nam, że poeta powinien być przedstawicielem kultury, a poezja nie jest samotną wyspą, lecz częścią całości wyższego rzędu. Poezja stoi obok innych zjawisk kultury, obok architektury, muzyki, filozofii, obok tego wszystkiego, co tworzy sobą Instytut Kultury Człowieka. I w odróżnieniu od wielu poetów, którzy nas wtedy otaczali, byliśmy ludźmi kultury. I każdy z nas pielęgnował to w sobie przez całe życie.

Brodski, młodszy o pięć lat, uważał pana za swego nauczyciela. Pojętny uczeń uczy się u dobrego nauczyciela... Skoro jednak uczeń jest dobry, to również nauczyciel powinien się być czegoś od niego nauczyć. Czego więc pan nauczył się od Brodskiego?

Brodski był ostatnim wielkim nowatorem rosyjskiej poezji i jednocześnie – wielkim archaistą. Zwrócił się ku poetyce XVIII wieku, na nowo wykorzystał i przetworzył poetykę Dierżawina, Kantemira, Sumarokowa. Udowodnił, co jest jego największą zasługą, że najważniejszy jest ogrom perspektywy... Wszak poeta nie może być przedstawicielem tylko jednej ograniczonej, wąskiej tendencji. Trzeba oglądać cały świat zarówno w jego czasowej ciągłości, jak i w geopolitycznej zjawiskowości. Dlatego Brodski mógł jednocześnie napisać *Listy z czasów dynastii Ming*, wiersze o antycznym Rzymie, antycznej Grecji... Brodski kontaminował bardzo różne zjawiska: sowiecką rzeczywistość i amerykańską realność, pejzaż Italii i pejzaż Ameryki. Najważniejsze z tego, czego mnie nauczył, to chyba wielkość zamysłu, szerokość spojrzenia. Radziecka poezja jest żebraczką, jej ubóstwo wynika z tego, że nie widziała ona wymiaru Universum. Trzeba być człowiekiem uniwersalnym, dopiero wtedy wzniesie się człowiek nad ziemską realnością.

Poeta powinien być jak astronauta, powinien widzieć historię i geografę z wyższego punktu widzenia, po prostu – z wysokiej perspektywy.

Widzieć z perspektywy i jednocześnie zauważać konkretny szczegół. Dostrzegać religijny sens kultury i cywilizacji... Jednakże rosyjski myśliciel, Lew Szestow, uważał inaczej. Twierdził, chyba niezbyt mądrze, że racjonalnych Aten i religijnej Jerozolimy nie można z sobą pogodzić.

Zgadzam się z wami, a nie z Szestowem. Również uważam, że u Szestowa było za mało głębi w tej dziedzinie. Wasz punkt widzenia jest mi bliski tam, gdzie się mówi, że cywilizacja jest związana z wyższymi siłami i ku nim zwrócona. Ateny i Jerozolima to nie dwa różne bieguny, lecz ulice jednego miasta, które – jak w każdym „megapolis” – przecinają się wzajemnie.

Do Jerozolimy dochodzimy przez Ateny... Wydaje się, że bohater liryczny pańskich wierszy ma taki właśnie światopogląd

Przez Ateny, to pewne! Zgadzam się całkowicie! Macie rację absolutną!

W czasach totalitarnych poeta często walczy z wszechmocną historią, z polityką, z jakimś Stalinem, albo też z liczną rzeszą stalinów. Ale to przecież – obiekt jego walki – ma charakter czasowy, przemijający. Pogański Rzym – Neron, Kaligula – upadł, komunizm odchodzi w niechlubną przeszłość, umierają ludzie, którzy go budowali. Ale przecież nadal i zawsze istnieje CZAS. Działamy w czasie, jesteśmy istotami śmiertelnymi – więc CZAS to nasz główny wróg. Czy przez poezję można osiągnąć to, o czym marzyli za Apokalipsą bohaterowie Dostojewskiego: „I czasu więcej nie będzie”?

Tak jest! Trzeba zatrzymać czas! Dostojewski był pod tym względem genialnym prorokiem. Prorokiem przyszłej ludzkości. W Rosji był jeszcze jeden taki człowiek, Iwan Bunin, wielki poeta, lepszy niż prozaik. Kiedyś powiedział „Nie ma na świecie różnych dusz i czasu też w nim nie ma”. Czas – to jedno „wielkie teraz”, gdzie w istocie nie ma następstwa zdarzeń, nie ma chronologii. Nieprzypadkowo nawet fizyka nie może odpowiedzieć na pytanie: „Co to jest czas?” Czas – to wektor, tak nam się wydaje. Czas płynie do przodu. Ale przecież naprawdę, czas to jeden splątany kłębek. I dlatego w tym samym czasie żyje Platon, Franciszek z Asyżu, Wolter, Puszkina, Achmatowa, Brodski – oni wszyscy są sobie współcześni. Trzeba koniecznie być współczesnym całej ludzkiej kultury. Nawet w sensie bardziej szerokim. Trzeba być współczesnym Egiptu, Aten, Babilonu, Rzymu, średniowiecznej Europy, Europy papieskiej, Renesansu, Oświecenia. I tylko wtedy człowiek staje się jednocześnie spadkobiercą cywilizacji i kultury.

Rosyjska kultura jest wielka m.in. tym, że jej myśliciele drugiej połowy XIX wieku nie pozostali obojętni wobec żadnego z istotnych problemów, jakie nas dręczą do dzisiaj. Ta Rosja zawsze stawiała jedno pytanie: „Kim jest człowiek?” Jedni – późny Wissarion Bieliński, Aleksander Hercen, Nikołaj Czernyszewski, Georgij Plechanow – odpowiadali, że człowiek jest istotą naturalną i historyczną. Śmierć wszystko kończy, a człowiek istnieje dalej tylko w „obiegu materii” i w pamięci ludzkiej. Inni – Piotr Czaadajew, Władimir Sołowjow, Nikołaj Bierdiajew – twierdzili, że zarówno geneza, jak i przeznaczenie osoby ludzkiej ma charakter transcendentny. Ale i oni uważali, że do Transcendencji dochodzimy poprzez kulturę... Dlatego chcieli dokonać aktu syntezy chrześcijaństwa z humanizmem...

Bardziej cenię tę linię, którą reprezentowali Czaadajew, Sołowjow, Bierdiajew, ale przecież nie możemy odrzucać tego olbrzymiego wkładu, jaki wniósł np. Hercen. Także Bieliński miał swoje mocne strony. Lecz żeby jakoś się orientować w przestrzeni, trze-

ba koniecznie stać się członkiem jednej z tych opcji zachowania i myślenia. I w tym sensie ja jestem akurat sołowjowistą! Niestychanie wysoko cenię Władimira Sołowjowa, uważam go za największego geniusza i największe zjawisko rosyjskiej duchowości. Takie rzeczy jak *Trzy rozmowy* – to są podręczniki życia, podług których trzeba układać duchową hierarchię. Trzeba się orientować na Wieczne Jeruzalem.

Niektórzy rosyjscy myśliciele XIX wieku, którzy czuli się związani z chrześcijaństwem, byli zarazem antyhumanistami. Np. Konstantin Leontjew twierdził, że głównym napędem dziejów jest strach Boży, a piękno Boga najlepiej się przejawia w żelaznych prawach natury i historii. Chrześcijaństwo bowiem zostało najlepiej wyrażone nie w Ewangelii, która głosi miłość bliźniego, lecz w pełnych strachu Bożego pismach Ojców Kościoła... Tak mówił rosyjski Zaratustra – Leontjew...

Cenię, co prawda, Leontjewa, ale nie przyjmuję jego, by tak rzec, estetyki historii. Na przykład jego Aleksandra Macedońskiego, który w pierzastym ornacie stoi nad Historią, jeszcze jakoś rozumiem, ale raczej – racjonalnie... W tym sensie jest mi bliższy Dostojewski. Leontjew nazwał jego ideę „dobrego Boga” pogardliwym mianem „chrześcijaństwa różowego”... A ja właśnie uważam, że chrześcijaństwo powinno być religią współczucia względem człowieka, który jest zarówno wiecznym duchowym elementem historii, jak i istotą śmiertelną w sensie materialnym. I na tym polega jego wielka tragedia.

A jaki jest pański osobisty stosunek do chrześcijaństwa, na poziomie wiary?

Niestety, zostałem wychowany w czasach ateistycznych, dopiero życie uczyniło ze mnie przekonanego teistę. Sądzę, że życie jest kierowane przez Wyższe Siły. Formalnie nie należę do żadnej konfesji, ale etyka chrześcijańska, literatura chrześcijańska, litur-

gia mają dla mnie ogromne znaczenie. Życie zostało zrodzone przez Wyższe Siły, a człowiek jest istotą skierowaną ku niebu. I w tym sensie jestem człowiekiem wierzącym. Inna rzecz, iż konfesyjne przegródki nie dochodzą do nieba. Nie należę ani do prawosławia, ani do katolicyzmu, ale jestem przekonany teistą.

Co pan sądzi o Cerkwi prawosławnej, jej aktualnej roli w Rosji po upadku bolszewizmu?

Wydaje mi się – a mówię to z pozycji człowieka, który nie należy do żadnej z konfesji – że w odróżnieniu od Polski, z jej Kościołem katolickim, Cerkiew prawosławna nie poradziła sobie z duchowymi obowiązkami względem społeczeństwa. Najpierw, po 1918 roku, poszła na chwilowy kompromis z komunizmem – takie np. zjawisko jak „siergizm”... Po męczeńskim patriarsze Tichonie był kolaraborant Siergij, który oddał Cerkiew sowieckiemu państwu. Także teraz, w nowej Rosji ma miejsce Igniecie Cerkwi do władzy. W warstwie ideowej nie przyniesie to dobrych efektów, jest bowiem zanadto pragmatyczne. To, co się teraz dzieje w Cerkwi, jest okropne: nowa schizma, kłótnia prawosławnych fundamentalistów z reformatorem, takimi jak ojcowie: Georgij Koczetkow i Aleksander Borisow... Z drugiej strony, patriarcha i fundamentalisci, niesłychanie konserwatywni, którzy pozostają w bardzo bliskich stosunkach z naszą władzą, władzą pluralistyczną, ale skorumpowaną.

A jakie znaczenie dla rosyjskiej kultury i literatury ma to, co się dzieje w Rosji po upadku ZSRR?

Ma to olbrzymie znaczenie, ale jeszcze nie weszło u nas w krwiobieg, nie dotarło do mózgu rosyjskiej literatury. Gdy upadł komunizm, wszyscy oczekiwali niewiarygodnego wzlotu literatury, kultury, sztuki. Ale nic takiego się nie stało. Jest to, być może, proces naturalny dla literatury i sztuki. Nie można od razu i szybko odpowiedzieć na pytania, które zadaje czas. Ani w poezji, ani

w prozie nie znam praktycznie żadnego utworu, który by w miarę wyczerpująco, z artystycznego punktu widzenia, odpowiedział na współczesne pytania. Takiej literatury na razie nie ma. W Rosji zresztą rozwija się teraz nostalgia za komunizmem, nawet wśród inteligencji i młodzieży. Uważam to za głupotę. Ludziom się wydaje, że był żelazny porządek, kiełbasa była tania, była silna struktura... Musimy przejść przez ten brzydki okres rozpadu. Skończyły się nie tylko takie zjawiska, jak rosyjski komunizm, ale upadło przecież zarówno Rzymskie Imperium, jak i Imperium Brytyjskie, także Francuskie... Musimy jakoś przez to przejść. Komunizm już się przeżył i dlatego musiał runąć. Ludzie, którzy tęsknią za przeszłością, nie rozumieją, że tęsknią za KGB, za powrotem łagrów i żelaznej kurtyny. Tego już, Bogu dzięki, nie ma. Zanim w Rosji pojawi się coś bardziej szlachetnego, czyli bardziej poważne społeczeństwo, musimy przeżyć ten okres rozpadu.

Nieśmiertelność dla herosów (1998)

O terrorystach-metafizykach u Dostojewskiego

Spośród bohaterów „Pięcioksięgu Dostojewskiego” – a tak niekiedy określa się cykl jego wielkich powieści powstałych w okresie 1865-1880 – figurą najbardziej obmierzłą jest bez wątpienia Piotr Wierchowieński. W pierwszych scenach *Biesów* jest on jeszcze podobny do Chlestakowa Gogola i gra rolę błazna-awanturnika. Dostojewski skarżył się w jednym z listów, że obraz Wierchowieńskiego staje się wbrew jego zamierzeniom półkomiczny. *Bie-sy* opowiadały jednak o współczesności wcale nie śmiesznej i autor, gdy dopisywał ich kolejne rozdziały, z uwagą śledził ówczesne dramatyczne wydarzenia w Moskwie i Petersburgu. Latem 1871 roku toczył się właśnie nad Nową proces 77 młodych członków „Zemsty Ludu”, którzy dwa lata wcześniej w jednym z moskiewskich parków zamordowali swego towarzysza z konspiracji, studenta Iwanowa, posądzivszy go o zdradę organizacji. Ogromne wzburzenie Dostojewskiego wywołał ujawniony na procesie *Katechizm rewolucjonisty* autorstwa Siergieja Nieczajewa, ukrywającego się w Szwajcarii przywódcy grupy. Pisarz dowiadywał się ze zgrozą, że zbrodnia na towarzyszu nie była pojedynczym wybrykiem młodzieniaszków z moskiewskiej Akademii Rolniczej, lecz stanowiła praktyczny efekt ich konsekwentnego światopoglądu. Nadrzędnym celem było dla nich dobro rewolucji i tu gotowi byli się posłużyć każdą skuteczną metodą. Kierowali się wskazaniem swego guru, a ten w *Katechizmie* wyraźnie mówił, że rewolucjoni-

sta zna tylko naukę zniszczenia i moralne jest dla niego wszystko, co sprzyja tryumfowi światowego przewrotu.

Proces „nieczejców” spowodował, że postać Piotra Wierchowieńskiego nabrała nowych ostrych rysów. Z lekkoducha i papli-wędrowniczka przeobraził się on u Dostojewskiego w demonicznego działacza, który jasno określał swe cele i wiedział, jak je realizować. W pewnym momencie zwierzył się nawet Stawroginowi: „Jestem łajdakiem, a nie socjalistą”. Rozwijając tę myśl, wymieniał swoich sprzymierzeńców: nauczyciela sztychującego z Boga w obliczu dzieci, adwokata usprawiedliwiającego wykształconego zabójcę, bo przecież miał prawo odebrać pieniądze swej prymitywnej ofierze, uczniów mordujących chłopca dla zaspokojenia emocji związanych z okresem dorastania, prokuratora, który drży w sędzi z obawy, że nie jest wystarczająco liberalny... „Gdy wyjeżdżałem – powiada Wierchowieński – panował pogląd (...), że przestępstwo wynika z defektu psychicznego, wracam i oto okazuje się, że zbrodnia nie wynika już z szaleństwa, lecz stanowi efekt zdrowego rozsądku, jest prawie powinnością, szlachetnym protestem... Naród pije, matki pijane, dzieci pijane, cerkwie puste”.

Wierchowieński jawi się tu więc jako prorok *a rebours*, rad z opisanej sytuacji, bo stanowiła dobry punkt wyjścia dla jego autorskiego pomysłu na urządzenie świata. Określenie „autorski pomysł” pojawia się tu nieprzypadkowo, jako że Wierchowieński nie był pospolitym złoczyńcą, ani nawet żadnym przyszłej władzy tyranem. Owszem, przemoc i władza były w jego praktycznym światopoglądzie momentem koniecznym, ale przecież nie one stanowiły ostateczny cel jego pomysłów i działań. Powieści Dostojewskiego miały wymiar polifoniczny, a ich bohaterowie – którzy nie mają racji z autorskiego i naszego punktu widzenia – w samych utworach mają swoją rację. Innymi słowy, nawet najbardziej obmierzłe postaci z powieściowego „Pięcioksięgu” bardzo rzadko kierują się w swym postępowaniu niskimi pobudkami. Więc także Wierchowieński, „łajdak a nie socjalista”, kończy swój wywód tak: „Widziałem dzisiaj sześćioletniego chłopaczka, który prowadził do domu pijaną matkę, a ta wyzywała go od najgorszych. Myśli pan, że

ja się z tego cieszę? Gdy wpadnie w nasze ręce, to ją wyleczymy, jeżeli będzie trzeba, to na czterdzieści lat przegnamy na pustynię... Ale teraz konieczne jest jedno albo dwa pokolenia demoralizacji; demoralizacji o jakiej nikt nie słyszał, podłej, gdy człowiek przekształca się w nędzne, tchórzliwe i okrutne obrzydlistwo (...) Sto milionów głów, to może jeszcze metafora, ale po co się ich bać, jeżeli przy powolnych papierkowych marzeniach despotyzm w ciągu stu lat zje nie sto, lecz pięćset milionów głów”.

Tu chyba nie wystarczy konstatacja, że Wierchowieński postępował zgodnie z zasadą, iż dobry cel uświęca złe środki. On w istocie rzeczy uważał, że dobry cel może być osiągnięty jedynie przy pomocy podłych środków. Źródeł tego prometejskiego łajdactwa trzeba więc szukać głęboko. Gdy bezwzględny w każdej innej sytuacji Pietrusza mówi, że nie cieszą go łzy dziecka przeklinanego przez matkę, to mimo woli zdradza pierwszą przyczynę swego metafizycznego buntu. Wobec tego *Wielki Inkwizytor z Braci Karamazow* stanowi tylko dalszą ewolucję światopoglądu młodego Wierchowieńskiego. Iwan również buntował się przeciwko złu w historii, ponieważ nie mógł znieść też niewinnych dzieci i odrzucał providencjalną tezę, że istoty owe podobnie jak wszyscy dorośli naznaczone są piętnem grzechu pierworodnego: „O dorosłych nie będę mówił dlatego, bo prócz tego, że są wstrętnei i niegodni litości, to jeszcze zasłużyli na odwet: zjedli jabłko, poznali zło i dobro i stali się «jako bogowie». (...) Ale dziatki niczego nie zjadły i na razie za nic nie są winne... I jeżeli cierpią tak strasznie na ziemi, to naturalnie za ojców swoich, pokarane za ojców swoich, którzy zjedli jabłko – ale przecież to tłumaczenie z innego świata jest całkiem niezrozumiałe dla serca ludzkiego tu na ziemi”.

W literaturze o Dostojewskim, gdy polemizowano z tą tezą Iwana, często mówiono, że powieściowi bohaterowie mylili się w sensie doktrynalnym. Z podobnych rozważań miało wynikać, iż negatywni bohaterowie Dostojewskiego opierają swe wnioski na fałszywych przesłankach, a pisarz celowo uczynił z nich herezjarchów, by tym ostrzej skrytykować ich metody naprawy świata...

A jednak tak nie było. Światopoglądowe przesłanki nieprzyjaciół Boga-Stwórcy były często bliskie samemu Dostojewskiemu. Polifoniczność jego powieści wynikała również z faktu, że pisarz zmuszał swych przeciwników do stawiania problemów stanowiących centrum jego własnego światopoglądu. Autor np. sam był przekonany, iż nauka o grzechu pierworodnym nie może być odnoszona do dzieci, a nawet do młodzieży poniżej dwudziestego roku życia. Skąd zaczerpnął tę oryginalną ideę? Z Biblii, z czwartej i piątej części Pięcioksięgu Mojżesza, które kilkakrotnie uznają dwadzieścia lat życia za linię graniczną oddzielającą wiek dziecięcy od dorosłości. W Księdze Liczb (32, 10-11) czytamy, że Jahwe ukarał swój naród za to, iż w czasie wędrówki po pustyni zwątpił on w możliwość dojścia do Ziemi Obiecanej: „Tego dnia zapłonął pan gniewem i przysiągł: Mężowie, którzy wyszli z Egiptu w wieku od dwudziestu lat wzwyż, nie zobaczą kraju, który poprzysiągłem dać Abrahamowi, Izaakowi i Jakubowi, nie okazali mi bowiem pełnego posłuszeństwa”. Księga Powtórzonego Prawa (1, 39) dodaje do tego: „Najmniejsze dzieci wasze... i synowie wasi, którzy dziś dobra od zła nie odróżniają, oni tam wejdą, dam ją im, i oni ją posiadą”. Bohater *Młodzika* powiada: „Tak, jestem marnym młodzikiem i czasami sam nie wiem, co zło a co dobro. Gdyby ktoś wtedy pokazał mi choć ociupinkę drogi, od razu bym zrozumiał i wskoczył na właściwy szlak”. Nie ma większej zbrodni w „Pięcioksięgu Dostojewskiego” niż skrzywdzenie lub poniżenie nieletnich. Dlatego Stawrogin będzie potępiony przede wszystkim za to, że zadrwił nad niewinnością małej Matrioszy, tak samo jak nie znajdzie przebaczenia stary Fiodor Karamazow, który wyrzekł się swych synów. Terrorysty Dostojewskiego opierali więc swój światopogląd na bliskiej samemu pisarzowi ewangelicznej przesłance: „Zaprawdę powiadam wam: Wszystko, co uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, Mnieście uczynili” (Mt 25, 40). Co więcej, uparcie poszukiwali oni także osobowej nieśmiertelności, którą sam Dostojewski w zgodzie z duchem św. Pawła uznawał za fundament chrześcijaństwa i jedyną gwarancję dla moralności i etyki.

Najbardziej demonicznym bohaterem *Biesów* jest inżynier Kiryłow, twórca planu prometejskiego samobójstwa, które ma zapewnić powszechną ziemską nieśmiertelność. Kiryłowa nie zadowalał, tak jak Piotra Wierchowienieńskiego, plan poskromienia pijanej matki, ponieważ w jego umyśle wszystko stawało się marnością w obliczu żądła śmierci. Dlatego chciał – w sensie całkowicie dosłownym – zbudować wieczne życie na ziemi, które miałyby formę przed-śmiertelną i nie musiałyby być potwierdzone faktem „mitycznego zmartwychwstania”. Mówiąc inaczej, Kiryłow pragnął wierzyć w „ziemskie wieczne życie”, a nie w „przyszłe życie pozagrobowe”. Palił lampkę przed ikoną Zbawiciela, ponieważ uważał Go za człowieka „największego na całej ziemi”. Fundament jego heroicznego światopoglądu stanowiło jednak przekonanie, że Chrystus nie zmartwychwstał: „... w środku ziemi stały trzy krzyże. Jeden na krzyżu wierzył do tego stopnia, że powiedział drugiemu: «Dziś jeszcze będziesz ze mną w raju». Dzień się zakończył, obaj umarli, odeszli i nie odnaleźli raju ani zmartwychwstania. (...) Nie było wcześniej ani po Nim nikogo podobnego, co graniczy z cudem (...) A jeśli tak, jeśli prawa przyrody nie oszczędziły również Tego, nawet swojego cudu nie oszczędziły, lecz zmusiły również Jego żyć wśród kłamstwa i umrzeć za kłamstwo, to cała planeta z oczywistości jest kłamstwem i na kłamstwie i głupim żarcie się trzyma. Z tego wynika, że same prawa planety są kłamstwem i diabelskim wodewilem”.

W swoim „projekcie” Kiryłow, po pierwsze, zaprzeczał idei „starego Boga”, który nie spełnił nadziei, to jest nie dał ludziom osobowej nieśmiertelności, po drugie – siebie samego chciał postawić na najwyższym miejscu, by tę nieśmiertelność zapewnić. Świadomość że Boga nie ma, powinna zostać dopełniona przekonaniem, że człowiek sam powinien stać się bogiem. Jest to jednak niewykonalne dopóty, dopóki ludzie boją się śmierci – Prometeusz Dostojewskiego był przekonany, że śmierć nie ma obiektywnych przesłanek, lecz istnieje wyłącznie dlatego, iż ludzie się jej boją. Aby zniszczyć śmierć, wystarczy zabić strach przed nią. Dlatego właśnie Kiryłow zaplanował i wykonał akt eschatologicznego sa-

mobójstwa, które miało być tragicznym wstępem do nowego życia: „Strach jest przekleństwem człowieka... Ale to ja ogłoszę samowolę, to ja mam obowiązek uwierzyć, że nie wierzę. Ja zacznę i skończę, i drzwi otworzę. I zbawię. Tylko to jedno zbawi wszystkich ludzi i w następnym pokoleniu przerodzi ich fizycznie...”

Kiriłłow ogłosił więc możliwość i konieczność zatrzymania czasu wyłącznie wysiłkiem ziemskiego człowieka. Czas bowiem był dla niego „subiektywną ideą”, która niepotrzebnie zabija ludzi. Nowy człowieko-bóg sam więc musi zniszczyć ideę czasu, po to, by urzeczywistnić główną przepowiednię Apokalipsy: „W Apokalipsie anioł klnie się, że czasu więcej nie będzie”. „Brak czasu” oznacza przeto zarówno w Apokalipsie, jak i w planie Kiriłłowa wieczne osobowe istnienie. Gdy jednak w Słowie Objawionym nieśmiertelność była zagwarantowana zmartwychwstaniem Chrystusa, to w projekcie Kiriłłowa miała być następstwem indywidualnego, pierwszego i ostatniego „eschatologicznego samobójstwa”. Dopiero wtedy będzie możliwy raj na ziemi, w którym ludzie będą istnieć „jako bogowie”. Akt poprawiania Boga miał stanowić w oczach Kiriłłowa usprawiedliwienie dotąd bezzasadnej tezy z Księgi Rodzaju, że wszystko, co Bóg stworzył, było dobre. Samobójstwo stawało się więc czymś w rodzaju ósmego i najważniejszego dnia stworzenia. Bohater wyciągał z tego również wnioski dla etyki w czasach przed ostatecznym przeobrażeniem. W świecie przed samobójstwem, jak objaśniał Szatowowi, wszystko było „dobre”, czyli „obojętne”. Gdy ktoś rozbije głowę z zemsty za krzywdę dziecka, będzie to tak samo dobre, jak gdyby tego nie uczynił, podobnie „gdy ktoś z głodu umrze” lub „skrzywdzi i pohańbi dziewczynkę”. W świecie, w którym panuje śmierć, wszystko jest „dobre” i wszystko „jest dozwolone”. Dlatego właśnie Kiriłłow zgadza się iść na układy z Wierchowieńskim, choć go szczerze nienawidzi. Bo przecież dzisiaj wszystko „jest dobre”, a jutro, gdy już nastąpi pierwszy dzień bez śmierci, młody Wierchowieński „będzie rozdeptany”, jak gnida... Na razie jednak Prometeusz i człowieko-bóg *in spe* działa zgodnie z poleceniem gnidy, choćby dla kaprysu... Raj zaczyna się od jutra.

Sam Dostojewski był przekonany, że obraz Kiriłłowa nie był dziełem jego autorskiej fantazji, lecz odzwierciedlał główne cechy i dążenia rosyjskich ateistów, pragnących zbawiać świat własnymi rękami. Mówi się też o wpływie *Das Wesen des Christentums* Ludwika Feuerbacha, które rosyjscy ludzie lat 40. wyrwali sobie z rąk, kto zaś nie umiał niemieckiego – temu opowiadano. A jednak mimo różnych istotnych zbieżności z programem ówczesnych rosyjskich antyteistów plan Kiriłłowa wyraźnie przerastał swą epokę. Przecież nawet Feuerbach ostatecznie pogodził się z faktem, że człowiek jako osoba umiera bezpowrotnie, żyjąc potem tylko w przyrodzie i pamięci bliskich. Czyżby więc Dostojewski, jak niektórzy powiadają, wmówił Kiriłłowowi własne problemy i kazał mu je rozwiązywać w ostrej walce z Bogiem Żydów i chrześcijan? Nic podobnego. Pisarz bynajmniej nie ekstrapolował na rosyjskich XIX-wiecznych wrogów Boga swych własnych trosk egzystencjalnych, lecz w przeblysku geniuszu zdołał przewidzieć dalszy rozwój zsekularyzowanego eschatologizmu w Rosji. Gdy autor *Biesów* tworzył postać Kiriłłowa, nie znał jeszcze doktryny Nikołaja Fiodorowa, który dopiero pod koniec lat 70. stworzył „Projekt Wskreszenia Zmarłych Ojców”. Miał to być proces naukowo-techniczny, który pozwoliłby „zarządzać wszystkimi molekułami i atomami zewnętrznego świata, tak, by to co rozsiane zebrać, a to co rozłożone zjednoczyć, to jest złożyć w ciała ojców, jakie mieli w czasie swej śmierci”. Geniusz Dostojewskiego polegał jednak przede wszystkim na tym, że w obrazie Kiriłłowa przewidział on logiczny rozwój marksizmu i quasi-marksizmu w Rosji. Aleksander Sołżenicyn powiedział przed pięciu laty w Lichtensteinie, że główne nieszczęścia współczesnego świata wynikają z poglądu nakazującego traktowanie śmierci jednostki jako kresu całego kosmosu. *Après moi le déluge* – jak twierdził jeden z bohaterów *Idioty*, śmiertelnie chory Hipolit Tierientjew... Korzenie tego etycznego egoizmu kryją się, jak Sołżenicyn dalej twierdził, w Oświeceniu i marksizmie. Ta teza wywołałaby zapewne polemikę niejednego ortodoksyjnego marksisty, na przykład Plechanowa, który śmierć człowieka uznawał za rzecz naturalną, a nawet za organiczne wzbogacenie

kosmosu. A jednak Sołżenicyn miał rację, choć nie podjął się logicznego uzasadnienia swej tezy. Intuicja śmierci jako nieusuwalnego elementu fizycznego kosmosu stanowiła bowiem wyłącznie centrum marksizmu klasycznego. Sołżenicyn uważa jednak, iż prawdziwym sprawdzianem tej ideologii była praktyka rosyjskiego bolszewizmu, a więc zarówno leninizm, jak i stalinizm. I w kwestii pojmowania indywidualnej śmierci pisarz ma absolutną rację. W ZSRR było stale obecne przekonanie, że śmierć będzie obowiązywać dopóty, dopóki ostatecznie nie zlikwiduje jej nauka. Jeszcze na początku lat 60. „Komsomolska Prawda” zapewniała, że śmierć zostanie zlikwidowana około roku 2000. Jeżeli są prawdziwe krążące od lat pogłoski, że Józef Stalin poważnie sądził, iż lekarze zdołają go uczynić wiecznie żywym w sensie dosłownym, to znów trzeba będzie przywołać Dostojewskiego, który poniekąd przewidział i tę absurdalną sytuację. Oto, co mówił do Aloszy o sobie i pozostałej masie ludzkiej twórca *Wielkiego Inkwizytora*, Iwan Karamazow: „Będą tysiące milionów szczęśliwych dzieci i sto tysięcy cierpiętników, którzy wzięli na siebie przekłętę poznanie dobra i zła. Tamci cicho umrą, cicho zgasną w imię twoje [Chrystusowe], a poza grobem odnajdą jedynie śmierć. Ale my zachowamy sekret i dla ich szczęścia ludzić ich będziemy nagrodą niebieską i wieczną. Albowiem, gdyby coś było na tamtym świecie, to oczywiście nie dla takich, jak oni”...

Dla kogóż więc, zapytajmy, gdyby tam coś było? Odpowiedź nie jest skomplikowana – właśnie dla tej garstki, która tu na ziemi zdołała wziąć w swe ręce losy całego kosmosu. Oto ten wielki cel, dla którego warto było zainwestować owe „sto milionów głów”, cudzych naturalnie. Oto sposób na odnalezienie genu nieśmiertelności dla garstki herosów.

Ciche „Sanctus” (1998)

Po śmierci Alfreda Schnittke

3 sierpnia 1998 roku zmarł w Hamburgu Alfred Garrijewicz Schnittke, ostatni wielki kompozytor Rosji XX wieku, następca Igora Strawieńskiego, Siergieja Prokofjewa i Dmitrija Szostakowicza. Zmarły często powtarzał, że w jego żyłach nie płynie ani jedna kropla rosyjskiej krwi. A jednak jego Ojczyzną była zarówno Rosja, jak i Europa. Miał tu wielkich poprzedników: Siergieja Rachmaninowa, Jaszę Heifetza, Marka Chagalla, Chaima Soutine’a, Annę Pawłową, Władimira Nabokowa i Josifa Brodskiego.

Alfred Schnittke urodził się 24 listopada 1934 roku w mieście Engels (dziś Pokrowsk) koło Saratowa w rodzinie niemieckiego Żyda i rosyjskiej Niemki. Jego ojciec pochodził z Frankfurtu, a matka wywodziła się z Niemców z Powołża, którzy sprowadzili się do Rosji ponad dwieście lat temu. W latach 1764-1774, a więc zaraz po wojnie siedmioletniej w rejonie między Saratowem i Kamyszy-nem nad Wołgą powstało ponad sto niemieckich kolonii. Przesiedlali się przeważnie niemieccy chłopci, którzy odnajdywali tu lepsze warunki uprawy ziemi niż w zrujnowanej wojną ojczyźnie. W październiku 1924 roku powstała autonomiczna republika Niemców Powołża ze stolicą w Engelsie. W sierpniu 1941 roku dekretem Prezydium Rady Najwyższej ZSRR wszystkich Niemców wysiedlono do Kazachstanu i wschodnich rejonów Rosji, a autonomiczna republika nad Wołgą przestała istnieć. W 1941 roku matka Schnittkego pracowała w jednej z gazet w Engelsie – pewnego późnego

wieczoru zamknęła numer i spokojnie powróciła do domu. Naza jutrz ze zdumieniem przeczytała w swej gazecie treść ukazu o wysiedleniu rosyjskich Niemców i dowiedziała się, że została zwolniona z pracy. Jednak rodziny Schnittke nie wysiedlono, ponieważ ojciec zdołał udowodnić, że jest Żydem, a nie Niemcem.

W 1946-1948 przyszły kompozytor przebywał w Wiedniu, gdzie jego ojciec pracował w „Österreichische Zeitung”, wydawanej dla Austriaków przez okupacyjne władze radzieckie. Tu zaczął pobierać lekcje fortepianu, był po raz pierwszy w operze i na koncercie. Jak widać, zajął się muzyką stosunkowo późno, nie miał – co podkreślał – słuchu absolutnego, a i w rodzinie nie było atmosfery muzycznej, jego pociąg do nut ledwie tolerowano, uważając to za fanaberie młodzieńczego okresu. Po powrocie do Rosji uczył się krótko dyrygentury, w latach 1953-1958 studiował w moskiewskim Konserwatorium. Od 1961 do 1972 roku był tu wykładowcą, potem został wolnym muzykiem („*Freischaffend als Komponist und Musikolog*” – jak podawał w dokumentach).

Miał to szczęście, że jego debiut muzyczny przypadł już na czasy chruszczowowskie, wcześniej bowiem zostałyby zaliczony w poczet tych, którzy tworzą „chaos zamiast muzyki”. W 1936 roku pod takim tytułem opublikowano w „Prawdzie” artykuł odznający od czci i wiary operę Szostakowicza *Lady Makbet powiatu mceńskie*go. W lutym 1948 roku Komitet Centralny WKP(b) wystosował *Rezolucję o operze „Wielka przyjaźń”*, potępiającą „muzyczny formalizm” Wano Muradelego, Prokofjewa i Szostakowicza. Niszczeniem rosyjskiej muzyki zajął się wówczas sam Aleksander Żdanow, który dwa lata wcześniej osobiście kierował nagonką na Annę Achmatową i Michaiła Zoszczenkę. Pomagał mu w tym Tichon Chriennikow, który na I Zjeździe Kompozytorów poparł rezolucję partyjną i został wybrany sekretarzem generalnym. Potem walczył o realizm socjalistyczny w muzyce i przez czterdzieści lat wykazywał zdumiewającą wytrwałość w ściganiu twórców awangardowych. Schnittke mu tego nie zapomniał i na Zjeździe Kompozytorów w 1975 roku jako jedyny członek zarządu nie poparł kandydatury Chriennikowa na stanowisko sekretarza generalnego. Gdy w 1978

pozbawiono obywatelstwa Mściława Rostropowicza i Galinę Wiszniewską, Schnittke – m.in. wespół z Sacharowem – podpisał list protestacyjny do Rady Najwyższej ZSRR.

W latach 60. tworzył utwory dla chórów i orkiestr: *Muzykę na fortepian i orkiestrę kameralną* (pierwsze wykonanie w 1965 roku podczas „Warszawskiej Jesieni”), *Pianissimo, Sonatę na skrzypce i orkiestrę kameralną*. W 1965 roku przeczytał *Doktora Żywago*, a w 1977 napisał *Magdalene*, utwór na głos i fortepian do wierszy z powieści Borisa Pasternaka. Dzieło do dziś nie zostało wykonane, ponieważ kompozytor uznał, że nie dorównuje ono wielkości przetworzonej poezji. W 1971-1975 stworzył balet *Labyrinty, I Symfonię*, sceniczną kompozycję *Der gelbe Klang* do libretta Wasilija Kandinskiego i *Requiem* do dramatu Friedricha Schillera *Don Carlos*.

Przywiązywał wielką wagę do związku muzyki ze słowem, był przekonany, że na dnie największych utworów muzycznych ukrywa się Logos: „Mam odczucie, że niektóre idee zostały mi jak gdyby podarowane – nie ode mnie pochodzą... Na przykład finał *Pieruszego koncertu wiolonczelowego* (1985). Albo *Sanctus* w *Requiem* – ta część mi się przyśniła. I przyśniła mi się nie taka, jaka zwykle bywa – pompatyczna. U mnie *Sanctus* jest cichy... To był dar... W ogóle w całym *Requiem* jest coś dla mnie nieobjaśnialnego”.

W wieku 48 lat ochrzcił się w kościele katolickim w Wiedniu, co uważał za kontynuację tradycji rodzinnej matki. W Kościele katolickim poszukiwał ponadnarodowego uniwersalizmu, ale twierdził, że ten uniwersalizm można odnaleźć tylko w Kościele europejskim. Opowiadał na przykład, jak został potraktowany w grekokatolickiej świątyni na Ukrainie: „Pewnego razu byłem we Lwowie, odprawiano mszę w kościele, a kiedy wszyscy poszli do komunii, to i ja uklęknałem. Ale ominięto mnie. Tylko mnie jednego ominięto... W świątyni katolickiej – Żyda”... Dodajmy, że Schnittke poczuł się Żydem w momencie wybuchu wojny. Potem potwierdził to, gdy miał szesnaście lat: „W 1950 trzeba było wyrobić dowód osobisty. Sam miałem określić swoją narodowość. Pamiętam, jak matka obraziła się, że określiłem się jako Żyd, a nie jako Nie-

miec. Ale nie mogłem postąpić inaczej. Byłoby hańbą, gdybym uznał się za Niemca tylko po to, aby wyprzeć się swego żydostwa. I od tej pory uważam się za Żyda – po ojcu”.

Był przekonany, niezależnie od uniwersalizmu języka muzyki, że niektóre dzieła lepiej brzmią w katolickiej Europie, inne zaś lepiej jest wykonywać w prawosławnej Rosji. Twierdził, że jego *IV Symfonia* powinna być wykonywana w Rosji, ponieważ jej część wokalna ma charakter cerkiewny. Tymczasem *II Symfonia* znacznie lepiej brzmi na Zachodzie, gdyż słyhać w niej chóry gregoriańskie. Żalił się niekiedy, że w Europie nie jest rozumiany cały religijny kontekst jego dzieł, np. *IV Symfonii*, tzw. „różańcowej”. Powstała ona z namysłu nad piętnastoma tajemnicami różańca... Radosnymi, bolesnymi i chwalebnyymi... „To jest – mówił – formuła *IV Symfonii*, trzy cykle po pięć. Róża jako symbol Bogarodzicy. Wziąłem to z łacińskiego modlitewnika”.

Niezwykłe dramatycznie brzmią jego rozważania na temat zła i dobra w muzyce. Zło metafizyczne, jak twierdził, kryje się w „szlagierach”, które paraliżują indywidualność. Jeżeli więc w twórczości samego Schnittkego pojawiają się momenty „szlagierowe”, to mają one obcy, polemiczno-ironiczny charakter: „Naturalnie, zło powinno przyciągać. Powinno być przyjemne, kuszące, mieć oblicze czegoś łatwo wpełzającego w duszę, komfortowego, przyjemnego, zawsze przyciągającego. Szlagier – to najlepsza maska dla wszelkiego diabelstwa, to sposób wniknięcia w duszę. Dlatego nie widzę innego sposobu wyrażenia zła w muzyce niż poprzez szlagier”. Jest za to niezwykle trudno pokazać przez dźwięk działanie dobra – Schnittke uważał, że wszelkie „rajskie finały”, jak np. w *Fauście* Lista, czy pozytywne momenty w *VII* i *VIII Symfonii* Szostakowicza brzmią bardzo blado w porównaniu z potęgą przedstawionego tam zła. Walka ze złem, jak twierdził, możliwa jest tylko wtedy, gdy twórca ma intuicję, że „świat jest uporządkowany”, że „dziedzina duchowa jest ustrukturyzowana i sformalizowana podług swej natury”: „Bardzo wiele mnie w tym utwierdza, w tym także wydarzenia z mojego życia, gdzie tak wiele rzeczy «się rymuje», dokonują się jakieś repetycje, albo nieuchronnie nadciągają

kary za odejście od tego, co powinienem był robić... Mam wrażenie, że istnieje jakiś wyższy porządek. Cała dysharmonia tego świata, wszystko, co jest potworne i nieobjaśnialne, straszne, niepojęte podług swej istoty, czego nie mógł zrozumieć Iwan Karamazow – również to jest częścią owego porządku”.

W roku 1977 Schnittke rozpoczął podróże na Zachód i od tego czasu bardziej niż we własnej ojczyźnie był znany i ceniony w Europie. W 1979 roku skomponował *II Symfonię*, po raz pierwszy wykonaną w Londynie. Jego *Symfonii* od *III* do *VII* słuchano w 1981-1994 na premierach w Lipsku, Moskwie, Amsterdamie i Nowym Jorku. W 1986 roku skomponował balet *Peer Gynt* do dramatu Henryka Ibsena, którego premiera odbyła się w Hamburgu w trzy lata później. W 1989 roku zorganizowano w Sztokholmie Alfred-Schnittke-Festival, podczas którego wykonano czterdzieści jeden utworów kompozytora. Był autorem czterech koncertów skrzypcowych i dwóch wiolonczelowych. W latach 1990-1994 napisał dwie opery: *Życie z idiotą* do libretta Wiktora Jerofiejewa i *Historię doktora Johanna Fausta*, wystawione w Amsterdamie i Hamburgu. W 1997 roku został nagrodzony Wielką Rosyjską Nagrodą „Sława/Gloria”, jednak ze względu na chorobę nie mógł jej odebrać osobiście.

Przez parę ostatnich lat mieszkał i pracował w Niemczech. Swą ostatnią *VIII Symfonię* skomponował już w ciężkiej chorobie. W marcu 1998 roku odwiedził go Rostropowicz, mówiąc zaraz potem: „Pomimo że stracił mowę, zdolność poruszania się i jest na stałe przykuty do łóżka, rozumie wszystko. Jego wulkaniczny geniusz nadal przejawia się w jego muzyce”. 11 sierpnia w Wielkiej Sali moskiewskiego Konserwatorium odbył się koncert żałobny, którym dyrygował Rostropowicz. W tym samym dniu zgodnie z wolą żony i wdowy Alfred Schnittke został pochowany w obrządku prawosławnym na moskiewskim Cmentarzu Nowodziwiczym. Spoczywa teraz obok Dmitrija Szostakowicza, Siergieja Prokofjewa, Nikołaja Gogola, Antona Czechowa i Michaiła Bułhakowa.

Tarkowski – rosyjski geniusz całopalenia (1999)

O polskiej edycji *Dzienników* Andrieja Tarkowskiego

Pierwsza w świecie publikacja trzytomowych *Scenariuszy i Dzienników** Andrieja Tarkowskiego (dotąd jej nie było nawet po rosyjsku!) to wydarzenie kulturalne i artystyczne o skali ogromnej.

* A. Tarkowski, *Scenariusze*, t. I-II, ss. 314+344 (tłumacze różni); *Dzienniki*, ss. 560 (przełożył i opracował Seweryn Kuśmierczyk). Warszawa, Instytut Sztuki Polskiej Akademii Nauk 1998. W komentarzu do *Dziennika*, niestety, aż się roi od elementarnych błędów rzeczowych (ale nie w dziedzinie „tarkowskologii”, bo tu S. Kuśmierczyk jest zaiste bezbłędny). Parę przykładów z brzegu: słynna baletnica Maja Plisiecka wcale nie zmarła w 1998, bo nadal tworzy w Niemczech (21 III 1998 zmarła za to Galina Ułanowa, więc może stąd ta bolesna pomyłka?), występujący kilkakrotnie w tekście „Marczak”, to naturalnie Samuel Marszak, autor utworów dla dzieci, a „Babyszew” to w istocie D. Bobyszew, poetycki uczeń Anny Achmatowej i osobisty wróg J. Brodzkiego (poszło o kobietę); filozof K. Leontjew zmarł na szczęście nie w 1937, lecz o 46 lat wcześniej. Przekład raczej dobrze się czyta, lecz chyba zawiera on sporo nieścisłości i błędów, skoro widać je gołym okiem, nawet bez dostępu do oryginału. Np. Kantowska „powinność” bez przerwy jest tłumaczona w *Dzienniku* jako „dług” (kalka z rosyjskiego), a w pewnym miejscu pojawia się takie oto *curiosum* „Hamlet kazał długo żyć” (opatrzone zabawnym dla zorientowanego czytelnika komentarzem o „ożywianiu trupów” przez duńskiego księcia). Rzecz jednak w tym, iż rosyjski frazeologizm *prikazat' dolgo żyt'* znaczy po prostu „umrzeć” (Tarkowski zwyczajnie skarżył się, że jego teatralna inscenizacja „umiera”, gdyż władze narzucają mu nieodpowiednich aktorów). A jeśli np. reżyser pisze, iż chciałby przeczytać *Zmierzch Zachodu...* A. Schopenhauera, to czemu polski komentator nie objaśni, gdzie takie dzieło można byłoby dostać?

Jest to bez wątpienia najpoważniejsza po roku 1989 polska edycja jednego z pomników XX-wiecznej kultury rosyjskiej, wielkiego i obszernego dzieła zmuszającego człowieka do gorączkowej i zachłannej lektury. Kto w Polsce w ostatnich latach narzeka na słabą obecność rosyjskiej kultury, dostaje oto dzisiaj do ręki dzieło porywające.

Ale jednocześnie publikacja Tarkowskiego (*Dzienniki!*) wkrótce wywoła lawinę nieprzychylnych komentarzy, bo i rzeczywiście może ona doprowadzić do rozpacy nawet czytelnika o nerwach jak posttronki. Głównie z powodów światopoglądowych, ale również z tego względu, że reżyser nagadał tu wiele okropności o otaczającej go „ludzkiej masie”, w skład której wchodził m.in.: poeta i pieśniarz Bułat Okudźawa, rzeźbiarz Ernst Niezwiasty, reżyser teatralny Georgij Towstonogow oraz reżyser filmowy Grigorij Czuchraj. Tarkowski przypomina ową przysłowiową Pasternakowską gąbkę, ale taką, która bezrozumnie chłonie wszystko, czego dopadnie, idee i pseudoidee, obrazy, plotki i pomówienia, przy okazji dokonując aktu zniszczenia samego siebie i wszystkiego, co płynie dookoła.

Jakie piękno zbawi świat?

Trzytomowa edycja stanie się na długie lata – zarówno dla amatorów, jak i profesjonalistów literatury oraz kina – podstawowym polskim źródłem wiedzy o Andrieju Tarkowskim, najwybitniejszym rosyjskim reżyserze II połowy mijającego stulecia i – jak to teraz wyraźnie widać – interesującym pisarzu i poszukującym myślicielu. To wielkie dzieło i obszerne dzieło – a będę tu mówił tylko o *Dziennikach* zapisywanych (ale nie do druku) w latach 1970-86 – jest również zakorzenione w rosyjskiej XIX-wiecznej kulturze i podejmuje wszystkie fundamentalne kwestie „rosyjskich chłopców”, którzy jak u Dostojewskiego, dyskutują w zakopconych szynkach o kwestii istnienia Boga, nieśmiertelności duszy ludzkiej, istocie wolności człowieka i jego heroicznej twórczości

(„Piękno zbawi świat” – jak miał powiedzieć książę Myszkina u Dostojewskiego). Dla mnie jednak najbardziej frapującymi fragmentami *Dzienników* są te miejsca, gdzie autor chce dotrzeć do istoty twórczości i zastanawia się, w jaki sposób mogłaby ona zapewnić człowiekowi nieśmiertelność. Sądzę nawet, że nie chodzi tu o ograniczone czasowo istnienie w ludzkiej pamięci, czy też w pozostawionym potomności dziele (trywialne *exegi monumentum...*, którym mogliby się w ostateczności zadowolić rosyjscy agnostycy: Iwan Turgieniew i Anton Czechow), lecz o konkretną osobową nieśmiertelność, a więc taką, którą obiecała człowiekowi Ewangelia i Apokalipsa. Anioł klnie się w Apokalipsie, że „czasu więcej nie będzie” (Ap 10, 6) – jakże często ta fraza spływała spod pióra Dostojewskiego, jednego z wielkich ideowych antenatów, a zarazem „przeciwników” Tarkowskiego! „Świadomość realności czasu – podaje Tarkowski za rosyjskim myślicielem początku wieku, Lwem Łopatinem – jest najbardziej oczywistym, najbardziej dokładnym i najbardziej nie dającym się określić dowodem ponadczasowej natury naszego Ja.” Wypis z Siergieja Askoldowa-Aleksiejewa: „W artykule «Czas i jego znaczenie religijne» wyróżnia on czas fizyczny, psychiczny i ontologiczny. W czasie ontologicznym przeszłość nie umiera i w tym zawiera się rękojmia nieśmiertelności”. Z Bierdiajewa: „Twórczość to dobroczynna energia, to podstawa życia... nie jest zwrócona ani ku przeszłemu, ani ku przyszłemu, lecz ku wieczności”. Sam Tarkowski o czasie: „Jestem przekonany, że Czas jest odwracalny. Naturalnie nie w sposób linearny”.

Reżyser, który twierdził czasem, że jest agnostykiem, musiał być przekonany, że za darmo nic nie ma, a osobowa nieśmiertelność to tylko obietnica, która stanie się szkodliwym złudzeniem, jeśli nie zostanie poparta heroicznym twórczym aktem. Nieprzypadkowo na łamach *Dzienników* pojawia się imię rosyjskiego maga-myśliciela, a zarazem bibliotekarza Nikołaja Fiodorowa (1828-1903), który na przełomie stuleci stworzył równie gigantyczny co szalony Projekt Wskrzeszenia Zmarłych Ojców. Miał to być proces naukowo-techniczny, pozwalający „zarządzać wszystkimi molekułami i atomami zewnętrznego świata, tak, by to co rozsiane zebrać, a to co rozłożo-

ne zjednoczyć, to jest złożyć w ciała ojców, jakie mieli w czasie swej śmierci”. Tarkowski notuje: „Bibliotekarz Nikołaj Fiodorowicz Fiodorow. (Jego teoria potwierdzała fizyczne zmartwychwstanie zmarłych)”. Nigdzie indziej u Tarkowskiego Fiodorow już się nie pojawia, ale z *Dziennika* często przezierają podobne oświeceniowo-romantyczne tęsknoty. „Chyba znalazłem cel – pisze Tarkowski w 1976 roku – trzeba nakręcić film o Jezusie”. Niechże jednak nikt nie sugeruje, że jest to myśl chrześcijańska, gdyż taki super-ekumenizm byłby już doprawdy za daleko posunięty. Jezus przecież pojawia się jeszcze dwukrotnie w *Dziennikach* w następujących kontekstach: „Ludzie (każdy człowiek), mogą istnieć na siedmiu poziomach. Każdy jest wyższy od drugiego. Jest test, dzięki któremu określa się ten poziom. Właściwie nie test, tylko sposób. Przeprowadzono ze mną taki test i stwierdzono, że jestem na trzecim stopniu. To bardzo wysoko. Chrystus był na czwartym” (notatka z 1981 roku). I drugi fragment o Jezusie, tym razem napisany już w chorobie, co też może stanowić jakieś wytłumaczenie: „Jezus czuje się w pewnym sensie winny wobec Judasza. Jezus uległ nieubłaganej konieczności, która ma uczynić z Judasza zdrajcę. Uważnie obserwuje, jak stopniowo dojrzewa w Judaszu idea zdrady, jak zdumiony Judasz zaczyna się jej podporządkowywać. Jezus, niczym człowiek podający drugiej osobie truciznę, niecierpliwie oczekuje na efekt jej działania”. Bo i rzeczywiście, gdy człowiek coś takiego czyta, miałby ochotę krzyknąć za Bułhakowskim prokuratorem Judei: „Trucizny mi dajcie, trucizny”!... żebym już dalej nie musiał uczestniczyć w „Andrieja Tarkowskiego wadzeniu się z Chrystusem”... I może rzeczywiście trzeba byłoby pozostawić go tutaj, razem z New Age, gnostycyzmem, seansami spirytystycznymi, w których namiętnie uczestniczył (w 1973 pytał nawet ducha Borisa Pasternaka, ile filmów nakręci i słyszał w odpowiedzi: „Mało, ale dobre”), technikami kontemplacji i jogą, której podobno nauczył go Michelangelo Antonioni... A jednak jest to dzieło wielkie i fascynujące!

Reżyser lubił podkreślać, że jego ideowym przodkiem jest Lew Tołstoj, z etycznym chrześcijaństwem, dostrzegającym nieusuwalną

sprzeczność pomiędzy ideałem duchowym a światem materialnym. Mówi się nawet o „kompleksie Tołstoja” Tarkowskiego. Jednak jego wizja świata i człowieka, koncepcja sztuki i sztuki w istocie nie mają niczego wspólnego z tołstoizmem. Autor *Wojny i pokoju* – gdy już odrzucił swą młodzieńczą koncepcję „artysty-wybrańca”, zawartą w opowiadaniu *Albert* (1857) – był z gruntu antyprometejski, demokratyczny, a nawet siermiężno-ludowy i do szpiku kości antymodernistyczny. W eseju *Co to jest sztuka?* (1897) potępił wszelki estetyzm, był więc także wrogiem modernizmu, nim jeszcze ten w pełni rozkwitł (a potem uosobił się po raz kolejny w wielkim dziele Andrieja Tarkowskiego). Twórcy zaś *Andrieja Rublowa* była bardzo bliska romantyczna koncepcja artysty jako demiurga. Dla badacza poetyki filmów późnego Tarkowskiego wielkie znaczenie będą mieć wypisane przez niego fragmenty z Pawła Florenskiego i Wiaczesława Iwanowa: „Sztuka to zapłodnione senne marzenie” (Florenski). „Symbol tylko wtedy jest prawdziwym symbolem, kiedy jego znaczenie jest niewyczerpane i nieograniczone... jest tworem organicznym jak kryształ... jakby monadą – co odróżnia go od złożonych, poddających się analizie struktur alegorii i porównań... Symboli nie możemy objaśnić, pozostajemy bezradni wobec ich zakrytego tajemnicą sensu”. A więc sztuka jako ikona, „okno wieczności”, urzeczywistnienie „wiecznej chwili” doktora Faustusa. Na pohybel marnej rzeczywistości, w której rządzi towarzysz „od kina” Filip Jermasz (radziecka wersja tow. Szmaciaka). Dla odtrutki mogliśmy tu przywołać piękny wiersz Władimira Sołowjowa w tłumaczeniu Leszka Kołakowskiego:

A przecież widzisz, moja miła,
 Że wszystkie światy te widome –
 To jeno cień i migotanie
 Rzeczy przed okiem utajonej.

W „symbolizmie” Tarkowskiego jest jednak sporo obcego Sołowjowowi Nietzscheanizmu (reżyser nieprzypadkowo w 1981 z taką gorączkowością poszukiwał *Tako rzecze Zaratustra*, a po-

tem długo odnajdywał tam historię z Karłem, którym sam być nie chciał). Więc kimże w końcu jesteś, Andrieju Tarkowski? Wiecznym buntownikiem jak Kain Byrona, zabłąkanym Prometeuszem jak Bierdiajew, rosyjskim uczniem Platona, czego chce dowieść S. Kuśmierczyk, czy też wybitnym przegranym jak Samuel Beckett (o czym znów pisze Tadeusz Sobolewski)? A może jesteś wszystkim po trochu i zarazem ludzkim kryształem, osobową monadą, której, jak symbolu, nie da się rozłożyć na czynniki pierwsze? Niechże mi jednak wybaczą wszyscy wielbiciel Tarkowskiego, że najlepszą jego osobową charakterystykę znów oto odnajduję w dziele wielkiego Sołowjowa, a właściwie w jednym jego fragmencie, odniesionym do autora *Tako rzecze Zaratustra*. Chcąc być nadczłowiekiem, pisze Sołowjow, Nietzsche był jedynie „nadfilologiem” i nie wytrzymał tego zwycięstwa nauki nad własnym duchem postradał zmysły. Tako rzecze Sołowjow o Nietzschem, a ja tu odnajduję złoty klucz do interpretacji osobowości samego Tarkowskiego, wielce tragicznego „nadreżysera”, który na dodatek przeszedł szlak od uniwersalizmu do zabarwionego narodowym sosem rosyjskiego mesjanizmu. Jak wielu rosyjskich emigrantów i podróżników, poczynając od Aleksandra Hercena i Fiodora Dostojewskiego, a na Aleksandrze Sołżenicynie kończąc... Najpierw twierdził: „Puszkina jest najwybitniejszy, ponieważ nie przydawał Rosji sensu absolutnego” (16 IV 1979). A w piątek 11 XII 1981 z powagą zapisał w *Dziennikach*: „Rosja całemu światu powie największe słowo, jakie ten kiedykolwiek słyszał”. I bynajmniej nie chodziło mu o „stan wojenny” w Polsce, wprowadzony za dwa dni w nocy z soboty na niedzielę.

Tarkowski a sprawa polska

W Polsce Tarkowski miał i nadal ma na szczęście wielu wiernych przyjaciół (stąd przecież ta fundamentalna edycja po polsku, pierwsza w całym świecie!), ale on sam akurat nie należał do tych, którzy by mogli powiedzieć to, co ostatnio w Krakowie oświadczył

autor *Wiernego Rustana*, Gieorgij Władimow: „Wielki wpływ na mój światopogląd wywarło polskie kino, takie filmy jak *Kanał*, *Popioły*, *Popiół i diament* Andrzeja Wajdy, *Pociąg* Jerzego Kawalerowicza. Wajda przyjeżdżał do Moskwy z Beatą Tyszkiewicz. Potem przyszło nowe polskie kino, które zastąpiło u nas włoski neorealizm... No, a potem to już była «Solidarność». Bardzo zazdrościliśmy wam, Polakom, zorganizowania i porządku”. Polska, Polacy i polska kultura pojawiają się tu zaledwie w paru miejscach i to wyłącznie *ad marginem*. Gdzieś drobna wzmianka o *Człowieku z marmuru* A. Wajdy, w innym miejscu gorzka uwaga, że „w Polsce jest bardzo źle, można się wszystkiego spodziewać” (grudzień 1982). Tym bardziej więc należy się szczerze radować z takich np. fragmentów: „Byłem w Polsce. Warszawa, Katowice, Poznań. Widziałem się z Beatą Tyszkiewicz, Andrzejem Wajdą. Beata chce, żebym pomógł jej w napisaniu scenariusza według Cortazara” (notatka z 18 XI 1979). Już na emigracji Tarkowski spotykał się z Zanusim, z którym łączyła go serdeczna zażyłość. Notatka z 27 IX 1986 jest jedną z najbardziej celnych osobowych charakterystyk *Dzienników*: „Odwiędził nas Krzysztof Zanussi. Wprawdzie jak zwykle nie miał czasu i nie mógł zostać u nas choćby na dwa dni. Zamierza kręcić nowy film. Podobno ma już gotowy scenariusz. Pracuje w teatrze, przygotowuje się do wystawienia opery, tryska energią i pomysłami. Bardzo się z tego ucieszyłem. Podzielił się wieloma nowinami, był jak zwykle czarujący. Zawsze cieszę się z jego przyjazdu”... Dodajmy, że ta wizyta Polaka u przyjaciela-Moskala miała miejsce na trzy miesiące przed śmiercią Tarkowskiego. Najbardziej jednak ciekawym i jednym z najwcześniejszych „polskich związków” Tarkowskiego była praca nad filmem *Solaris* wg Stanisława Lema (1971). Doszło wówczas (o czym przypomina w pierwszym tomie *Scenariuszy* Seweryn Kuśmierczyk) do konfliktu między rosyjskim reżyserem a polskim pisarzem. Lem mówił: „Do tej adaptacji mam zasadnicze zastrzeżenia. Po pierwsze, życzyłbym sobie zobaczyć planetę Solaris, ale niestety reżyser mi tego nie umożliwił, bo jest to przecież kameralne. A po drugie – co powiedziałem Tarkowskiemu w jednej z kłótni – on wcale nie nakręcił

Solaris, ale *Zbrodnię i karę*” (...) A w innym miejscu: „U mnie Kelvin decyduje się pozostać na planecie bez odrobiny nadziei, a Tarkowski stworzył wizję, w której pojawia się jakaś wyspa, a na niej chatka. A kiedy ja słyszę o chatce i wyspie, to mało ze skóry nie wyjdę z irytacji... Po prostu sosy emocjonalne, w których Tarkowski zanurzył moich bohaterów, nie wspominając już o tym, że amputował zupełnie pejzaż scjentyczny i wprowadził moc dziwactw, są dla mnie zupełnie nie do zniesienia”. I chyba nie tylko dla Lema... Ale Tarkowski miał przecież święte prawo powiedzieć: „Chęć nakręcenia *Pikniku* przypomina moje nastawienie przed realizacją *Solaris*. Jest to pragnienie związane z możliwością poruszenia w sposób legalny problematyki transcendencji”.

O ludziach i miłości własnej

Z tej książki, jako że Tarkowski pisał przecież wyłącznie o sobie samym i otaczającej go ludzkiej masie, nie dowiemy się niczego o tzw. Duchu Epoki – prześladowany (nieomal jak Bułhakow) przez funkcjonariuszy od „spraw kultury” i podrzędnych dygnitarzy partyjnych, reżyser pisze np. tak: „W «Głosie Ameryki» podali, że lekarze amerykańscy jadą do ZSRR, żeby leczyć Breżniewa i zabierają ze sobą aparat do badania mózgu. Mój Boże! Co się stanie, kiedy on umrze? Co się wtedy będzie działo? W którą stronę pójdziemy? Jeden Bóg raczy wiedzieć. Wie też i to, że lepiej nie będzie, a tylko gorzej” (15 IV 1979). Wiemy, że te *Dzienniki* nie były przeznaczone do druku, ale jakieś resztki przyzwoitej orientacji trzeba było wykazać nawet wobec samego siebie. Ale czy pewnej rekompensującej satysfakcji nie da czytelnikowi fragment o Mao Tse-tungu: „Umarł Mao Tse-tung. Błahostka, ale przyjemna” (10 IX 1976). Albo o Michale Susłowie: „Wczoraj umarł Susłow. I tak zbyt długo przykręcał nam śrubę!” (26 I 1982). Tym bardziej, że śmierć chińskiego autora *Czerwonej książeczki* i rosyjskiego ostatniego „prawdziwego komunisty” przeczy w końcu jednemu z najbardziej pesymistycznych, a zarazem zgodnych niestety z rzeczywistością fragmentów *Dzien-*

ników: „Umierają dobrzy ludzie, szubrawcy żyją dalej. Łajdakom jest łatwiej żyć” (11 III 1973). I właśnie tacy „łajdacy” domagali się od Tarkowskiego zmian w scenariuszach, w imię moralności socjalistycznej i zadufanego w sobie „dialektycznego materializmu”; partia żądała, aby zmienił scenariusz o E. T. A. Hoffmanie w dwóch miesiącach, tam gdzie Hoffman „nie może tworzyć bez ponczu i gdzie w toaście wypowiada słowa o niepoznawalności świata”. Albo żądali ci naprawdę brzydki ludzie, żeby zamiast o Dostojewskim wziął się do kręcenia filmu o Leninie.

Ale sam Tarkowski mógłby zapytać za autorem *Doktora Żywa-go*: „Jakież to, panowie, mamy na dworze tysiąclecie?” Tak jak Gombrowicz notuje on: „Wszystko zaczyna się od miłości własnej, to ona jest pierwsza. Inaczej niemożliwe staje się polubienie innych, niemożliwe staje się ich pokochanie. Kochaj bliźniego swego jak siebie samego... Ot punkt wyjścia, tzn. zero: Ja persona”. Przecież to musiało powstać pod wpływem twórcy etycznej teorii „rozumnego egoizmu” i jednocześnie zagorzałego antyteisty, A. Hercena, piszącego, że egoizm to *feste Burg* ludzkiej godności. Bez wątpienia zabiłby Tarkowskiego Dostojewski, nienawidzący Hercena i wszelkiego, nawet rozumnego egoizmu. To, że reżyser przez całe życie pragnął zrealizować film o twórcy *Idioty* i w końcu tego nie uczynił, wcale nie wynikało z problemów natury organizacyjnej. Mimo wszelkich podobieństw światopoglądu autora *Idioty* i twórcy *Ofiarowania* są skrajnie różne. U Tarkowskiego – inaczej niż u Dostojewskiego – nie ma śladu pokory ani najmniejszej wyrozumiałości i współczucia dla innych; jest on raczej tym słońcem, wokół którego wszystko krąży, wyłącznie po to, żeby zostać zwięglonym (u Dostojewskiego takim „słońcem” jest Raskolnikow, o czym zresztą mówi mu w oczy śledczy Porfiry). Uciekał też Tarkowski w głąb siebie samego. „Zgiełk wśród ludzi” traktował jako apokalipsę spełnioną, czyli prawdziwy koniec świata. Ucieczka od szumu świata i delfijska dewiza „Poznaj samego siebie” uratowała już w Rosji wielu myślicieli i pisarzy: Piotra Czaadajewa, Aleksandra Sołżenicyna, Władimira Bukowskiego... Ale już chyba nie Tarkowskiego. Z *Dzienników*: „Jakże często jestem nieobiektywny

w ocenie ludzi, którzy mnie otaczają”. Zaiste! Jakże bowiem inaczej można byłoby się odnieść do opublikowanej bez najmniejszej zę-nady przez polskiego wydawcę i nie opatrzonej najmniejszą nawet uwagą oszczerczej notatki o Bułacie Okudźawie: „Smutek. Boli mnie głowa. Dzwonił Wołodia Maksimow. Twierdzi, że Marina Vlady i Okudźawa współpracują z KGB. To może być prawda”. Najlepszym komentarzem do podobnych oszczerstw i wstrętnych kalum-ni mógłby zresztą posłużyć inny fragment *Dzienników* Tarkowskiego: „Oszczerstwo jest dlatego okropne, że ofiarą niesprawiedliwości jest jedna osoba, a niesprawiedliwość tę tworzą dwie osoby, ta która rozgłasza oszczerstwo, i ta, która w nie wierzy”.

Jest w *Dziennikach* coś z niecierpliwego maksymalizmu wielkiej Nadzieży Mandelsztamowej i bezlitosnego Aleksandra Wata, stąd trudno tu ufać charakterystykom osobowym, szczególnie, jeśli odnoszą się one do kolegów-reżyserów. Najbardziej chwali Tarkowski pisarzy, szczególnie tych, którzy już dawno zeszedli z tego świata (E. T. A. Hoffmann, F. Kafka, M. Bułhakow, F. Dostojewski). Niekiedy jednak dostaje się po równo zmarłemu pisarzowi i żyjącemu koledze-reżyserowi: „Przeczytałem *Kuszenie świętego Antoniego* Flauberta. Jest to dzieło wybitnie intelektualne, mało oryginalne, pompacyjne. Sierioża Paradżanow mógłby z tego zrobić znakomitą adaptację”. O Georgiju Towstonogowie, najwybitniejszym rosyjskim reżyserze teatralnym II poł. XX wieku, następcy wielkiego K. Stanisławskiego i K. Meyerholda, czytamy: „Przyśniła mi się kolejna premiera G. Towstonogowa. Jakaś klasyka, przeróbka z prozy. Przeraził mnie nudne, a w rezultacie cyniczne i wieloznaczne”. O Czuchraju, współtwórcy kina odwilżowego, reżyserze filmów prawie tak samo uroczych, jak *Lecą żurawie* Michaiła Kałatozowa z piękną Tatianą Samojłową: „Jest głupi, zakochany w sobie i pozbawiony talentu. Przed laty, dzięki swoim filmom *Czterdziesty pierwszy* i *Ballada o żołnierzu*, stał się ideologiem mieszczaństwa. Rozkapryszony, zawodny próżny człowiek. Nie można mu ufać”. O A. Kurosawie, w 1975 po wyświetleniu w Cannes *Dersu Uzaty*: „Festiwal był okropny. Mówią, że Kurosawa nakręcił bardzo niedobry film”. A po *Sobowtórze* (1980): „Mówią, że film Kurosawy (*So-*

boutór – film samurajski) jest dobry, ale znacznie gorszy od *Stalkera*". O *Czasie Apokalipsy* F. Coppoli: „Bardzo kiepski aktor w głównej roli, zła dramaturgia. Film bez kręgosłupa. Ożywiony komiks”. Gdy F. Fellini zdziwił się w 1974, że Tarkowski otrzymuje mniejsze honorarium niż Siergiej Gierasimow (też zresztą dobry reżyser, twórca *Cichego Donu*), zasłużył na uwagę: „Fellini jest wspaniałym i głębokim człowiekiem”. Ale już w 1980 przyłączył się do chóru jego krytyków: „W czasie festiwalu w Cannes pisano w gazetach, że ostatni film Felliniego to zupełna kłapa, a on sam już nic nie znaczy. Straszne. Niemniej jednak to prawda, jego film jest rzeczywiście marny” (chodzi o *Miasto kobiet*). Za najlepszego współczesnego włoskiego reżysera uznawał Tarkowski Antonioniego, ale i tak mu współczuł, że „z bliska wygląda gorzej niż z odalenia”. I jak się tu nie cieszyć, że ten „zły świat” czasami wysyłał do Tarkowskiego także komunikaty przyjemne: „Podarował mi swoją książkę ze wzruszającą dedykacją: Jedynemu geniuszowi kina, Andriejowi”.

Wypis z Bierdiajewa w *Dziennikach*: „Twórczość stoi niejako poza etyką prawa i poza etyką odkupienia i zakłada inną etykę... Twórcę i twórczość nie interesuje ocalenie ani zguba... Twórczość oznacza przejście duszy w inną płaszczyznę bytu”. Byle przy tym nie spalić tego świata, nawet jeśli się jest duszą orficką przypadkiem zabłąkaną tu z zaświatów.

Recenzje i polemiki (1997-1998)

Żyrynowski w 80. rocznicę Czerwonego Października (1997)

Rosja dzisiejsza różni się od upadłego ZSRR przynajmniej w tej istotnej kwestii, że jej politycy – wcześniej niemi jak ryby i dzieci – starają się dzisiaj mówić własnym głosem. Jest to postępek ważny, raczej niezależnie od faktu, czy ten głos ma jeszcze ludzki charakter, czy też stanowi jedynie odgłos poglądów biblijnej oślicy Balaama. W barwnej plejadzie rosyjskich polityków, mniejszych lub większych racjonalistów, demokratów, liberałów, komunistów, a nawet domorośłych faszystów, postać „liberalnego demokraty” Władimira Wolfowicza Żyrynowskiego – wbrew lekceważącym o nim opiniom uparcie formułowanym na zachód od Bugu – należy do najbardziej zastanawiających. Sądziłem kiedyś, idąc w tej dziedzinie śladami licznej grupy politycznych estetów i wtórujących im publicystycznych komentatorów, że Żyrynowski to swego rodzaju „polityczny pryszcz”, który pojawił się na młodym ciele demokratycznej Rosji i zniknie stąd, tak jak pojawiają się, a potem znikają pryszcze właściwe... Zniknie naturalnie tylko wtedy, jeśli Rosja wyjdzie na swoje i zajmie się wreszcie uporządkowaniem własnej wewnętrznej przestrzeni, a nie wychowaniem sąsiadów (Polski i Kuby). Gdy jednak w listopadzie 1994 roku dane mi było spotkać się z Bułatem Okudżawą, a nasza rozmowa nagrywana dla „Tygodnika Powszechnego” miała dotyczyć wielu najprzeróżniejszych spraw, zarówno z dziedziny literatury, jak i – może przede wszystkim – ze sfery politycznej, to na pytanie: „Co pan sądzi o Żyrynowskim?”, Bułat Szałwowicz odpowiedział: „Nie jest

taki głupi, jak niektórzy sądzą. Odzwierciedla przecież poglądy znacznej części post-sowieckiego społeczeństwa”. Okudżawa, mówiąc łagodnie, do zwolenników Żyrynowskiego nigdy nie należał, ale umiał zarazem – co w Polsce nie zawsze potrafią uczynić nawet polityczni komentatorzy – zawiesić swoje sympatie i zastąpić je „szkielkiem i okiem”. Podobnie zresztą postąpił w swojej nowej książce *Prowincjusz* aktualny wicepremier Federacji Rosyjskiej, Boris Niemcow, który z jednej strony mówił, że w obliczu Żyrynowskiego zawsze mu się ciśnie na usta nieprzystojące politykowi słówko „nigdy” („Nigdy nie będę głosował na komunistów i na Żyrynowskiego”), ale zarazem zauważał, że niebezpieczny dla Rosji Władimir Wolfowicz – jako „mądry człowiek z klinicznymi odchyleniami” – zawsze będzie tu miał swoje dziesięć procent. Może więc warto o nim wiedzieć nieco więcej, chociażby z tego powodu? Może nie będzie wielkim świętokradztwem przełamanie towarzyskiej zmywy milczenia wokół tego najsłynniejszego ze światowych „demokratycznych liberałów”? Bardzo bowiem racjonalne, gdy chodzi o polityczną strategię i taktykę, i dotychczas raczej skuteczne poglądy Żyrynowskiego zasługują na coś znacznie więcej aniżeli pogardliwe wzruszenie ramionami

Kim jest i skąd przychodzi?

Sprawę ułatwia nam sam Żyrynowski, który w wydanej w połowie 1996 roku ponadtrzydziestostronicowej książce pt. *Klasyka polityczna*, przedstawia swoją uporządkowaną (naturalnie w swoisty dla siebie sposób) wizję świata, która – jak z pracy jawnie wynika – stanowi główną podstawę jego światopoglądu. 50-letni autor, który sądzi, że pół wieku życia upoważnia go jako polityka do odgrywania najważniejszej roli w rosyjskim państwie („W tym wieku człowiek osiąga określony wysoki poziom w swoim fizycznym, moralnym i umysłowym rozwoju”), mało mówi co prawda w pracy o swojej biografii. Warto jednak przypomnieć, że urodził się w 1946 roku w Ałma-Acie w rodzinie prawniczej, a wy-

kształcenie otrzymał na Uniwersytecie Moskiewskim im. Michaiła Łomonosowa, najpierw w Instytucie Krajów Azji i Afryki, a potem na Wydziale Prawa. Włada angielskim, francuskim, niemieckim i tureckim. W latach 1970-72 był oficerem sztabowym Zakaukaskiego Okręgu Wojskowego, a w latach 1983-1990 pracował jako szef prawników wielkiego ideologicznego wydawnictwa „Mir”. Od wiosny 1990 roku został wodzem Liberalno-Demokratycznej Partii Związku Sowieckiego, przekształconej następnie – zgodnie z logiką dziejów – w Liberalno-Demokratyczną Partię Rosji. Na tym właśnie wodzowskim stanowisku ma pozostawać przynajmniej do 2004 roku, ponieważ Komitet Centralny partii uznał sytuację w Federacji za zbyt niebezpieczną, aby w najbliższych latach zajmować się jeszcze demokratycznym wyborem wodza. Podczas słynnej próby restauracji ZSRR dokonanej przez Giennadija Janajewa and Co. 19 VIII 1991 roku Żyrynowski poparł puczystów, z czego jest dumny aż do dzisiaj. W czasie tragicznego konfliktu między Radą Najwyższą a Borysem Jelcynem w październiku 1993 roku, gdy prezydenckie tanki niezwykle skutecznie ostrzeliwały moskiewski Biały Dom i znajdujących się tam quasi-parlamentarzystów, Władimir Żyrynowski nie stanął po żadnej ze stron krwawego sporu. Uważał bowiem, że choć popierana przez Jelcyna, a dokonywana rękami Anatolija Czubajsa i Jegora Gajdara ekonomiczna reforma kraju miała wybitnie „złodziejski” charakter, to mimo tego, nie należało popierać Rusłana Chasbułatowa. Jako Czeczeniec był on bowiem zbyt mocno powiązany z kaukaską mafią. Żyrynowski ma cięty język i dodawał w tym kontekście, że w przypadku zwycięstwa tegoż Rusłana Imranowicza Rosją zaczęliby rządzić „kaukascy rabusie”, tak jak to już było w czasach Józefa Wissarionowicza Stalina. 12 grudnia 1993 roku Żyrynowski przeżył swój wielki, i jak można sądzić, największy z możliwych politycznych tryumfów. Po sprawnie przeprowadzonej kampanii wyborczej, po zmęczeniu, jakie ogarnęło Rosjan w wyniku ekonomicznej biedy i krwawej walki prezydenta z Radą Najwyższą, „demokratyczni liberałowie” zajęli drugie miejsce w wyborach parlamentarnych uzyskując 23% głosów ogółu obywateli Federacji Rosyjskiej.

Czyżby zmierzch Żyrynowskiego?

Nie można go, niestety, zbyt prędko ogłosić. Wybory prezydenckie rządzą się innymi prawami aniżeli wybory parlamentarne. Nawet więc ci, którzy w wyborach do Dumy zagłosują na partię udającego nieokrzesanego prostaka Żyrynowskiego, w wyborach na najwyższy urząd w państwie nie oddadzą na niego swego głosu. Zwróćmy jednak uwagę, że Władimir Wolfowicz i tak uzyskał 10 razy więcej poparcia aniżeli Michaił Gorbaczow. Byłoby naiwne twierdzenie, że część wyborców głosuje na Liberalno-Demokratyczną Partię Rosji, ponieważ podoba się im jej program. W Rosji – podobnie zresztą jak u nas – programy czyta garstka wyborców, liczy się zaś ogólny *image* i wrażenie. Te zaś, szczególnie w kraju tak rozległym jak Rosja, tworzone są głównie poprzez telewizję. Jednak żaden z licznych, sześciu czy siedmiu ogólnie dostępnych rosyjskich kanałów, nie darzy Żyrynowskiego sympatią. Tymczasem wygrywający ostatnie wybory prezydenckie Jelcyn miał tak wielkie i zarazem tak nachalne poparcie rosyjskich telewizyjnych mediów, że np. podczas oglądania publicznego kanału ORT 1 trudno było – nawet jeśli człowiek miał w pogardzie polityczny program Giennadija Ziuganowa i Żyrynowskiego – nie odczuwać sporego zażenowania i wstydu za rosyjską dziennikarską brać. Jakże prędko – bo przecież to ludzie młodzi – nauczyli się oni służyć jednemu panu, jacy są przekonani o swoich absolutnych racjach! Skoro więc Żyrynowski zawsze był ośmieszany, sam zresztą też się ośmieszał, oblewając np. swoich rozmówców w TV sokiem pomarańczowym (ucierpiał garnitur Niemcowa), to dlaczego nie przełożyło się to na utratę wyborczych głosów? Rosjanie przecież – wbrew temu, co się niekiedy, o nich myśli – nie będą już dzisiaj gromadnie głosować na psychopatycznych idiotów. Odpowiedź może być tylko jedna: Żyrynowski nigdy nie zapomina ogłosić, że główny strategiczny cel jego polityki stanowi restauracja ZSRR w jego dawnych granicach. Taki pogląd będzie miał w Rosji wielu zwolenników je-

szcze długo po 2004 roku, i wcale nie jest wykluczone, że Żyrynowski – wspólnie z komunistą Giennadijem Ziuganowem – będzie odgrywać w rosyjskiej polityce dość istotną rolę. Chyba że w tej dziedzinie skutecznie zastąpi ich ktoś inny.

Żyrynowski a Ziuganow

Wiele jest między nimi podobieństw, ale w niektórych ważnych rzeczach obaj panowie różnią się między sobą. Podobnie jak Ziuganow, Żyrynowski uważa, że akt rozwiązania ZSRR w Puszczy Białowieskiej 8 XII 1991 dokonany „obcymi rękami Jelcyna, Krawczuka i Szuszkiewicza”, miał charakter „zbrodniczy”. Nie ukrywa też, podobnie jak nie czyni tego Ziuganow, że restauracja ZSRR jest jego najważniejszym dalekim celem. Jednak gdy Ziuganow w swoich marzeniach o restauracji Związku Sowieckiego wyraźnie nawiązuje do Lenina i Stalina, głosząc zarazem, iż odpowiada mu ich etatystyczny model ekonomiki, to Żyrynowski Lenina – a czasami nawet Stalina – ma w głębokiej pogardzie. Twierdzi bowiem – zgodnie ze swoją antyżydowską spiskową teorią dziejów – że Lenin stworzył ZSRR za „obce pieniądze”. Poza tym komuniści niepotrzebnie wprowadzili do Konstytucji słynne „prawo narodów do samostanowienia”, co – zdaniem Żyrynowskiego – było historyczną bombą zegarową, która rozwaliła ZSRR w Puszczy Białowieskiej. W „logicznym” wykładzie Żyrynowskiego potomkiem Mojżesza jest Gorbaczow, który Imperium osłabił, Żydami są też główni demokratyczni współpracownicy Jelcyna: m.in. Aleksander Lifszyc i Lew Suchanow. W jednym z rozdziałów wspomianej książki *Klasyka polityczna*, zatytułowanym *Ostatni pociąg na Północ*, Żyrynowski widzi oczyma wyobraźni wielce pokrępiającą scenę: „A więc, peron Dworca Jarosławskiego, chłodna listopadowa noc, ludzi prawie nie ma. Ciemno, pada gęsty i mokry śnieg. Rozlega się zachrypnięty długi gwizd parowozu. To wyrusza w daleką drogę pociąg relacji Moskwa-Anadyr [centrum Czukockiego okręgu automicznego, 1525 km na północny wschód od Magada-

nu – GP]. (...) Na peronie nie widać odprowadzających, nikt nie chciał przyjść, aby się pożegnać z pasażerami. Kimże oni są, owi nocni podróżnicy? Przenieśmy się myślą tam, do ostatniego wagonu. Ba! To przecież same znajome twarze. Poznajemy tutaj Gorbaczowa, Jakowlewa, Gajdara, Szachraja, Czubajsa, Burbulisa, Kozyriewa, Jakunina, Niemcowa, Jawlińskiego, Bonner, Gerber, Starowojtowa, Nowodworską, Popowa i wielu innych, których nie widać, jest ciemno i nie ma już sił na wypatrywanie”. Ktoś może powiedzieć, że taka wypowiedź Żyrynowskiego stanowi swoistą „licencję poetycką”, coś w rodzaju jego głośnej tezy z książki *Ostatni wypad na południe* („W walce o stabilizację sytuacji na swoich południowych rubieżach rosyjskiemu żołdatowi przyjdzie obmyć własne buty w Oceanie Indyjskim”). Jednakże obie te wypowiedzi mają charakter ideologiczno-praktyczny, a nie maniakałno-romantyczny. Zauważmy, że „lista Żyrynowskiego” pojawia się w kontekście listopadowym, a więc miała się stać aktualna tuż po wygraniu przez niego prezydenckich wyborów w październiku 1996 roku. Zresztą Władimir Wolfowicz wcale tego nie ukrywał, snując dalej swoją kolejowo-rytmiczną „Północną opowieść”: „I oto koła stukają po szynach stalowych, coraz dalej na Północ mknie pociąg, na Północ wiezie łajdaków. Wszyscy siedzą u zakratowanych okien. Ponuro patrzą na czarne niebo, gdzie kiedyś zamajaczy świt nowego dnia. Ale nie dla nich będzie ten dzień. Przepadnijcie na zawsze, burzyciele Rosji, wy którzy chcieliście jej zadać cios ostateczny! Nie ma dla was miejsca w nowej odrodzonej Wielkiej Rosji. Wasze miejsce, wyrażając się obrazowo, jest tam na Północy, na śmietniku historii! My, partia liberalnych demokratów, zagwarantujemy wam tam miejsce”. Gdyby jednak była to metafora, to Żyrynowski bohaterko umieściłby na swej liście jeszcze przynajmniej dwóch kandydatów na zeków: generała Aleksandra Lebiedzia oraz prezydenta Borisa Jelcyna. Skoro jednak odwaga zdecydowanie go tutaj zawiodła i tylko dlatego nie poszerzył o nich swojej „listy zbrodniarzy”, to można przypuszczać, że lista owa wcale nie miała charakteru przenośni. Jednak jeszcze bardziej wymowny jest brak w „ostatnim wagonie” Giennadija Ziuganowa. Chociaż Żyrynowski często

nie szczędzi mu słów krytyki (np. za to, że głośno nie poparł puczu Janajewa w sierpniu 1991 r.), to jednak wie, że łączy ich wielka podstawowa kwestia: Sojuz Nieruszymyj Rjespublik Swobodnych.

Zdobycie władzy

Raczej się nie zdarza, aby ideolog, którego głównym celem jest zdobycie absolutnej władzy, przyznawał się do tego faktu za wcześniej. Żyrynowski zdaje sobie zarazem sprawę, że jego maksymalistyczny cel, który dziś przysparza mu wielu wyborców, jest na razie celem dość odległym, raczej strategicznym. Dlatego w swojej siedmioletniej historii partia Żyrynowskiego szła na wiele historycznych kompromisów: uczestniczyła w Referendum Konstytucyjnym i w „niedemokratycznych wyborach” z końca 1993 roku, żeby odnieść sukces, do dzisiaj działa w Dumie, w której zasiada wielu „zbrodniarzy-demokratów”. Na głosy krytyki Żyrynowski odpowiada, że wielka strategia nie wyklucza posunięć taktycznych, w innym bowiem przypadku partia prędko zniknęłaby ze sceny politycznej. Na te właśnie słowa należy zwrócić baczną uwagę. Wróżą one Żyrynowskiemu niezłą przyszłość w Rosji. Tym bardziej, że w opisie przyszłego Związku Sowieckiego używa on bardzo ładnych słów. Pojawiają się tu kolejno: gwarantujący wolność jednostki „liberalizm” (Władimir Wolfowicz jako erudyta-politolog nie zawahał się nawet wymienić nazwisk swoich ideowych antenatów: Johna Locke’a, Woltera, Monteskiusza, Jana Jakuba Rousseau, Henryka Palmerstona, Williama Gladstona, Franciszka Roosvelta, a w Rosji – Pawła Milukowa i Piotra Struwego!), gwarantująca trójczłonowy podział władzy „demokracja”, oraz – naturalnie i już w duchu komunistów – „socjalna sprawiedliwość”, a także – w duchu konserwatystów – wielki porządek prawny. Żyrynowski, rzecz jasna, nie zadaje sobie ani tym bardziej czytelnikom pytania, co będzie wcześniej: zrestaurowany Związek Sowiecki, czy też wolność, demokracja, sprawiedliwość i porządek, ale z jego rozważań ściśle wynika, że szerokie pole dla realizacji tych wartości otworzy się

dopiero w nowym Związku Sowieckim w jego starych granicach. Dostyc istotna różnica pomiędzy Ziuganowem a Żyrynowskim polega na tym, że ten pierwszy głosi państwowy model gospodarki, podczas gdy drugi jednakowo dopuszcza własność prywatną, kolektywną i państwową. Ale to właśnie powoduje, że plan Żyrynowskiego staje się mniej utopijny od skazanej od razu na klęskę próby Ziuganowa wejścia do tej samej Sowieckiej Rzeki.

Przestrogi Jerzego Pomianowskiego

Główna teza mądrej książki Pomianowskiego pt. *Ruski miesiąc z hakiem* (Wrocław 1997) brzmi następująco: „Piszący te słowa parokroć radził rodakom dzielić z grubsza rój rosyjskich partii na dwa tylko stronnictwa: rosyjskie i sowieckie. Inne subtelniejsze podziały uważam za daleko mniej ważne dla Polski”. Żyrynowski, pomimo że Lenina uważa on za Żyda, a Stalina – za antyrosyjskiego kaukaskiego Górala, nieodwołalnie i na zawsze przynależy do stronnictwa sowieckiego. Jego poglądy powinniśmy więc poznać, ale najlepiej to czynić nie w bezpośredniej rozmowie. Wtedy bowiem może nam nawet zaproponować w „darze” (chwilowo, rzecz jasna) ukraiński Lwów, co zresztą przed paru laty już uczynił. W nagrodę za to został do Polski zaproszony przez jednego z polityków. Każdy by jednak wolał, żeby taka wizyta nie miała już miejsca w przyszłości, szczególnie gdyby kiedyś Władimir Wolfowicz zapragnął obmyć swoje buty w Wiśle.

Boris Niemcow – prowincjusz z Niżnego Nowogrodu (1997)

Kawałek racjonalnej Rosji

W wydanej ostatnio książce *Prowincjusz* Boris Niemcow, niedawny gubernator niżegorodzki, a potem wicepremier rządu Federacji Rosyjskiej stwierdził, iż w Rosjanach siedzi „niewolnicza świadomość”. Być może nawet mocniej niż w innych narodach. Dodał też, iż w ojczyźnie carycy Katarzyny II, w kraju Lenina i Breżniewa, miała zawsze miejsce tak zwana „selekcja negatywna”. Buntowników i wolnomyślicieli likwidowano tu fizycznie, dlatego ich liczba zmniejszała się dramatycznie wraz z upływem wieków. Na ich miejsce systematycznie przychodzili ludzie o duszach oportunistycznych.

Jednak konkluzja Niemcowa, gdy chodzi o przyszłość Rosji, była optymistyczna: „Teraz w naszym narodzie powinna się dokonać regeneracja wolnego myślenia. Dzieci, które się urodziły w ostatnich latach, są już inne. Patrę na swoją córkę. Ma dwanaście lat. Ma już swoje miejsce, swoje poglądy, może się nie zgadzać, spierać, zupełnie nie rozumie, jak cudza opinia może uzyskać przełożony wpływ na całe społeczeństwo... Należy więc do pokolenia, które może żyć w wolnym kraju”. Uważny czytelnik książki Niemcowa może dojść do wniosku, że do takiego pokolenia nowych ludzi należy sam jej autor. Zwięzła książeczka ma charakter aforystyczny i składa się z pięciu części zatytułowanych kolejno: *O sobie*, *O ludziach*, *Społeczeństwo i państwo*, *Persony*, *Świat wokół*

mnie. Publikacja nie ma charakteru postmodernistycznego (Niemcow nie jest w końcu byłym komunistą, któremu by się zawalił optymistyczny obraz świata), lecz przeciwnie, stanowi niemal poglądowy wykład optymistycznego racjonalizmu. I tak jednak można ją czytać zarówno od początku, jak i od środka, a nawet od końca. Każdy fragment bowiem jest autonomiczną i zamkniętą częścią, ale dopiero po lekturze całości wyłania się to coś, co można nazwać „światopoglądem Niemcowa”. Do światopoglądu dociera się jednak poprzez biografię.

Skąd przyszedł?

Jak to dobrze, pomyśli sobie niejedyn czytelnik, że 38-letni Boris Niemcow nie ma żadnej partyjno-czynowniczej przeszłości. Boris Jefimowicz z wyraźną niechęcią wspomina natomiast, że taką właśnie przeszłość miał jego ojciec, który jednak nie zajmował się wychowaniem syna („Ojciec był wolnym człowiekiem, z nami nie mieszkał”). Niemcow urodził się w październiku 1959 w Soczi nad Morzem Czarnym. Po przeprowadzce nad Wołgę i Okę studiował nauki fizyczne na Uniwersytecie w Gorkim (dziś słynny, głównie dzięki niemu, Niżny Nowogród), a od 1981 roku pracował tam jako młody naukowiec. Pracę doktorską obronił w wieku 26 lat, a do habilitacji nie doszło tylko dlatego, że już w roku 1991 został tak zwanym „przedstawicielem Prezydenta w obwodzie Niżegordzkim”, aby następnie zostać wybranym na gubernatora tego okręgu. Od wiosny tego roku jest jednym z kilku wicepremierów rządu Federacji Rosyjskiej, a jego nominacja dokonana się na wyraźne życzenie Borisa Jelcyna. Trzeba tu dodać, że Niemcow nigdy Jelcynowi nie schlebiał, a nawet był organizatorem kampanii zbierania podpisów przeciwko wojnie w Czeczenii, czym przysłużył się – obok generała Aleksandra Lebiedzia oraz premiera Wiktora Czernomyrdina – dla dzieła zakończenia tej najkrwawszej kampanii w historii postkomunistycznej Rosji. Doczekał się za to zresztą przegany Aleksandra Korżakowa, który w ostatnio opublikowa-

nych wspomnieniach uznał tę akcję za niełojalność wobec Matużki-Prezydenta. Niemcow za to zauważył, iż „Jelcyn zawsze zaczynał odczuwać niedomagania, gdy się tylko dowiadywał, że Korżakowa nie ma obok”. Pomimo to Prezydent – który po odsunięciu swego Anioła Stróża, a zarazem po udanej operacji na sercu jest najwyraźniej w dobrej formie – uznał za stosowne wziąć Niemcowa do rządu, aby wzmoc tam reformatorski nurt reprezentowany przez Anatolija Czubajsa i Wiktora Czernomyrdina. Zadanie Niemcowa jest niezwykle trudne nie tylko ze względu na korupcję rosyjskiej gospodarki i polityki, lecz również dlatego, iż oczekiwania społeczne wcale nie są przychylnie wobec reformatorów. Nasz Leszek Balcerowicz, pomimo że w Polsce z jego oczerniania nadal żyje zarówno kasta zawodowych polityków, jak również znaczna rzesza bezinteresownych obrońców polskiego ludu, powinien się bardzo cieszyć, że nie jest na miejscu Czubajsa. Jego prywatyzację rosyjski naród ochrzcił przecież mianem „prichwatyżacji” (czyli złodziejstwem), a na prowincji – jak pisze w swym *Prowincjusz* sam Niemcow – imieniem „Czubajs” wabi się wyliniałe kocury. Niemcow zdaje sobie sprawę, że rola reformatorów w „okrutnej Rosji” nigdy nie była godna pozazdroszczenia: „Rosja to okrutny kraj. I nie wybacza ona ludziom nawet tego dobra, które chcieli dla niej uczynić. Dlaczego? Nie wiem. Być może dlatego, że Rosja jest zarówno europejskim, jak i azjatyckim krajem... Stąd pewni sukcesu mogą być jedynie konserwatyści, a reformatorzy – mogą być pewni odejścia, stąd zygzakowaty rozwój kraju”. Jednak, wierząc w to, że zygzakowaty rozwój Rosji zakończy się wraz odejściem tego stulecia, Niemcow pośród swoich autorytetów wymienia rosyjskich wybitnych reformatorów: Piotra I, Aleksandra II i Piotra Stołypina. Gdy do tej listy dodaje nazwiska Aleksandra Solżenicyna i Andrieja Sachrowa, to tym samym daje do zrozumienia, że nie jest mu obca zasada „polityki moralnej”. Polityka, jego zdaniem, może być zarówno moralna, jak i niemoralna, a wcale nie zależy od jakiejś nieuchronności, lecz wyłącznie od moralnego stanu konkretnego polityka.

Niemcow a Czechow

Książka Niemcowa dlatego jest tak pasjonująca w lekturze, że wyraźnie z niej przebija zakorzenienie autora w rosyjskiej kulturze i historii. Co ciekawe, ulubionym pisarzem Niemcowa jest Anton Czechow, który – z czym wypada się zgodzić – „głęboko wniknął w rosyjską duszę”. Czechow zarazem – wbrew tradycji Dostojewskiego, Hercena i Tolstoja – nigdy nie był ideologiem ani w sprawach religii, ani w sprawach polityki. W dziedzinie religijnej uważał, iż „pomiędzy «jest Bóg» a «nie ma Boga» leży ogromne pole, po którym z wielkim trudem chodzi prawdziwy mędrzec. Rosjanin zna tylko jedną z tych skrajności, środek jest dla niego nieinteresujący, i zwykle nie wie on niczego albo wie bardzo mało”. Niemcow zaś jako „provincjusz”, któremu udało się przewyciężyć idealistyczną niemoc „provincjuszy Czechowa”, jest właśnie rzadkim w Rosji człowiekiem środka. Czy mu się uda? Wbrew paseistycznej tradycji Czechowowskich *Trzech siostr* już mu się udało dokonać wielkiego reformatorskiego dzieła w Niżnym Nowogrodzie. Jako podróżnik sam miałem okazję w grudniu 1996 roku oglądać na własne oczy efekty jego pracy, a ostatnio z prasy dowiadujemy się o kolejnych wielkich inwestycjach Fiata w gościnnym mieście nad Wołgą i Oką. Realizując marzenie „trzech siostr”, Niemcow dojechał również do Moskwy. Szkoda, że jego książka została zakończona w styczniu 1997 roku i nie opowiada już o tym nowym fragmencie jego działalności. Jednak z obrazów rosyjskiej telewizji oglądanej za pośrednictwem kabla w Krakowie odnoszę nieprzyjemne wrażenie, iż jego impet natrafił w Moskwie na znaczny opór nomenklatury. Może to jednak tylko złudzenie? W polityce bowiem Niemcow kieruje się pozornie tylko paseistyczną intuicją: „Poczucie losu, nieuchronności jest u mnie absolutne. Nie wiem, co będzie ze mną jutro, i jestem gotów na wszystko. Życie – to chaotyczny proces... nie uważam się za jednostkę wpływającą na bieg dziejów, jak często myślą inni politycy. Jestem ziarnkiem piasku,

być może nie najmnijszym w tym oceanie nieuchronności, ale – mimo wszystko – ziarnkiem piasku. Ono może stawiać opór w detalach, ale globalnie nie może zmieniać życia i losu”.

Rosyjskie persony

Jeżeli ktoś chciałby z tej książki zaczerpnąć trochę informacji o ludziach z rosyjskiego świecznika, to powinien przede wszystkim sięgnąć do rozdziału *Persony*. Niemcow, jeżeli tylko chce, umie jednym wartkim pociągnięciem pióra określić jakość prawie każdego napotkanego charakteru ludzkiego. Gorbaczow to „historyczna postać”, przypominająca przedmiot, który się znalazł „na oceanicznej fali”, „zupełnie niczego nie rozumie w ekonomice”, ale mimo to dla historii ma takie zasługi, że w przyszłości będzie się go „dobrze pamiętać”. Jelcyn – to „prawdziwy rosyjski car”, na dodatek „dobry”, „niepamiętliwy”. Ukaz nr 1400 z 22 IX 1993 roku o wprowadzeniu wojska do Białego Domu był jego błędem i musiał się zakończyć przelewem krwi, przed czym Niemcow bezskutecznie go przestrzegał. W latach 1994-95 Jelcyn przemienił się w „starego wilka” i „zleniwił”, jeśli „w ogóle tak można mówić o carze”. W Berlinie, gdy dyrygował orkiestrą, zachował się „bardzo źle, potwornie”. Za tę zmianę w charakterze Jelcyna Niemcow obwinił przede wszystkim „otoczenie” z Korżakowem w jego centrum, którego wielkość i upadek mają „charakter głęboko rosyjski”: „Na Rusi byli zawsze nie tylko formalni rządcy, posiadający status i pozycję, lecz również rządcy nieformalni. Był Griszka Rasputin. A teraz posiadamy swego rodzaju kolektywnego Rasputina. Jest ich wielu, ale zarazem są niczym. Griszka przecież był człowiekiem nietuzinkowym, swoistym talentem. Takich ludzi w otoczeniu aktualnego cara jest mimo wszystko mało”. O Czernomyrdinie czytamy, że przy całej ociężałości i niezdecydowaniu jest on pragmatykiem i przede wszystkim wie „jak robić”, a nie „co robić?”. Łużkow to „cieszący się życiem, niepijący człowiek”, który postawił sobie pomnik w postaci cerkwi Chrystusa Zbawiciela, co

zresztą Niemcow – wbrew wielu rosyjskim i polskim obrońcom demokracji – poczytuje mu za chwałę. Lebień natomiast, któremu Rosja zawdzięcza wygaszenie konfliktu w Naddniestrzu i w Czeczenii, nie ma pojęcia o sprawach ekonomicznych i dlatego miota się pomiędzy liberałem Najszulem a etatystą Głazjewem. Czubajs – to „jeden z najbardziej utalentowanych polityków Rosji”, a Żyrynowski – to „mądry człowiek z klinicznymi odchyleniami”, który jest niebezpieczny dla Rosji, ale zarazem zawsze będzie tu miał swoje dziesięć procent.

Od Niemcowa dowiadujemy się też kilku ciekawych rzeczy o politykach zachodnich: Margaret Thatcher „nienawidzi urzędników w Brukseli”, a Bill Clinton to „sympatyczny człowiek, dla którego liczą się tylko trzy wartości: wolność słowa, wybory i prywatna własność”. Tymczasem Soros, który bardzo wiele pomógł Niżnemu Nowogrodowi, „jest dla rosyjskiego narodu osobowością całkowicie niezrozumiałą” i stąd wynikają – dodajmy przecież, że nie tylko w Rosji – „wszystkie te idiotyczne posądzenia, że jest agentem”. Tymczasem jest on tylko „głosicielem wyższości praw konkretnego człowieka nad prawami społeczeństwa” i urzeczywistnianiu tej idei poświęca swe życie i pieniądze. Prawie wszystkie opinie Niemcowa, podobnie zresztą jak prawie cała jego książka, zawierająca wiele głębokich myśli na temat technologii i psychologii władzy, istoty demokracji, kwestii „duszy rosyjskiej”, która ma charakter dynamiczny i może się zmieniać również na korzyść, budzą zaufanie czytelnika.

Niemcow a kwestia polska

Skoro jednak Niemcow wszystko tak dobrze zrozumiał, to może należy dojść do wniosku, że zgodnie z prawem „selekcji negatywnej” nie ma on żadnych szans na dalszą polityczną karierę w Rosji? Na szczęście lub niestety tak nie jest. Niemcow w niektórych swoich opiniach jest typowym dzieckiem sowieckiej epoki, ale na szczęście to daje mu pewne szanse w dalszej politycznej ka-

rierze w Rosji. O 9 maja mówi, że jest to święto tak wielkie, iż w tyłko głupcy mogą się w tym dniu nie cieszyć... O katolickich i protestanckich kościołach powiada, że są obce duchowi rosyjskiemu. O Amerykanach mówi, że są przesiąknięci duchem imperializmu... Niestety i na szczęście – może takie właśnie opinie umożliwią mu w Rosji dalszą karierę? O rozszerzaniu NATO na wschód Niemcow nie mówi nic, co zresztą jest bardzo pocieszające, gdyż widocznie ten problem nie zaprzęta uwagi ludzi jego pokroju. A przynajmniej zaprzęta nie na tyle, aby się w tej kwestii wypowiadać, gdy nikt nie pyta.

A co mówi o nas, o Polakach? Nic, ale to nic, absolutnie ani jednego słówka... Czy to dobrze, czy źle, ale nie istniejemy dla niego. Gdy go ktoś pyta, co jest piękne, to odpowiada następująco: „Pięknie jest na przykład, gdy się patrzy z nabrzeża wysokiej Wołgi nocą na rzekę. (...) Pięknie jest w Paryżu. Czuje się tam oddech czasu: zarówno przeszłego, jak i teraźniejszego. (...) Pięknie jest w Salzburgu. W klasztorze św. Makara też jest bardzo pięknie”. Dodajmy rosyjskiemu premierowi do tej listy jeszcze Kraków, a wielu, którzy widzieli wszystkie wymienione przez niego cuda, zgodzi się, że przynajmniej to jedno polskie miasto mogłoby znaleźć się w „katalogu Niemcowa”.

Metafizyka a patriotyzm u Aleksandra Sołżenicyna (1998)

Nowa książka Sołżenicyna *Rosja w zapaści* jest niesłychanie pesymistyczna. Nie trzeba przywoływać wszystkich tych ocen, ponieważ są one ogólnie znane i nie stanowią wyłącznej własności pisarza. Jednak autor *Archipelagu GUŁag* tym się różni od krytyków spod znaku czerwonej gwiazdy, że sam dobrze pamięta, co było przedtem i nie proponuje powrotu do przeszłości: „Za każdym razem, gdy na spotkaniach ktoś z występujących chwalił przeszłe (komunistyczne) czasy... klaskały mu, według mnie, dwie trzecie sali. Gdy próbowałem sprzeciwić się, że obecni, nawet ze względu na swój wiek, nic nie wiedzą o tylu potwornościach z przeszłości, z sali rozlegały się szmery sprzeciwu. Było to na trzy miesiące przed wyborami do Dumy; już wtedy byłem pewien, że komuniści uzyskają większość...”

Kto ma prawo wypowiadać się o Rosji?

Najnowsza książka została oparta na przemyśleniach i empirycznych obserwacjach pisarza z ostatnich czterech lat. Sołżenicyn powrócił do Rosji w maju 1994 i od tego czasu wytrwale i bez rozgłosu wędrował po kraju, odwiedzając w sumie dwadzieścia sześć rosyjskich obwodów: „Niekiedy były to tylko miasta obwodowe, ale częściej jeździłem do centrów regionalnych i dalej, w głąb obwodów. Miałem około stu spotkań publicznych (w obecności

od 100-200 do 1500-1700 osób, były to rozmowy na każdy temat, niczym nie skrępowane), po każdym spotkaniu otaczały mnie tłumy, wymieniałem z nimi myśli i opinie – z tysiącami ludzi”. Dzisiaj więc upada zarzut kierowany wobec pisarza jeszcze cztery lata temu – że po dwudziestu latach emigracji nie zna on kraju i nie ma prawa wypowiadać się w kwestiach rosyjskich. Dzisiaj po czteroletnim pobycie pisarza w ojczyźnie jego głos o wewnętrznym stanie Rosji powinien być przestudiowany z wielką uwagą. Bez pośpiesznych ocen, uprzedzeń i emocji, gdyż jest to głos człowieka prawdziwie zatroskanego o losy swego kraju i reprezentującego – przynajmniej w swoich diagnozach krytycznych – istotny fragment rosyjskiej opinii publicznej.

Patriotyzm teoretyczny

W teorii autor wyraźnie odróżnia nacjonalizm szowinistyczny od zdrowego rosyjskiego patriotyzmu. Uważa – podobnie zresztą jak twierdził wielki rosyjski ekumenista W. Sołowjow – że naród ma swą genezę i przeznaczenie w sferze ponadhistorycznej: „Bez wątpienia odwieczne istnienie plemion leżało w Zamyśle Stwórcy. W odróżnieniu od wszelkich innych ludzkich wspólnot i organizacji – etnos, podobnie jak rodzina i osoba, nie przez człowieka został wymyślony”. Lecz to właśnie nakazuje Sołżenicynowi potępić wszelki rasizm, w tym również wielkoruski: „W żadnym wypadku nie jestem skłonny do wyolbrzymiania znaczenia narodów, albowiem silnie odczuwam wyższe kryterium – miarę Nieba”. „Mówię tu o czystym rosyjskim patriotyzmie, współczującym, konstruktywnym, a nie o skrajnej nacjonalistycznej przesadzie (tylko nasza rasa!, tylko nasza wiara), nie o wyniesieniu własnej narodowości ponad wszelkie duchowe wyżyny, ponad naszą pokorę w obliczu Nieba”. Religia pozwala człowiekowi patrzeć na świat z ponadnarodowej perspektywy. Taką uniwersalną funkcję powinno spełnić odrodzone prawosławie: „Prawosławie, zachowane w naszych sercach, zwyczajach i postępowaniu, umocni tę duchową atmosferę,

która jednoczy Rosjan wokół wartości wyższych niż plemienne”. W myśli Sołżenicyna, tak jak wykrystalizowała się ona w jego najnowszej książce, wyraźnie widać chęć teoretycznego pogodzenia tradycji oświeceniowego (demokratycznego) uniwersalizmu z romantycznym pojmowaniem narodu jako duchowej (ale nie biologicznej!) wspólnoty, która nie wpisuje się w formalne związki prawne. Odrzucając kosmopolityzm i ostro przeciwstawiając się utożsamianiu rosyjskiego patriotyzmu z faszyzmem, Sołżenicyn powołuje się na tradycję Stanów Zjednoczonych: „...Ameryka oddycha swoim patriotyzmem, jest z niego dumna – i różne grupy narodowościowe zlewają się tam w jedno”. Autor rozróżnia patriotyzm państwowy (obywatelski) i patriotyzm narodowy. W krajach jednonarodowych są one tożsame. W krajach wielonarodowych – tak jak Rosja czy Stany Zjednoczone – patriotyzm narodowy stanowi część składową i podstawę patriotyzmu ogólnobywatelskiego.

Autor objaśnia czytelnikowi, że jego program nie ma na celu „odbudowy Rosji”, lecz jej „budowę”. „Nic w Rosji nie może powrócić do stanu przedrewolucyjnego”. Znaczy to, że taka Rosja, o jakiej marzy Sołżenicyn, nigdy nie istniała w przeszłości. Nigdy wcześniej nie było takiego stanu, który dziś mógłby być dla Rosjan wzorem. Bardzo charakterystycznie brzmi w tym kontekście Sołżenicynowska krytyka asocjalnego tradycjonalizmu Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej: „Bardzo trudna jest tu sytuacja myślących i poszukujących biskupów: jednak formy cerkiewne nie mogą kosztować przez następne tysiąc lat, one same proszą się o rozwój, o jasne formuły w dynamicznej burzliwej epoce”. Za wielce szkodliwą w obecnej przełomowej sytuacji uważa autor „wielowiekową tradycję asocjalnego prawosławia”, które nie potrafi wyjść poza mury własnej parafii. Prawosławie, aby nie stać się archeologicznym wspomnieniem, musi się aktywnie włączyć w życie kraju. Sołżenicynowi nie chodzi tutaj o legitymację dawaną przez Cerkiew kolejnym władcom, ani też o święcenie banków czy stadionów sportowych. Udział hierarchów w „demonstracyjno-telewizyjnym ukościelnianiu władzy” uważa za niegodny. Najważniejsze jest, aby Cerkiew „właśnie w takich tragicznych czasach, jak dzisiejsze” dała

ludziom „silne duchowe poparcie w każdym złożonym aspekcie sfery społecznej”. Za wzór stawia inne monoteistyczne religie: „Czy to katolicyzm, czy protestantyzm, islam – wszystkie one są aktywne w sferze społecznej i w tym przejawia się naturalna więź narodu ze swą religią”.

Patriotyzm praktyczny

Sołżenicyn twierdzi, iż państwo, w którym rozeszły się drogi patriotyzmu narodowego i państwowego, czeka niechybny upadek. W Rosji narodowy patriotyzm np. Czuwaszy i Czuczów stanowi niezbędną podstawę dla patriotyzmu ogólnorosyjskiego (państwowego), ale jednocześnie jest przez niego ograniczany. W zapisach prawnych musi to oznaczać, że np. Konstytucja Tatarstanu w żadnym punkcie nie może godzić w ogólne interesy Federacji. Pisarz odrzuca hasło „Rosja dla Rosjan”, uważając je za równie destrukcyjne dla rosyjskiej państwowości, jak hasła w rodzaju „Tatarstan dla Tatarów” lub „Jakucja dla Jakutów”. Z drugiej strony, zgodnie z historyczną tradycją, lecz zapewne w niezgodzie z aspiracjami mniejszych narodów, uważa „rosyjski naród w Rosji” za „państwowotwórcze jądro” Federacji. Nie domaga się jednak szczególnych praw dla Rosjan, lecz jedynie troszczy się o „równe prawa dla Rosjan w obrębie Federacji”. Dostrzega bowiem, że w niektórych autonomicznych republikach „nacje tytułowe” biorą historyczny rewanż na Rosjanach – dla Sołżenicyna, który patrzy na to zjawisko z punktu widzenia „równych praw dla wszystkich narodów Federacji” jest to nie do zaakceptowania. Dlatego domaga się przyjęcia Prawa o równości nacji w Rosji. Wielką jego troskę wzbudza również sytuacja Rosjan poza granicami Federacji. Najbardziej krytykuje tutaj władze samej Rosji, które już dawno powinny były opracować wielki plan pomocy rosyjskim imigrantom z dawnych republik ZSRR. Szczególnie chodzi o Azję Środkową (Turkmenia, Uzbekistan, Kirgizja i Tadżykistan) oraz Zakaukazie (Gruzja, Armenia i Azerbejdżan), gdzie, jak twierdzi pisarz, „dla Rosjan miejsca

nie ma i nie będzie”. Rosjanie w republikach nadbałtyckich powinni być objęci taką samą opieką państwa, jak niemieckie mniejszości poza granicami Niemiec – należy im pomagać materialnie, popierać ich organizacje i inicjatywy.

Inaczej wygląda sytuacja w Kazachstanie, gdzie żyje 7 milionów Rosjan, 700 tysięcy Niemców i jeszcze Ukraińcy, Polacy. Kazachowie – według obliczeń pisarza – stanowią ledwie 40 % ludności kraju. Wyjeżdżać stąd byłoby po prostu wstydem – to przecież nie większość powinna uciekać przed mniejszością... Sołżenicyn uważa, iż sytuacja Rosjan w tym „quasi-demokratycznym wschodnim chanacie” zależy wyłącznie od ich samoorganizacji. Przyszłość rysowałaby się jaśniej, gdyby Rosjanie potrafili zorganizować się w całość i poszukali narodowych liderów... Spoza podobnych wypowiedzi Sołżenicyna wyraźnie przebija myśl, że narodowi liderzy mogliby w przyszłości na powrót przyłączyć Kazachstan do Rosji, co byłoby zresztą „aktem sprawiedliwości”: „Cała republika została zbudowana przez Rosjan, rozkułaczanych, zesłańców i zeków”.

A co z Ukrainą, Białorusią i Polską?...

W pracy *Jak zbudować Rosję?* (1990) Sołżenicyn domagał się rozwiązania ZSRR, proponując utworzenie na jego miejsce Związku Rosyjskiego, w którego skład weszłyby Rosja, Ukraina i Białoruś, a także część ziem obecnego Kazachstanu. Dzisiaj autor żąda rozwiązania kadłubowej Wspólnoty Niepodległych Państw, lecz zarazem nie może wybaczyć Ukrainie jej niepodległości. Pozwala sobie na uwagi w rodzaju, iż Ukraińcy uważają się za „super-naród”, którego przodkiem jest nie tylko św. Włodzimierz, lecz również... Homer. Za wszystko zaś obwinia nacjonalistów z zachodniej Ukrainy, którzy zdołali nakreślić zgubny separatystyczny szlak i namówić całą Ukrainę, aby na niego wstąpiła. Gdy mówi z dumą o pokonaniu przez Armię Czerwoną Hitlera, używa pojęcia trój-słowiański naród. Niechęć wobec niepodległej Ukrainy łączy ze swoim antyamerykanizmem. Twierdzi, że ukraińskie władze, za-

równo Krawczuk, jak i Kuczma, obiektywnie sprzyjają amerykańskim chęciom osłabienia Rosji. H. Kissinger i Z. Brzeziński zostali przez niego określani mianem „zjadłych politycznych wrogów Rosji”. Zachód potrzebuje Rosji zacofanej technologicznie. Sołżenicyn kilkakrotnie powołuje się na politykę de Gaulle’a który, będąc sojusznikiem USA, nie podporządkował się dyktatowi Ameryki i umiał bronić interesów Francji. Niechęć Sołżenicyna wywołuje także Polska w NATO – jego zdaniem, to Jelcyn w 1993 w Warszawie otworzył dla nas drzwi Sojuszu Północno-Atlantyckiego! Nowe państwa członkowskie NATO nie będą w stanie odegrać żadnej roli w nadchodzącym konflikcie Północy z Południem. Sołżenicyn jest wyraźnie ogarnięty obsesją antymuzułmańską – uważa, iż główny konflikt światowy postawi naprzeciw siebie chrześcijańską Północ i muzułmańskie Południe. Stany Zjednoczone będą srogo żałować, iż przyczyniły się do „stworzenia silnej muzułmańskiej bośniackiej placówki w Europie”... Żadnego współczucia nie wywołuje także u Sołżenicyna los muzułmańskich Czechenów... Przecież rzekomi bracia z Kaukazu poparli bolszewików w wojnie domowej, wyrznęli Kozaków, za co Dzierżyński nagroził ich ziemiami ofiar na prawym brzegu Tereku. W 1942 wraz z Inguszami poparli Hitlera i dopiero wtedy zostali zesłani przez Stalina. Ale już w 1957 Nikita Chruszczow przywrócił Czechenii wszystkie prawa, dodając jej jeszcze ziemie na lewym brzegu Tereku. Potem idzie Sołżenicynowski opis czecheńskich okrucieństw wobec Rosjan od wiosny 1991 i rada pisarza na przyszłość:

„...bezwzględnie należy uznać niepodległość Czechenii, odciąć ją od rosyjskiego ciała, pozwolić jej spróbować istnieć w charakterze niepodległego kraju, ale tak samo bezwzględnie oddzielić ją silnym wojskowo-granicznym kordonem, pozostawiając naturalnie lewy brzeg Tereku przy Rosji... I uczynić wszystko, aby przyjąć z Czechenii wszystkich chętnych Rosjan, a dobrą setkę tysięcy Czechenów-migrantów, rozsianych po Rosji w kryminalnej komercji, ogłosić za cudzoziemców i zażądać albo dowodu na użyteczność ich działalności dla Rosji, albo natychmiastowego wyjazdu”.

Nasuwa się pytanie, w jaki sposób pisarz godzi podobną egoistyczno-narodową buchalterię ze swoją transcendentną metafizyką i moralną wrażliwością? Nie jest tu jednak pierwszy ani jedyny na rosyjskim gruncie – XIX-wieczny rosyjski „teista” Iwan Aksakow, na którego wielokrotnie się powołuje, popierał w 1864 działalność Murawjowa Wileńskiego skierowaną przeciw „łacinnictwu i polonizacji”.

Po co więc czytać tę książkę?

Po pierwsze, aby poznać aktualne poglądy autora. Po drugie, aby dostrzec, jak najpiękniejsze nawet teoretyczne założenia przekształcają się w narodowo-egoistyczne, a momentami nawet brutalne impresje polityczne. I wcale nie usprawiedliwia pisarza fakt, iż mówi on w imieniu narodu stojącego na rozstaju dróg. Mędrzec powinien umieć postawić się ponad bieżącymi waśniami i konfliktami, nie wolno mu też popadać w gniew, tak jak to czyni pisarz dosłownie na każdej stronicy *Rosji w zapaści...* Bo wymyślił sobie, że bez jego głosu Rosja przestanie istnieć... Cóż za niedocenianie Rosji!

Może jednak nie jest to jeszcze ostatnie słowo autora? Tym bardziej, że i w tej książce odnajdujemy wiele cennych fragmentów, dających uporządkowaną i racjonalną wizję Rosji demokratycznej i samorządnej.

Pozegnania (1997-1998)

Andrzej Drawicz – pielgrzym urzeczony (1997)

W Rosji trzeba żyć długo

Chociaż w swojej domowej bibliotece mam wiele książek Andrzeja Drawicza, to niestety tylko w dwóch – jak dzisiaj widzę – zostały mi wpisane autorskie dedykacje. Gdy teraz czytam jedną z nich na tytułowej stronie *Pytań o Rosję* (1981), przed oczami staje mi obraz Autora ze stycznia 1983 roku. Kończyłem właśnie studia rusycystyczne na Uniwersytecie Jagiellońskim, a Andrzej od dwóch lat przyjeżdżał z wykładami do Krakowa niezmiennie z walizką nowych książek, świeżym zapasem życzliwości i chęcią wysłuchania każdego. W naszym starym budynku Instytutu Filologii Rosyjskiej przy dawnej ul. Manifestu Lipcowego 8 stały do niego w kolejce tłumy młodszych i starszych interesantów. Przywoził tutaj niedostępne gdzie indziej książki rosyjskich zakazanych autorów, udzielał wskazówek i porad.

Pod ręką miał zawsze gruby notes, do którego wpisywał nasze dezyderaty i prośby na następny przyjazd. Przeważnie chodziło o książki rosyjskich emigrantów, Andrzej zawsze był tutaj niezawodny, wyraźnie się cieszył, że może być komuś pomocny. Czasami nawet okazywał wzruszenie, gdy ktoś oddawał mu książkę, o której on sam już dawno zapomniał. „Popatrz” – usłyszałem raz, gdy koleżanka z V roku zwracała mu pękata szarą kopertę z artykułami i nadbitkami o Aleksandrze Wampilowie – „jakie uczciwe te dziewczyny”. Andrzej zbierał te materiały latami, dla magistran-

tów był to prawdziwy skarb. Zapewne sporo książek nigdy do niego nie wróciło, nie miał czasu, aby się o nie upominać.

Do dedykacji, o której mówiłem na początku, Andrzej przymierzał się parę ładnych godzin. Podchodziłem do niego po kolejnych zajęciach, a on kazał mi czekać jeszcze i jeszcze. Usiadł wreszcie i z namysłem wpisał do broszury parę zdań, tak jakby chciał powiedzieć coś bardzo szczególnego. Gdy w południe w czwartek 15 maja 1997 roku zadzwoniono do mnie z „Rzeczpospolitej” z wiadomością o jego śmierci, od razu przypomniałem sobie tamte Andrzejujowe słowa: „Drogiemu Panu Grzegorzowi, od którego oczekuję bardzo wiele – z nadzieją, że to wszystko mu się uda, i z prośbą, żeby pamiętał że «w Rossii nado żyt' dołgo» (i nie tylko w Rosji)” – uświadamiał swemu 23-letniemu uczniowi.

Sam umarł po 65 latach wędrówki dokładnie w dniu urodzin swojego Mistrza – Michaiła Afanasjewicza Bułhakowa.

Mistrz i przyjaciel

Ale tak naprawdę poznałem Andrzeja Drawicza znacznie wcześniej w pociągu „Wisła” relacji Kraków-Warszawa w roku 1981. Po wykładzie w krakowskiej Akademii Nauk poświęconym kolejnym trzem „falom” rosyjskiej literackiej emigracji Andrzej na drugi dzień powracał do Warszawy. Tak się jakoś złożyło, że i ja jechałem w tym samym dniu do Kielc, a ponieważ wtedy nie było jeszcze ekspresów nie zatrzymujących się po drodze, mogłem wybrać ten sam, co Andrzej, pociąg. Okazało się, że była to jedna z najważniejszych podróży w moim życiu. Rozmawiałem z człowiekiem, który nie tylko czytał wielkich rosyjskich pisarzy współczesnych, ale zarazem znał ich osobiście, obcował z nimi. A na dodatek potrafił być szczodry w swoich opowieściach o rosyjskich przygodach, przyjaźniach i fascynacjach. Josif Brodski, Andriej Siniawski, Władimir Maksimow, Natasza Gorbaniewska, Nadieżda Mandelsztamowa, Jurij Trifonow, Bułat Okudźawa... Chłonałem to wszystko jak Pasternakowska gąbka. Gdy od roku 1986 w swoich pierwszych europej-

skich podróżach sam zaczynałem poznawać rosyjski literacki Paryż, rekomendacje od Andrzeja otwierały mi wszelkie furtki. Maksimow, Gorbaniewska, Siniawski, Irina Hłowajska Alberti – wszyscy ci ludzie na dźwięk nazwiska Drawicza stawali się jeszcze cieplejsi i bardziej serdeczni. Gdy pod koniec 1994 r. „Tygodnik Powszechny” poprosił mnie o nagranie wywiadu z Bułatem Okudźawą, zwróciłem się oczywiście o pomoc do Andrzeja. Jego rekomendacyjny liścik także tutaj odegrał swą magiczną rolę.

Andrzej był pośród nas w Krakowie w kilku przełomowych i tragicznych momentach 1981 roku. 13 maja miał odczyt u pisarzy na Kanoniczej, już nawet nie pamiętam na jaki temat. Na spotkania z nim chodziło się przecież całkiem niezależnie od poruszanego problemu. Tamtego popołudnia Andrzej Drawicz stanął na mównicy i powiedział: „Podobno strzelali do Jana Pawła II... Jeśli to prawda, to ten świat zwariował”.

11 i 12 XII 1981 Instytut Filologii Rosyjskiej UJ oraz Towarzystwo Humanistyczne Niezależnego Zrzeszenia Studentów zorganizowały sesję naukową pt. „Oblicza Rosji”. Konferencja rozpoczęła się dokładnie w dniu urodzin Aleksandra Sołżenicyna. Na samym początku odczytano list organizatorów do autora *Archipelagu GULag*: „W Polsce posierpniowej wzrosło zainteresowanie Rosją, jej dziejami, kulturą i literaturą. Polacy pragną poznać prawdziwy obraz pana Ojczyzny, inny od tego, jaki w sposób tendencyjny, sprymitywizowany i zafałszowany przedstawiała propaganda. Sporo było dotąd tematów tabu, uznanych przez oficjalną ideologię za zbędne, szkodliwe, niebezpieczne. Nie można było mówić o nich otwarcie. Dziś sytuacja uległa zmianie. Nasza sesja jest próbą – zapewne nie ostatnią – prezentacji pisarzy, myślicieli i polityków, bez których wiedza o Rosji, o jej przeszłości i dniu dzisiejszym nie może być pełna”. Mało było w Krakowie imprez naukowych, które by się cieszyły tak wielkim zainteresowaniem publiczności. Wypełniona po brzegi uniwersytecka aula, ogromne tłumy przy drzwiach i na korytarzu Collegium Novum. Wystąpienia między innymi Ryszarda Łuźnego, Józefa Smagi, Lucjana Suchanka, Józefa Tischnera i – oczywiście – Andrzeja Drawicza. Andrzej przyjechał

do nas do Krakowa, chociaż w Warszawie dokładnie w tym samym czasie odbywał się Kongres Kultury. Gdybym miał dzisiaj opisać atmosferę tamtego spotkania, to musiałbym użyć określenia „anarchia wolności”, „nurzenie się w wolności”. Bo było w tym chyba coś surrealistycznego, skoro w kilkanaście godzin po zamknięciu sesji mieliśmy już w Polsce stan wojenny. Pamiętam jeszcze, jak Andrzej spieszył się w tamto sobotnie popołudnie na pociąg do Warszawy, tak jakby chciał jeszcze zdążyć przed nadejściem umyślnych generała Kiszczaka.

Straciliśmy go wtedy na ponad rok, ci którzy byli z nim w miejscu zbiorowego odosobnienia opowiadają dzisiaj o jego odwadze i szlachetności, o niezwykłym poczuciu humoru. Do nas przychodziły listy, w których twierdził po bułhakowsku, że wszystko będzie dobrze, ponieważ taka jest zasada świata. Pisząc wówczas pracę magisterską poświęconą filozofii Aleksandra Solżenicyna, dotkliwie odczuwałem brak Andrzejowej pomocy. Sytuacja zmieniła się radykalnie, gdy tylko do nas powrócił. Znowu walizki książek, znowu konsultacje, a właściwie niekończące się rozmowy. Pielgrzym niestrudzony powrócił do Krakowa z jeszcze większą energią, dosłownie tryskał wiedzą i chęcią pomocy. Wtedy to właśnie zaprosił mnie do siebie do Warszawy na ulicę Sonaty na dwa dni, abym mógł się do woli nacieszyć jego domową biblioteką.

Wiosną 1983 roku odwiedziłem go, mając zarazem szczęście poznania pani Wiery Drawiczowej. Oboje byli pod wielkim wrażeniem *Zapisków o Annie Achmatowej* Lidii Czukowskiej. Andrzej tłumaczył wtedy *Wykop* Płatonowa. Nieco później na kolejnym spotkaniu krakowskiego mówionego „NaGłosu”, na który chodziliśmy wtedy wszyscy, Andrzej przeczytał fragment z *Wykopu*, który wkrótce potem ukazał się w formie książkowej.

W roku 1982 domowa biblioteka Andrzeja zajmowała całe ściany jednego pokoju, a w sypialni stały jeszcze dodatkowo prawie wszystkie numery wydawanego w Paryżu kwartalnika „Kontynent”, który wówczas stanowił dla mnie coś w rodzaju „Listów Apostolskich”. Młodszy słuchacze polonistyki lub rusycystyki nie mają już dzisiaj świadomości, jak trudno było w Polsce o podobne

książki. Ja jednak pamiętam dobrze swój powrót z Paryża do kraju na początku 1987 roku, gdy pewna celniczka z nieukrywaną satysfakcją zarekwirowała mi na Okęciu prawie sto książek rosyjsko- i polskojęzycznych. Jak się potem okazało, odzyskałem to wszystko dopiero w sądzie po długich osiemnastu miesiącach sporów z Głównym Urzędem Ceł.

Dzięki pomocy Andrzeja mogłem jednak napisać pracę magisterską o Solżenicynie, którą obroniłem na Uniwersytecie Jagiellońskim 15 czerwca 1983 roku. Dwa miesiące wcześniej zdałem u swego Mistrza egzamin z rosyjskiej literatury emigracyjnej. Tak się złożyło, że był to mój ostatni egzamin na studiach, a Andrzej występował po raz pierwszy w roli egzaminatora. Sam mi to powiedział natychmiast po wpisaniu oceny. Wesoło dodał, że zdaliśmy obaj.

Dwa lata temu w wywiadzie opublikowanym w 24. numerze „Kresów” Andrzej mówił: „Krakowski ośrodek rusycystyczny w Uniwersytecie Jagiellońskim zawsze zażywał dobrej reputacji, przed wojną to była prawdziwa kuźnia polskiej rusycystyki. Potem w latach cenzuralnie coraz trudniejszych, w warunkach ideologicznej kontroli krakowianie mieli tę śmiałość i naturalność, która nakazywała im zwyczajnie uczyć studentów i włączyć do programu pisarzy nieoficjalnych. Przekonałem się, że w Krakowie nie uważano tego za «konspirację», ale traktowano jako normalną działalność naukową i obowiązek wobec studentów. Przez wszystkie te szczęśliwe, krakowskie lata wspólnie z kolegami robiłem, co mi się podobało, a mam nadzieję, że i nasi studenci mieli z tego jakiś pożytek”.

Rzecz jasna, mieli. Nie tylko ja, ale zapewne także Kasia Krzyżewska, tłumaczka wierszy Josifa Brodskiego, o którym jeszcze przed przyznaniem mu Nagrody Nobla napisała u Andrzeja pracę magisterską. Pożytek mieli też zapewne inni magistranci połowy lat 80., autorzy prac o Wieniedikcie Jerofiejewie (tę akurat rozprawkę Andrzej wziął potem w podróż do Moskwy, aby pokazać ją samemu autorowi poematu *Moskwa-Pietuszki* – pisał o tym w „Tygodniku Powszechnym”), o Andrieju Siniawskim, Władimirze Maksimowie i wielu innych. Gdy Brodski, Maksimow, Siniawski (wszyscy

niedługo przed swą przedwczesną śmiercią) odwiedzali nasz Instytut Filologii Wschodniosłowiańskiej, to mogli mieć przekonanie, że przyjeżdżają we właściwe miejsce.

Swe krakowskie lata, a były to, przypomnijmy, lata osiemdziesiąte, Andrzej określił mianem szczęśliwych. To trafne określenie także dla wielu z nas – niezależnie od ówczesnej sytuacji za oknem. Te jedenaście cennych lat (1981-1992) zaowocowało także kontaktami z „Tygodnikiem Powszechnym”, „Znakiem”, mówionym „NaGłosem”, podziemną „Arką” i „Oficyną Literacką”, stanowiącymi przecież pochodną jego zakorzenienia na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Droga i kij sękaty

Mówiąc, że w „Rosji należy żyć długo”, Andrzej chciał podkreślić, ile jest tu jeszcze do zrobienia. Chociaż jemu samemu dane było żyć krótko, to w dziedzinie naprawiania stosunków polsko-rosyjskich zdążył uczynić tak wiele, jakby żył sto lat albo i dłużej. Sam ciągle znajdował się w podróży, do której przed laty zaprosiła go rosyjska literatura. *Zaproszenie do podróży* – to tytuł jednej z jego najważniejszych książek. W styczniu 1988 roku po swoim pierwszym pobycie w Moskwie (po dwunastoletniej przymusowej przerwie) Andrzej napisał esej pt. *Zgiełk, droga i dwie świeczki*. „A przed sobą mam Cerkiew Zmartwychwstania... Samotna cerkiew w dalekiej perspektywie na tle nieba. Każdy, kto przyjedzie na stację Sokolniki może sprawdzić, że tego nie wymyśliłem. Wystarczy przejść kilkaset metrów. Przechodzę je zwalniając kroku. Pod górę idzie się ciężiej. Ale to nie ten ciężar. Niosę kawałek własnego życia, kawałek wiedzy o tym kraju... i kawałek ich doli, jakbym był jednym z rosyjskich pielgrzymów, człapiących o sękatym kiju. Człapię pod górę, przestawszy myśleć, w pokornej pewności, że cokolwiek się tu jeszcze stać może, potrzeba będzie przede wszystkim niezmiernego oczyszczenia, spazmu skruchy, wyznania winy, pokuty, przebaczenia, miłosierdzia. Cerkiew Zmartwy-

chwstania świeci z daleka a potem się przybliża. Wchodzę do niej i zapalam dwie świeczki: żeby przyjechał tu Papież i żeby im się udało”.

Żegnaj Andrzeju, mistrzu, druhu i pielgrzymie...

Ryszard Łużny – powołanie i wierność filologa (1998)

8 marca 1998 zmarł w Krakowie Ryszard Łużny, wybitny uczyony, filolog, profesor zwyczajny Uniwersytetu Jagiellońskiego i Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, współtwórca krakowskiej szkoły rusycystyki i ukrainistyki, nauczyciel i wychowawca kilku pokoleń slawistów, człowiek wielkiego serca i dobroci. Pochowano Go na cmentarzu w Wieliczce k. Krakowa 12 marca, a w mszy żałobnej i pogrzebie, prócz Rodziny, wzięli udział przedstawiciele władz obu Uniwersytetów i Polskiej Akademii Umiejętności, której był członkiem od czasu jej reaktywacji w 1991 roku. Żegnała Go zarazem wierna rzesza uczniów z całej Polski, od profesorów do studentów, a także wszyscy ci, którym była droga Osoba i działalność Profesora.

Na początku mszy żałobnej został odczytany telegram od Ojca Świętego, w którym Jan Paweł II napisał o wielkich zasługach Zmarłego w dziele odbudowywania więzi między chrześcijańskim Wschodem a Zachodem. Serdeczny list Ojca Św., który znał Profesora zarówno z lektury, jak i poprzez kontakty osobiste, był nie tylko wyrazem uznania dla jego zasług, lecz zarazem aktem wielkiej sprawiedliwości. Jak bowiem zebrani dowiedzieli się z mowy pożegnalnej przedstawiciela KUL, jakiś czas temu rozpoczęto starania o nadanie R. Łużnemu Orderu św. Grzegorza. Kanclerz Generalny KUL, abp Józef Życiński uzyskał już nawet ustne zapewnienie Papieża, że stosowny dokument będzie podpisany niezwłocznie po jego złożeniu. Niestety, Profesorowi nie dane było tego doczekać.

Wprawdzie nigdy nie przywiązywał On wagi do ziemskiej sławy, ale przecież wyróżnienie o takiej randze musiałyby wzbudzić Jego ogromną radość... dobrze więc, że przynajmniej w ostatnich tygodniach swego życia zdążył się jeszcze dowiedzieć o tych planach.

*

Profesor Ryszard Jan Łużny urodził się 10 września 1927 we wsi Wołczków w ziemi stanisławowskiej w rodzinie nauczyciela utrakwistycznej (dwujęzycznej) szkoły powszechnej, z polskim i ukraińskim językiem nauczania. Mieszkał razem z rodzicami we wsi Mykietyńce, również w powiecie stanisławowskim, a edukację rozpoczął w szkole powszechnej we wsi Drohomirzany. Burzliwe były losy jego ojca, Bartłomieja Łużnego, który odbył służbę wojskową w czasie I wojny światowej w armii austriackiej, walcząc na froncie włoskim. W sierpniu 1939 roku został zmobilizowany jako porucznik rezerwy do polskiej armii, 17 września przekroczył ze swą jednostką granicę rumuńską i przez Bułgarię, Jugosławię i Turcję dołączył do polskich sił zbrojnych w Palestynie. Po wojnie i demobilizacji osiadł w Wielkiej Brytanii. Do kraju powrócił w 1962 roku, łącząc się z żoną i trzema synami; umarł w Wieliczce w nowym domu rodziny Łużnych w 1975 roku.

Zmuszony do porzucenia Małej Ojczyzny, Ryszard Łużny przeniósł się wraz z matką i braćmi do województwa krakowskiego, najpierw do wsi Zawada Uszewska, a następnie do Brzeska, gdzie też ukończył gimnazjum i zdał maturę w 1949 roku. Następnie starał się o miejsce na Wydziale Rolniczo-Leśnym UJ, ale nie został tam przyjęty ze względu na „pochodzenie społeczne” i „brak odpowiednich zaangażowań ideologicznych”. Zapukał wtedy po raz drugi w drzwi Almae Matris i tym razem został już przyjęty na nowo otwarty kierunek na Wydziale Humanistycznym – rusycystykę. Naukę ukończył w 1954 roku, a jeszcze jako student roku III został zaangażowany przez swojego nauczyciela, profesora Wiktora Jakubowskiego na stanowisko zastępcy asystenta. Jako wychowa-

nek Uniwersytetu Jagiellońskiego pracował tutaj czterdzieści pięć lat, aż do czasu przejścia na emeryturę jesienią 1997 roku.

Kolejne etapy jego życia zawodowego przebiegały następująco: w osiem lat po magisterium uzyskał doktorat (1962), następnie po pięciu latach – stopień i stanowisko docenta, po kolejnym pięcioletnim okresie był już profesorem nadzwyczajnym, a od 1979 roku – profesorem zwyczajnym Uniwersytetu Jagiellońskiego. W latach 1969-79 przez dwie kolejne kadencje był dyrektorem nowo powstałego Instytutu Filologii Rosyjskiej. Pełnił zarazem funkcję dziekana Wydziału Filologicznego UJ w latach 1981-84, będąc wybranym na to stanowisko podczas pierwszych od wielu lat demokratycznych wyborów władz uniwersyteckich. We wrześniu-październiku 1980 roku zaangażował się w organizację pierwszej „Solidarności”, będąc przewodniczącym Komitetu Założycielskiego, a potem już w okresie kolejnej odwilży na przełomie lat 1988-89 przyczynił się do reaktywowania tego ruchu w swej macierzystej uczelni.

Trzeba też przypomnieć, że niedługo po śmierci ks. Jerzego Popiełuszki, 9 listopada 1984 roku wygłosił przemówienie na wiecu w Auli Collegium Novum UJ, opublikowane wkrótce przez podziemną krakowską „Arkę”. Mówił tam m.in.: „I okazało się raz jeszcze z wymową niezwykłą, gdzie jest *vis*, a gdzie *ratio*, jaki jest praktyczny realny wymiar konfliktu pomiędzy tym co dobre a tym co złe, pomiędzy światłem, prawdą i sprawiedliwością a siłami nieprawdy ciemnoty i niesprawiedliwości. I odtąd już nikt nie będzie się mógł tłumaczyć, że nie wie, że nie rozumie wzajemnego stosunku owej relacji, że jest w wymiarze tego konfliktu zagubiony”.

Podczas stanu wojennego prof. Łużny aktywnie działał w niezależnych oświatowych strukturach Duszpasterstwa Akademickiego, występował z odczytami na posiedzeniach Klubów Inteligencji Katolickiej, pełniąc – jak sam o tym pisze w *Szkicu do biografii* – rolę „etatowego eksperta od religijnych spraw ruskich”. W wykładach i prelekcjach wygłaszanych w Krakowie, Warszawie, Łodzi, Katowicach, Gliwicach, Opolu, Wrocławiu, Bydgoszczy, Gdańsku, Przemyśle, ale także w mniejszych ośrodkach: Lubaczowie, Oleśnicy i Miliczu, omawiał religijny aspekt kultury i duchowości rosyjskiej, ko-

mentował i popularyzował „politykę wschodnią” Jana Pawła II, odnosił się do kolejnych wielkich rocznic słowiańskiego świata (1988 – Milenium Chrztu Rusi Kijowskiej). Swoistym ukoronowaniem tej części jego działalności był udział w zorganizowanym w sierpniu 1996 roku przez Ojca Świętego w letniej rezydencji w Castel Gandolfo seminarium pt. „Współcześni Słowianie wobec własnych tradycji, mitów i fobii kulturowych. Zjednoczenie Europy a problemy słowiańskie”.

Poczynając od połowy roku akademickiego 1981/82 został zaangażowany przez ówczesne władze KUL do stworzenia w lubelskim uniwersytecie jednostki naukowo-organizacyjnej, która zajmowałaby się Wschodem słowiańskim, szczególnie z punktu widzenia jego związków z chrześcijańską kulturą, duchowością, religią i Kościołem. Od tej pory był już profesorem krakowsko-lubelskim, a nam, nieco zazdrosnym jego uczniom w Krakowie, trzeba było pogodzić się z faktem, że nasz Nauczyciel będzie teraz rozdzielał swoje dary między Uniwersytetem Jagiellońskim a Katolickim Uniwersytetem Lubelskim. Profesor bowiem, mimo swej łagodności, potrafił okazać upór i zdecydowanie, gdy widział konieczność realizacji swych dalekosiężnych celów. I rzeczywiście, już wkrótce Międzywydziałowy Zakład Badań nad Kulturą Bizantyńsko-Słowiańską stał się bardzo prężną instytucją organizacyjno-naukową, ponieważ Profesorowi udało się zarówno stworzyć dobry zespół na miejscu, jak i pozyskać do współpracy wiele autorytetów sławistyczno-rusycystycznych z innych ośrodków w Polsce (m.in. Stefan Kozak, Telesfor Poźniak, Franciszek Sielicki). W 1989 roku Międzywydziałowy Zakład został przekształcony w Katedrę Filologii Słowiańskiej na Wydziale Humanistycznym KUL, obok której powołano jeszcze do życia jednostkę o charakterze kulturologiczno-interdyscyplinarnym – Katedrę Kultury Bizantyńsko-Słowiańskiej, którą kierował aż do przejścia w stan spoczynku jesienią ubiegłego roku.

W lubelsko-krakowskim piętnastoletnim okresie (1982-97) zainteresowania profesora Łużnego przesunęły się wyraźnie z obszaru literaturoznawstwa właściwego i rusycystyki ku problemom religioznawczym, zagadnieniom kultury duchowej, życia religijnego

Słowian Wschodnich, historii Kościoła i ku innym pozarosyjskim (ukraińskim i białoruskim) obszarom Słowiańszczyzny Wschodniej. Było również naturalne, że zaangażował się we współpracę z Encyklopedią Katolicką, zarówno jako autor haseł i konsultant-doradca, jak i redaktor działu „Literatura słowiańska”. Podobną ewolucję przeżył Profesor w swej działalności krakowskiej, a trzeba jeszcze podkreślić, że był tu inspiratorem włączania w obszar rusycystyki problemu „literatura a filozofia”, występując zarówno jako autor własnych oryginalnych studiów poświęconych rosyjskim myślicielom (M. Szczerbatowowi, N. Fiodorowowi, F. Dostojewskiemu, L. Tołstojowi, A. Hercenowi, N. Gogolowi, M. Łuninowi, W. Iwanowowi), jak i pomysłodawca oraz promotor kilku prac z zakresu historii idei, poświęconych m.in. A. Chomiakowowi, F. Dostojewskiemu i W. Sołowjowowi. Przyczynił się również do powstania w obrębie Instytutu Filologii Wschodniosłowiańskiej UJ Zakładu Literatury Ukraińskiej, dziś już Katedry, która od początku lat 90. kształci i wychowuje kolejne roczniki studentów-ukrainistów.

Był wielkim i dobrym nauczycielem, wychował liczną gromadę rusycystów, ukrainistów, recenzował prace polonistyczne, slawistyczne, a także rozprawy z zakresu historii, historii filozofii, historii sztuki i idei. Wypromował trzystu siedemdziesięciu magistrów, dwudziestu pięciu doktorów, pełnił, jak sam to adekwatnie nazywał, „posługę konsultacyjną” przy dwudziestu paru habilitacjach. Bez niego polska slawistyka wschodnia byłaby dzisiaj stokrotnie uboższa. Jako nauczyciel i konsultant wypracował metodę przyjaznego doradztwa, wiedząc zarazem, gdzie i kiedy należy okazać sprawiedliwą surowość. Wszyscy ci, którzy zaznali jego cierplivej opieki, stojąc w ogonkach po następną, dziesiątą już może „opinię o postępie prac badawczo-specjalizacyjnych”, dobrze wiedzą, o czym się tu mówi. Za każdą z przywołanych liczb, a dotyczy to w równym stopniu prawie czterystu prac magisterskich, stoi przecież żywa osoba, konkretna robota promotorska, żmudna lektura i wreszcie recenzja oraz udział w obronie. Jeżeli dzisiaj sprawiedliwie mówimy, że nie wszystek umarł, to pamiętajmy zarazem

o owej rzeszy rozsianych po Polsce, a może nawet i po świecie magistrów, z których wielu nawet nie wie, że ich ukochany Profesor odszedł na zawsze z tego świata.

Potężny naukowo-pisarski dorobek profesora Łużnego obejmuje ponad pół tysiąca pozycji w kilku językach – po polsku, rosyjsku, angielsku, włosku, ukraińsku i niemiecku. Autor, jak sam o tym pisze, wypowiadał się we „wszystkich możliwych gatunkach piśmiennictwa naukowego filologiczno-humanistycznego”, od najdrobniejszej formy poczynając (hasło encyklopedyczne, komunikat) na monografiach historycznoliterackich kończąc. Zajmował się zarazem przekładem, uprawiał publicystykę i esej. Za działalność translatorską i prace krytycznoliterackie został przyjęty do Stowarzyszenia Tłumaczy Polskich oraz do Polskiego PEN Clubu.

Pierwsze artykuły i książki, od 1955 do połowy lat 60., dotyczyły XVIII wieku w Rosji, a najważniejszymi publikacjami tego okresu były dwie pozycje: *Rosyjskie czasopiśmiennictwo satyryczne okresu Oświecenia* w II serii Biblioteki Narodowej oraz monografia pt. *Z badań nad rosyjskim czasopiśmiennictwem satyrycznym okresu Oświecenia*. Teksty powstałe od połowy lat 60. dotyczyły pisarstwa doby staroruskiej i piśmiennictwa wspólnego dla trzech narodów słowiańskich: Rosjan, Ukraińców i Białorusinów. Najważniejszym dziełem nie tylko tego okresu, lecz w ogóle jedną z najbardziej istotnych prac w całym jego pisarskim dorobku, jest monografia habilitacyjna *Pisarze kregu Akademii Kijowsko-Mohylańskiej a literatura polska* (1966). W roku 1971 ukazała się antologia *Literatura staroruska. Wiek XI-XVII*, przygotowana wspólnie z Wiktorem Jakubowskim, która do dzisiaj, podobnie jak wydana w 1977 roku *Rosyjska literatura ludowa*, stanowi podstawowe kompendium wiedzy nie tylko dla studentów rusycystyki i ukrainistyki. W tychże 70. latach powstały i zostały opublikowane wzorowo opracowane pod względem tekstologiczno-filologicznym edycje II serii Biblioteki Narodowej: *Eugeniusz Oniegin* i *Opowieści A. Puszkina, Wybór poezji F. Tiutczewa*, a w roku 1985 – *Opowiadania i nowele L. Tołstoja*. Osobno trzeba wspomnieć o znaczącym udziale w pracy zbiorowej *Historia literatury rosyj-*

skiej pod redakcją Mariana Jakóbca. Opublikowane w drugim wydaniu (1976) studia o epoce staroruskiej i jej miejscu w literaturze rosyjskiej, *Słowie o wyprawie Igora*, piśmiennictwie i życiu duchowo-kulturalnym XVII wieku, rosyjskim Oświeceniu, Puszkynie, Herceńcie stanowią do dzisiaj cenne źródło wiedzy.

W 1988 roku ukazała się *Opowieść o niewidzialnym grodzie Kitariezu. Z legend i podań dawnej Rusi*, a w dwa lata później – *Pieśń o niebieskiej księdze*. Pierwsza książka zawiera filologicznie opracowane przekłady podstawowych legend literatury staroruskiej i rosyjskiej: od *Legendy o apostołe Andrzeju i jego wędrówce po ziemiach ruskich*, zaczerpniętej z *Powieści minionych lat*, aż do opowieści *O tym, jak ikona Matki Bożej przybyła do Włodzimierza*, autorstwa W. Panowej. Druga praca dała polskiemu czytelnikowi niezwykle interesujący czytelniczo wybór ludowej poezji religijnej Rusi. Obydwie książki stanowiły twórczy wkład Autora w dzieło uczczenia milenijnego jubileuszu chrztu Rusi Kijowskiej.

Wielkim jego testamentem staje się dzisiaj wydana w marcu 1996 roku fundamentalna praca *Słowo o Bogu i człowieku. Myśl religijna Słowian wschodnich doby staroruskiej*. Jej główne przesłanie stanowi teza, że Rosja, Ukraina i Białoruś stanowią nieodłączną część Europy, ponieważ już przed tysiącem lat zostały ochrzczone przez św. Włodzimierza. Z tego właśnie punktu widzenia R. Łużny badał zarówno rosyjski barok (Teofan Prokopowicz, Stefan Jaworski, Symeon Połocki) – a tutaj jego prace miały charakter prekursorski – jak i poetycką twórczość B. Pasternaka oraz prozę zaprzyjaźnionego z krakowskim środowiskiem rusycystycznym UJ W. Maksimowa.

Niezwykle istotny wkład w kulturowy i religijny dialog pomiędzy Rosjanami, Ukraińcami, Białorusinami i Polakami stanowiły ponadto liczne konferencje naukowe organizowane lub współorganizowane przez prof. Łużnego w Krakowie i Lublinie w latach 80.: „Dzieło chrystianizacji Rusi Kijowskiej i jego konsekwencje kulturowe dla dziejów i narodów Europy Środkowo-Wschodniej” (1985), „Słowianie oraz ich stosunki wzajemne w wieku XX” (1986), „Rosja i Rosjanie wobec chrześcijańskiej kultury Europy Zachodniej”

(1987), „W leto 6496... Wołodimier... powiele chriestitisia sia... Chrystianizacja Rusi i jej konsekwencje w kulturze narodów Europy” (1988), „Religia a literatura – Sacrum w literaturach słowiańskich” (1988).

Wielki był jego udział w dziele przypominania w naszej Ojczyźnie istoty Unii brzeskiej (1596), tutaj dla przykładu wystarczy przywołać zredagowaną wraz z Andrzejem Kępińskim i Franciszkiem Ziejką 560-stronicową pokonferencyjną publikację *Unia brzeska: geneza, dzieje i konsekwencje w kulturze narodów słowiańskich* (1994).

*

To tylko nieśmiała próba zarysowania sylwetki ś. p. Profesora Ryszarda Łużnego, pisana z perspektywy jednego z jego młodszych uczniów-rusycystów. Chciałbym jeszcze na koniec przywołać jeden obraz Profesora, który od prawie dwudziestu lat kojarzy mi się nierozzerwalnie z Jego osobą. Na początku 1981 roku na schodach prowadzących do dawnego Instytutu Filologii Rosyjskiej spotkałem prof. R. Łużnego z pokaźną walizką książek. Już w bibliotece okazało się, że jest to literatura wydana na Zachodzie, kupiona lub ofiarowana Mu podczas pobytów w Europie, lub też przywieziona do Krakowa przez Jego zagranicznych kolegów. Teraz wszystkie te książki miały zostać przejęte przez instytutową bibliotekę. Dotychczasowy właściciel zaproponował utworzenie Biblioteczki Rusycysty-Nonkonformisty, która wtedy istotnie powstała i cieszyła się w latach 80. sporym zainteresowaniem zarówno starszych, jak i młodszych czytelników. Dzisiaj zapewne osłabła już świadomość faktu, że wiele dzieł i opracowań dotyczących literatury rosyjskiej było w tamtych czasach zwyczajnie niedostępnych (nasze dzieci często już dziś nie wiedzą, co oznacza termin „bibuła”). Z powodu znanych kłopotów z przywożeniem podobnych prac do Polski rosyjska książka wydawana w Paryżu, Frankfurtu, Londynie, czy też w Nowym Jorku była dla sporej części polskich rusycystów wartością zupełnie nieosiągalną. W Krakowie od 1981 sytuacja zaczęła się

radykałnie zmieniać, również dzięki pamiętnej walizce z książkami profesora Ryszarda Łuźnego.

*

Pomimo wyniszczającej choroby, nasz Profesor w wyteżeniu pracował aż do ostatnich dni swego życia, cierpliwie i wytrwale porządkował własne filologiczne gospodarstwo, chociaż już tylko w zaciszu domowym, w otoczeniu rodziny. Kontakty z uczniami musiał gwałtownie ograniczyć, przeważnie porozumiewaliśmy się z Nim telefonicznie, bardzo często poprzez Jego Małżonkę, lub już tylko listownie (zresztą była to i dawniej jego ulubiona forma kontaktu prawdziwie osobistego). Wiedzieliśmy, że nie zapomniał o nas („Ciesz się nadal wami wszystkimi”, mówiła pani Anna Łuźna), że szykuje się do lektury i recenzji kolejnych prac swoich wychowanków. W szpitalu przeczytał i zrecenzował jeszcze jeden doktorat, a w połowie stycznia – już po ciężkiej operacji – po raz ostatni w życiu brał udział w egzaminie i obronie doktorskiej.

Kim był dla nas, mogliśmy w pełni odczuć dopiero w niedzielę rano 8 marca 1998 roku, gdy przekazano nam wiadomość, że już nigdy nie usłyszymy Jego głosu.



Spis rzeczy

Słowo objaśnienia	5
Podróże (1992-1997)	
Dziesięć dni w Moskwie (1992).	11
Tradycja i zimne parówki (1993)	19
Zaułki Mistrza Wolanda (1995)	28
Niżny Nowogród nad Oką i Wołgą (1997).	39
U przyjaciół-Moskali (1987-1999)	
Między Rosją a Italią. Rozmowa z Iriną Howajską Alberti (1987) . . .	49
Jak Polak z Rosjaninem... Rozmowa z Natalią Gorbaniewską (1994). . .	63
Nagła zmiana dekoracji. Rozmowa z Olgą i Bułatem	
Okudżawami (1994; wraz z Januszem Świeżym).	71
Płacić Rosją za Rosję... Rozmowa z Georgijem	
Władimowem (1999; wraz z Januszem Świeżym)	85
Polowanie na Antychrysta (1994-1996)	
Dokąd idziesz, Trzeci Rzymie? (1994).	99
Tradycja miarą wszechrzeczy? (1996)	111

Ateny i Jerozolima (1989-1999)

Powrót filozofii do Rosji (1989-1992) 127
 Rosyjski spór o Boga, człowieka i historię (1997). 143
 Herling, Hercen, Szestow... (1997) 150
 Do Jerozolimy – przez Ateny, Petersburg i... Kraków. Rozmowa
 z Jewgienijem Rejnem (1998; wraz z Januszem Świeżym). . 159
 Nieśmiertelność dla herosów. O terrorystach-metafizykach
 u Dostojewskiego (1998) 173
 Ciche „Sanctus”. Po śmierci Alfreda Schnittke (1998) 181
 Tarkowski – rosyjski geniusz całopalenia (1999) 186

Recenzje i polemiki (1997-1998)

Żyrynowski w 80. rocznicę Czerwonego Października (1997) 199
 Boris Niemcow – prowincjusz z Niżnego Nowogrodu (1997). . . . 207
 Metafizyka a patriotyzm u Aleksandra Sołżenicyna (1998). 214

Pożegnania (1997-1998)

Andrzej Drawicz – pielgrzym urzeczony (1997) 223
 Ryszard Łużny – powołanie i wierność filologa (1998) 230

